

MIEĆ MIEDŹ I KŁOPOTY

PAŹDZIERNIK '56
STARCIE GOMUŁKI
Z CHRUSZCZOWEM

ANETA KORYCIŃSKA
BABA OD POLSKIEGO O SZKOLE

JACEK PAŁKIEWICZ
Z KOSMONAUTAMI

A close-up portrait of Aleksander Kwaśniewski, an elderly man with glasses, wearing a dark suit and a purple tie. He is looking directly at the camera with a slight smile.

**Aleksander Kwaśniewski
o Stanisławie Ciosku**

**ZAWSZE SZUKAŁ
POROZUMIENIA**

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299





MOSTRA INTERNAZIONALE
D'ARTE CINEMATOGRAFICA
LA BIENNALE DI VENEZIA 2021
Nagroda FIPRESCI
Złoty Lew dla Najlepszego Filmu



Nagrody Lumiere
najlepszy film
najlepsza aktorka



BAFTA Awards
najlepsza reżyseria
(nominacja)



CEZARY
najbardziej
obietująca
aktorka



CineLibri
International
Book&Movie
Festival (Bułgaria)
nagroda dla najlepszej
ekranizacji



MFF
w Palm Springs
najlepsza reżyseria
nagroda Jury



Europejskie
Nagrody Filmowe
europejska nagroda
uniwersytecka
(nominacja)



MFF
w Dublinie
najlepsza aktorka



MFF
w Valladolid



Zdarzyło się

Adaptacja głośniej autobiografii pisarki i aktywistki Annie Ernaux

POTĘŻNY, BOLESNY, POLITYCZNY... NIEZWYKLE AKTUALNY

w kinach od 28 października 2022



unifrance films





Lewico, docień wreszcie Październik '56

W tempie, które potęguje żal, odchodzi pokolenie Października '56. Najbardziej twórczego i, niestety, najbardziej niedocenianego okresu w powojennej historii Polski. Wiem, jakie znaczenie miały rewolucja Solidarności i Okrągły Stół, ale największa kumulacja procesów, które tak twórczo wyzwoliły energię milionów Polaków, była właśnie po Październiku '56. Wtedy zaczęło się demokratyzowanie i liberalizacja Polski. Doszło do ogromnych zmian w stosunkach społeczno-gospodarczych. Odrzucono kolektywizację wsi, zaczęły się lepsze czasy dla spółdzielczości. Otwarcie na Zachód najbardziej widoczne było w nauce. Na uczelnie wrócili naukowcy odsunięci od nauczania, powstał klimat do nieskrępowanych badań. Uwolniona ze stalinowskiego gorsetu kultura eksplodowała genialnymi dziełami, które do dziś cieszą się wielką popularnością.

Wydawałoby się więc, że po 66 latach wiemy o tych wydarzeniach prawie wszystko. Niestety, mimo wielu prac naukowych i twórczości artystycznej Październik '56 słabo przebił się do świadomości potocznej Polaków. A do młodzieży prawie w ogóle. W obiegu medialnym dominuje sprymitywizowana wersja IPN-owskiej polityki historycznej, która wydarzenia z tamtego czasu sprowadza do zmian na górze władzy.

Wbrew takim faktom jak poparcie prymasa Wyszyńskiego dla ówczesnych zmian.

Po twardych rozmowach Gomułki z Chruszczowem zmieniły się relacje z Moskwą, która z wielkim trudem znosiła zachowanie nowo wybranego I sekretarza KC. Sens zmian i październikowych przemian wspierało nawet Radio Wolna Europa. Jan Nowak-Jeziorański w Monachium tak wytykał na amerykańskich mocodawców, że mógł relacjonować i komentować ówczesne wydarzenia z przychylnym obiektywizmem.

Niedocenianie Października '56 przez lewicę i pokorne słuchanie, a często nawet powtarzanie IPN-owskich bredni jest dla mnie kompletnie niewytłumaczalne. A mówiąc wprost – politycznie głupie. W 2016 r. nasza redakcja zorganizowała konferencję naukową „Przełom Października '56”. Jej plonem jest wydana przez nas książka pod tym samym tytułem. Z referatami m.in. profesorów Friszkego, Pastusiaka, Wiatra i Werblana. Uruchomiliśmy stronę internetową „Październik '56” (<http://pazdziernik56.pl/>). Mogłaby być kapitalnym archiwum utrwalającym pamięć o tym okresie. Mogłaby. Gdyby dostające dotacje kolejne były lewicowe w parlamencie coś w tej sprawie zrobiły. A że nie zrobiły zupełnie nic, to pozostaje wytykanie im niekompetencji i lenistwa.

CYTATY

ANDRZEJ SKWORZ, redaktor naczelny

Chodzi o zmianę sposobu myślenia o telewizji publicznej, że w fotelu prezesa ma zasiadać polityk, prymus w propagandzie.
„Press”

RAFAŁ KALUKIN, publicysta

W drużynie Lisa obowiązywała niepisana umowa, że podwładni przede wszystkim grają na indywidualny sukces lidera. Czyli jego pozycję zawodową, rozpoznawalność, honoraria.
„Polityka”

ANDRZEJ STASIUK, pisarz

Mam perwersyjne skłonności do szukania mrocznego piękna, przesiąkniętego destrukcją.
„Tygodnik Powszechny”

JERZY JARNIEWICZ, poeta, laureat Nike

Jak wejść w relację ze światem, który na każdym kroku obnaża swoją absurdalną lub złowieszczą naturę?
„Dziennik Trybuna”



BĄKOWSKI

SYLWETKI

8 Staszek

Wspomina Aleksander Kwaśniewski

9 Stanisław Ciosek – polityk przez duże P
Chciał się dogadywać, łagodzić konflikty

KRAJ

12 Mieć miedź i kłopoty

Jak to się robi nad Wisłą

16 Lektury to tylko tło

– rozmowa z Anetą Korycińską

20 Czarzasty i Biedroń mają konkurencję
Umowa między UP a SLD

22 Parasol dziurawy...

Polska obrona przeciwlotnicza

42 Rachunek jak wyrok

Bydgoszcz przeciw drożyznie

OPINIE

24 Jakub Dymek

Im gorzej, tym lepiej. Dlaczego opozycja
trzyma kciuki za kryzys?

ZAGRANICA

26 Cyrk nie śmiesz już nikogo
Dymisja Liz Truss

30 Florencja – różowo nie jest
Korespondencja z Włoch

34 Słowacki Breivik

Atak w centrum Bratysławy

HISTORIA

38 Starcie Gomułki z Chruszczowem
Przełom Października '56

PSYCHOLOGIA

46 Młodzi w depresji

Przyczyny i objawy

ZDROWIE

49 HIV przypomniał o sobie

Rekordy zakażeń

KULTURA

50 Lolita z Tahiti

Sztuka podglądania według Gauguina

54 Kulturalia

66 Ludzkie szczenię

OBSERWACJE

55 SOS kosmonautów

Wyprawy Jacka Pałkiewicza

ZWIERZĘTA

58 Uszy do góry

Zając woli się nie przemęczać

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański

Lewico, docień wreszcie Październik '56

11 Jan Widacki

Zaczynamy się urządzać? Byle delikatnie!

19 Andrzej Romanowski

Konstytucja wielkanocna

29 Roman Kurkiewicz

Nie szkoda „Stoneczników”, gdy ginie świat

37 Tomasz Jastrun

Kod architektury

45 Wojciech Kuczok

Gwizdek na drugą połowę



16

KRAJ

LEKTURY TO TYLKO TŁO

– rozmowa
z Anetą Korycińską

30

ZAGRANICA

FLORENCJA – RÓŻOWO NIE JEST

Korespondencja
z Włoch



58

ZWIERZĘTA

USZY DO GÓRY

Zając woli się nie przemęczać

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI



✉ Pytania do ludowców z PSL

Od dłuższego czasu w środowisku partii opozycyjnych prowadzona jest dyskusja o tym, jak odsunąć od władzy PiS. Szczególne znaczenie ma konfiguracja, w jakiej partie te zamierzają iść do wyborów. Jednym z uczestników tej dyskusji jest Polskie Stronnictwo Ludowe. Partia ta stawia się w roli ważnego uczestnika, a nawet twórcy jednego z bloków wyborczych. Tymczasem ambicje partii oraz jej przywódców z prezesem Kosiniakiem-Kamyszem na czele nie idą w parze z jej poparciem w społeczeństwie. Tradycja oraz fakt, że PSL było onegdaj partią współrządzającą, to stanowczo za mało na najbliższą przyszłość. Zadziwia mnie fakt, że dotychczas nie postawiono ludowcom i panu Kosiniakowi-Kamyszowi kilku oczywistych i prostych pytań. Dlaczego PSL straciło swoją pozycję i mandat na przywództwo w środowisku wiejskim na korzyść PiS? Co przywódcy PSL zamierzają zrobić, aby odzyskać utracony elektorat? Jeżeli PSL nie znajdzie odpowiedzi na te pytania i nie odzyska choćby znacznej części dawnego elektoratu, to może się stroić w bogobojne piórka, podszczypywać Lewicę, a nawet delikatnie Platformę Obywatelską, ale sukcesu przy urnie nie odniesie. I nie ma co liczyć na elektorat miejski, na ten jest bowiem wielu chętnych, ani udawać, że rozdaje się karty. Trzeba zabrać się do pracy, panowie ludowcy.

Piotr Kijewski

✉ Narzucanie swojej racji

Prof. Janusz Reykowski twierdzi, że w polskiej wojnie kulturowej obie strony chcą jedynie być sobą i realizować „to, co jest naturalnym prawem człowieka” (PRZEGLĄD, nr 39). Otóż moim zdaniem jest to prawda tylko w odniesieniu do liberalnej strony sporu. Natomiast strona konserwatywna chce

za wszelką cenę swoje poglądy, wybory, sposób życia narzucić wszystkim pozostałym. Właściwe jest tylko to, co ONI myślą, czują, jak żyją, w związku z czym tak myśleć, czuć i żyć mają wszyscy. A to, co IM nie odpowiada, powinno być raz na zawsze zakazane. I to nie same poglądy, ale właśnie te uporczywe próby narzucenia ich całemu społeczeństwu są czymś, z czym nie można się pogodzić.

Ewa Królikowska

f Wyrzucenie Ani z Zielonego Wzgórza

Czym się Państwo z tymi nedorzecznymi postulatami różnicie od owego księdza z Gdańska, który kilka lat temu z grupką uczniów dokonał spalenia książki o Harrym Potterze i jakichś „magicznych przedmiotów”, motywując to szkodliwym wpływem wywieranym przez nie na młodzież? Przecież to jest przejaw tego samego inkwizytorskiego zapалу, tyle że wychodzący z przeciwnej strony ideologicznej barykady. Głupie to i żalosne.

Rafael Wolf

Ojej, jak mi przykro... Z tą lekturą wiąże najprzyjemniejsze momenty z dzieciństwa mojego dziecka; wspólne czytanie łączy... A kolejne tomy udowadniają, że nawet w tamtych czasach samotna kobieta mogła osiągnąć sukces zawodowy i to było bardzo inspirujące.

Aśka Olszówka

Więcej głosów na temat „Ani z Zielonego Wzgórza” na s. 52.



ZDJĘCIE TYGODNIA

Palestyńscy demonstranci domagają się od Izraela otwarcia zamkniętych dróg prowadzących do miasta Nablus na okupowanym Zachodnim Brzegu, 20 października 2022 r.



30 legalnie wybranych sędziów Sądu Najwyższego odmówiło orzekania w składach z neosędziami. Oświadczenie otrzymała pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska, też neosędzia.

Już ponad **1700 dzieci** urodziło się w Warszawie dzięki programowi in vitro. Kolejna, trzecia edycja planowana do 2025 r. ma kosztować miasto 35,1 mln zł.

O 30% wzrosła w pierwszym półroczu skala zgłoszonych kradzieży sklepowych. Straty z powodu kradzieży szacuje się na 5 mld zł rocznie.

Edward Pasewicz za powieść „Pulverkopf” otrzymał Literacką Nagrodę Europy Środkowej Angelus i kwotę 150 tys. zł ufundowaną przez Wrocław. Nagrodę za najlepszy przekład prozy otrzymał **Daniel Warmuz za przekład „Szatańskiego pomiotu”** Zoltána Mihály Nagya (Wydawnictwo Warszawa Kultury).

Wśród milionerów, którzy drobili się wielkiej kasy za rządów dojrzałej zmiany, największymi rekinami są ludzie związani z Solidarną Polską i osobiście ze Zbigniewem Ziobrą. Jest wśród nich Bartłomiej Litwińczuk, adwokat, który reprezentował Ziobrę w procesie z naszym tygodnikiem (a także w procesach z „Polityką”, „Newsweekiem” i innymi tytułami). Litwińczuk zarobił 9,3 mln zł. Przyjaciół Ziobry Michał Krupiński jest na liście Wirtualnej Polski rekordzistą, bo zarobił aż 13,3 mln zł.

Prof. Randall J. Platt, ekspert w dziedzinie inżynierii genetycznej z ETH Zurich, otrzymał **Europejską Nagrodę Naukową im. Stanisława Lema** za rok 2021 (Lem Prize).

Artur Domosławski, autor książki biograficznej

„Wygnaniec. 21 scen z życia **Zygmunta Baumana**”, otrzymał Górnośląską Nagrodę Literacką „Juliusz”.

Od początku roku zawiesiło działalność 3,9 tys. punktów gastronomicznych, w tym 2,3 tys. restauracji. W zlej i bardzo złej sytuacji jest ok. 80% branży.

545 tys. m sześć. tzw. gałęziówki sprzedaży do końca sierpnia Lasy Państwowe.

Tylko 95 osób wzięło udział w ogólnopolskiej zbiórce pieniędzy na budowę pałacu Saskiego, którą propaganda rządowa lansuje jako odbudowę. Jak można odbudować coś tak koszmarnego i wielokrotnie zmieniającego funkcje? Całkowicie zniszczonego przez Niemców.

Malina Prześluga za dramat „Jeszcze tu jesteś?” otrzymała Grand Prix Gdańskiej Nagrody Dramaturgicznej.

Najgorsze drogi są w Małopolsce, gdzie w stanie niezadowolającym jest prawie 39% dróg, a w złym 16,4%. Najlepsze drogi są na Podlasiu (80% w stanie dobrym) i na Pomorzu Zachodnim (79% w stanie dobrym).

W różnych miejscach Polski trwa budowa dziewięciu podziemnych przejazdów o łącznej długości 11 km. Pod koniec roku planowane jest otwarcie tunelu pod masywem góry Mały Luboń na Zakopanie. A w przyszłym roku tunelu pod rzeką Świną między wyspami Uznam i Wolin w Świnoujściu.

Najczęściej uprawiane są w Polsce: pszenica ozima, która zajmuje blisko 2,29 mln ha i kukurydza – 1,86 mln ha.

50,6 mln abonentów telefonii komórkowych było w Polsce w 2021 r.

PRZEBŁYSKI

Drużyna Mularczyka

To, że nie wiemy, kiedy będzie dzielone 6 bln zł, które mamy dostać od Niemców, nie znaczy, że nie wiemy, kto już na tym zarobił. I to dobrze zarobił. W grudniu 2021 r. powołano Instytut Strat Wojennych. Choć nie ma w nazwie słowa Narodowy kasiory mu nie pożalowano. Dyrektor prof. Mirosław Kłusek zarabia 19 tys. miesięcznie. Jego zastępcy Joanna Chojcka i Janusz Waliś po 16 tys. zł. Kierownicy też nie mają źle. Pensja 14 tys. zł piechotą nie chodzi. A są przecież jeszcze spore dodatki.

Na czele 13-osobowej Rady Instytutu stoi poseł Arkadiusz Mularczyk. Rada dostaje oczywiście diety. I tak się to kółko wzajemnej adoracji będzie kręcić. Za 17,5 mln zł w przyszłym roku. A później więcej. I więcej.

Bieda u wicemarszałek

Grzebanie w oświadczeniach majątkowych polityków może być ciekawsze od wyprawy na grzyby. Bo o nie w tym roku wyjątkowo trudno. Prawie tak trudno jak o dochody w budżecie posłanki PiS Małgorzaty Gosiewskiej.



Absolwentka liceum, pierwsza żona Przemysława Gosiewskiego żyje z polityki. A konkretnie z posad, które załatwia jej PiS. W 2021 r. zarabiała co miesiąc ok. 18 tys. zł, za mieszkanie płaci ok. 1800 zł. Syn ma 27 lat, więc jest dorosły. Na ubrania, jak widać, pani wicemarszałek dużo nie wydaje. Świat zwiedza na koszt Sejmu. W ubiegłym roku była poza krajem po dwa miesiące. Co kosztowało podatników ponad 100 tys. zł.

A jednak przy takich zarobkach Gosiewska była w 2021 r. zadłużona na 153 tys. zł. Długi ma od wielu lat. Nie posiada niczego. Zero oszczędności. Zero nieruchomości. I zero nieruchomości. Na co więc wydaje kasę, skoro nic nie ma – pyta zaniepokojony Robert Jaruga („Nie”).

Od Orła do kitu

Najpierw był HiT, a później lament. Pisowskie media lamentują, że prof. Wojciecha Roszkowskiego spotkała nie tylko niezastużona krytyka, ale do tego jeszcze lawina żartów, kpín i memów.

Profesorze, nie rozpaczaj. Prawdziwi mężczyźni nie płaczą. A co dopiero kawalerowie Orła Białego. Był czas pieśnyczot za książki z lat 80. Tyle że czasy się zmieniły i dziś trudno uwierzyć, że mogły być aż takim wydarzeniem. Mało kto czytał, ale wszyscy tak chwalili, że prof. Roszkowski uwierzył w swoją moc. Intellectualną. I mamy, co mamy. HiT-u nie da się obronić.





PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego 1 listopada jest ważny dla Polaków?

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO,

filozof i historyk religii

Na wagę listopadowego święta ku czci zmarłych złożyły się co najmniej trzy motywy, wzmacniające się wzajem. Po pierwsze, tradycja przedchrześcijańska, bardzo silnie obecna w warstwach ludowych nawet na początku XX w., związana z rytmem umierania i odradzania się natury oraz oczywiście z obrzędami na cześć dziadów, czyli przodków. Wbrew pozorom ten motyw nadal jest nam bliski; podczas wspominania bliskich i palenia świec powracają do nas nasi umarli i odtwarza się wielka wspólnota pokoleń – tych, które odeszły, tych, które żyją i tych, które przyjdą. Drugi motyw to rzecz jasna chrześcijaństwo, w którym świętu ku czci wszystkich świętych nadano duże znaczenie. Trzecim jest polska osobliwość historyczna: w okresie zaborów i podczas okupacji jedynym miejscem, w którym zbiorowość mogła się zgromadzić i rozpoznać, były cmentarze, które urosły do rangi miejsc szczególnych. A do tego wszystkiego często dochodzi nostalgiczna uroda polskiej jesieni.

MONIKA STASIAK,

antropolożka, członkini kolektywu Instytutu Dobrej Śmierci

Myślę, że popularność listopadowego święta to fuzja różnych czynników. Z jednej strony, w kulturze słowiańskiej święta związane z kultem przodków były znane na długo przed ich zasymilowaniem przez chrześcijaństwo. Ta struktura długiego trwania

jest w wypadku 1 listopada znacznie wyraźniejsza niż bardziej abstrakcyjne wspomnianie świętych i być może ona wpływa też na tak tłumne wizyty na cmentarzach. Z drugiej strony – odkąd śmierć zaczęła przenosić się z mieszkań do szpitali i domów opieki, stała się dla nas obca. Trochę się jej boimy, a trochę wypieramy. Może listopadowy festiwal zniczy i kwiatów to próba obudowania tego lęku konsumpcją?

KAROL KLECZKA,

filozof i publicysta, miesięcznik „Znak”

Pierwszą kwestią, na którą warto zwrócić uwagę, jest tabuizowanie śmierci. Nie mówi się o niej, dlatego trudniej jest przejść przez żałobę, a upamiętnianie bliskich porządkuje nam ich odejście niezależnie od przekonań religijnych. Druga to nadal mocne u nas wpływy tradycji chrześcijańskiej, a więc i wywodzących się z niej zbiorowych rytuałów. Nawet jeśli dla wielu osób tracą one znaczenie religijne, to jednak są obecne choćby w życiu rodzinnym. Bezpośrednio związany jest z tym osobny powód popularności 1 listopada. Wspominanie zmarłych, które zgodnie z kalendarzem powinno odbywać się dzień później, niepostrzeżenie wyparło teologiczny wymiar uroczystości Wszystkich Świętych. Trochę szkoda, bo ma ona charakter jak najbardziej pozytywny, wiążący się z nadzieją zbawienia dla wszystkich – również osób bliskich, o których pamięć podtrzymujemy, wybierając się na ich groby.

Not. Michał Sobczyk



Staszek

Pusto robi się wokół. Odszedł Staszek Ciosek. Zajmował w naszym życiu miejsce szczególne. Nie sposób było Go nie zauważyć. Jego postura, głos, jowialność, energia, oryginalna ocena sytuacji, siła perswazji, poczucie humoru wyróżniały Go i czyniły interesującym partnerem rozmów, dyskusji i sporów.

Rozmowa, dialog, poszukiwanie kompromisu, zgody były Jego żywiołem. Męczyły Go rutyna, biurokracja i banalność. Uważał, że nuda zabija. Nie było więc przypadkiem, że młodego Staszka porwało Zrzeszenie Studentów Polskich. Organizacja, która tworzyła przestrzeń wolności, demokratycznych sporów, artystycznych eksperymentów, kształtowała postawy otwarte, wolne od gorsetu ideologii i skupiała ludzi tak różnych, że można ich dziś odnaleźć w całym polskim politycznym krajobrazie. Staszek był szefem ZSP i ten ZSP-owski charakter – otwarty, konciliacyjny, z dystansem do siebie i świata – był Jego cechą przez całe życie.

Te talenty sprawiały, że w trudnych momentach sięgano po Staszka, by negocjował, uspokajał, dogadywał się, a jak trzeba, to zwodził, przeciągał, czyli żeby był liderem

dialogu i mistrzem kompromisu. Dlatego był ministrem do spraw związków zawodowych, ministrem pracy, płac i spraw socjalnych.

Staszek był realistą, ale gotowym do myślenia poza granicami oficjalnej czy partyjnej poprawności. Z tego urodziły się „Memoriały Trzech”, czyli Cioska, gen. Pożogi i Urbana,

się odbywały, wojska radzieckie wyszły z Polski, rozwijała się współpraca gospodarcza. Inne dziś mamy czasy, ale wtedy Ciosek wykonywał naprawdę świetną pracę.

Przez kolejnych dziesięć lat był moim doradcą. Ceniłem Jego opinie, niebanalne oceny dotyczące Rosji czy Ukrainy, ale przede wszystkim

Rozmowa, dialog, poszukiwanie kompromisu, zgody były Jego żywiołem.

które przekonały gen. Jaruzelskiego do idei Okrągłego Stołu.

Przez dwa miesiące obrad Staszek był jedną z najważniejszych postaci. Kursował między liderami obu stron, przekonywał kierownictwo PZPR, pracował nad poparciem Kościoła. Nizał, kleił, szlifował kanty, rozbrajał miny i czynił to z wdziękiem, dowcipem i najważniejsze – skutecznie!

W listopadzie 1989 r. został nominowany na ambasadora PRL w Moskwie. Tylko osoba o kompetencjach i charakterze Staszka mogła sprostać takiemu wyzwaniu. Zmieniało się wszystko. Zaczął jako ambasador PRL w ZSRR, skończył jako ambasador RP w Federacji Rosyjskiej. Relacje były utrzymane, wizyty oficjalne

Jego przekonanie, że niezależnie od wszystkich trudności trzeba szukać porozumienia, zgody, ograniczać swoje ambicje, być wrażliwym wobec partnera czy oponenta. Staszek był bardzo pomocny w trakcie pomarańczowej rewolucji w Kijowie i ówczesnego Okrągłego Stołu.

Był członkiem Rady Fundacji Amicus Europae i dawał nam to, co miał najlepsze – wiedzę, doświadczenie, oryginalność poglądów, życzliwość i dobroć.

Dziś żegnam Stanisława Cioska – Staszka, Ciocha, na którego zawsze można było liczyć, cieszyć się rozmową z Nim i razem próbować zmieniać świat – zawsze na lepsze, choć różnie to wychodziło.

Aleksander Kwaśniewski

Stanisław Ciosek

– polityk przez duże P

Chciał się dogadywać, łagodzić konflikty, patrzeć do przodu.
Dziś zupełnie inna jest polityczna moda

Robert Walenciak

Stanisław Ciosek. Byłem, tak przypuszczam, ostatnim dziennikarzem, który z nim rozmawiał. To było kilkanaście dni temu, po śmierci Jerzego Urbana, wspominaliśmy go. Fragmenty tej rozmowy są w PRZEGŁADZIE. Fragmenty, bo Stanisław Ciosek zawsze mówił długo. Długo, ale bez zbędnych dłużyżn.

Te rozmowy były jak arcydzieła sztuki, celne uwagi ozdabiał anegdotami, historyjkami, które mówiły więcej niż dziesiątki zdań. Bardzo sobie cenię te godziny, które z nim spędziłem. To były wywiady, rozmowy toczone w niespiesznym tempie, przy herbacie i śliwkach w czekoladzie.

Ciosek różnych historii znał tysiące i przytaczał je w odpowiednich chwilach. Musiał znać, bo całe jego życie związane było z polityką, z władzą i w różnych miejscach i okolicznościach przyszło mu działać. I to jak!

To nie przypadek, że był zawsze tam, gdzie było gorąco, gdzie rozgrywały się najważniejsze sprawy.

W okresie Solidarności gen. Jaruzelski delegował go do współpracy ze związkami zawodowymi. To on był głównym pośrednikiem między władzą a Solidarnością, co w czasie narastającego konfliktu było jak rola sapera na polu minowym. Opowiadał o tamtych czasach w różnej tonacji, między innymi wisielczej: „Okna naszego gabinetu w Białym Domu wychodziły na Aleje Jerozolimskie. Siedzieliśmy do nocy, praca była, latarnie się zapalały. I mówiliśmy do siebie – no, wybierz sobie latarnię, na której chcesz wisieć?”.

I proszę, jako minister do spraw związków zawodowych i rozmawiania z Solidarnością zdał egzamin



Jako minister do spraw związków zawodowych z Lechem Wałęsą, Mieczysławem Rakowskim i Haliną Skibniewską podczas rozmów rządu z Komisją Krajową NSZZ Solidarność. Warszawa, 6 sierpnia 1981 r.

celując, u Jaruzelskiego już tylko szedł w górę. Dobrze zapamiętał go też Wałęsa, który zostawił go na stanowisku ambasadora w Moskwie, gdzie przepracował do roku 1996.

Ale pozostajmy w latach 80. Ciosek należał w tym czasie do grona bliskich współpracowników gen. Jaruzelskiego. I był jednym z tych, którzy zachęcali go do rozmów z opozycją.

Dziś łatwo jest napisać, że był w „grupie trzech”, razem z Jerzym Urbanem i gen. Władysławem Pożogą, szefem służby wywiadu i kontrwywiadu MSW, która przygotowywała Jaruzelskiemu poufne raporty dotyczące konieczności zmian. Albo że przygotowywał obrady w Magdalence, a potem Okrągły Stół. I że podczas tych obrad odgrywał jedną z głównych ról, rysował słynne jaja,

czyli kreślił obszary wspólnej odpowiedzialności, czy też godził się na senat.

Łatwo to pisać, bo to wszystko już się odbyło. Ale wówczas, gdy istniał Układ Warszawski, a w Polsce stacjonowały wojska ZSRR, te działania wymagały i wyobraźni, i odwagi, i trochę... szelmstwa. Jak zaczęły się spotkania trójki Ciosek-Pożoga-Urban? – pytałem go parokrotnie. I wreszcie któregoś dnia, przyznał, że zdecydował... koniaczek. „Trzeba było zdecydować, czy jakiś film puścić do emisji. Pojechalismy więc do MSW go oglądać, bo tam była odpowiednia aparatura. Rozmawialiśmy u Pożogi. Oglądaliśmy, rytualny koniaczek... Śliwki w czekoladzie... I rozpuściliśmy języki. Bez ograniczeń. Przyjechałem do domu. I przypominam to sobie wszystko... Boże, ▶

► my takie rzeczy mówiliśmy! U Pożogi! Wszystkie służby ma pod sobą! Nagrał nas na pewno! Natychmiast zadzwoniłem do Urbana: »Słuchaj, ty się nie kładź, ty pisz, co było, generałowi trzeba będzie to postać!«. On rano mi dał maszynopis, trochę złagodziłem, że w trosce o Polskę itd. I natychmiast z tym do generała, złożyłem w sekretariacie». W tym momencie Ciosek zaczerpnął powietrza i szeroko się uśmiechnął: „I byliśmy szybsi od Pożogi”.

Pasjonujące były też jego opowieści o rozmowach z ludźmi Kościoła. Mówił tak: „Stara jest zasada przetrwania Kościoła, jak w tym porzekadle: Kościół opłakuje zmarłego, ale do trumny z nim się nie kładzie itd. Zachowuje dystans. Tak samo tutaj było. Miałem masę rozmów z ludźmi Kościoła. I mogę powiedzieć, że Kościół był bardzo wstrzeźliwy, gdy chodzi o wybory, o Okrągły Stół i podzielenie się władzą z Solidarnością. Bo nie wiedział, jaka będzie ta nowa władza.

Rozmowy z Kościołem były więc kluczowe. Ile myśmy godzin w Episkopacie u bp. Bronisława Dąbrowskiego przesiedzieli! Ile razy ja tam byłem! Z przyczyn oczywistych Jaruzelski i my wszyscy bardziej ufaliśmy prymasowi i hierarchom kościelnym aniżeli ludziom nie wiadomo skąd. Mało kto na ten aspekt

Rozmowy z Cioskiem były jak arcydzieła sztuki, celne uwagi ozdabiał anegdotami, historyjkami, które mówiły więcej niż dziesiątki zdań.

zwraca uwagę, ale ja byłem przy tym i wiem, komu ufałem. I dlatego tak wielką rolę przypisuję Kościołowi. Bo myśmy nie wiedzieli, jak tę Solidarność okiełznać, kto tam jest”.

A potem były następne spotkania, już za aprobatą Jaruzelskiego. I kolejne raporty drażyły skąd.

„Jaruzelski jest jak kot, zanim stąpnie, dobrze tapą zbada”, opisywał tamtą politykę, ostrożne działania, które były jak stąpanie po kruchym lodzie. I były też jak działanie sapera – bo trzeba było rozbrajać polityczne miny, tym razem w Moskwie.

Jako ambasador spędził tam sześć lat. Całą prezydenturę Wałęsy.



Z prymasem Józefem Glempem podczas uroczystości nadania tytułu doktora honoris causa Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej metropolii smoleńskiemu i kaliningradzkiemu Cyrylowi. Warszawa, 29 marca 2004 r.

Poza tym przeżył upadek ZSRR, pucz Janajewa, i narodziny Federacji Rosyjskiej. A przy okazji wyznaczył nieosiągalne dla następców standardy, jakie powinien spełniać ambasador RP w Moskwie.

Po powrocie był doradcą prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego ds. polityki wschodniej. To niedoceniany etap w jego politycznym życiu.

Tymczasem odegrał on wielką rolę podczas pomarańczowej rewolucji w Kijowie, na przełomie lat 2004 i 2005, kiedy przygotowywał działania polskiego prezydenta. Opowiadał mi: „Byłem w ekipie dyplomatów, których Kwaśniewski – zanim sam się zaangażował w rozwiązanie konfliktu – posłał na Ukrainę. I to też wskazuje na jego rozumną politykę. To, co robiliśmy, było tajne, w głębokiej tajemnicy tam jeździliśmy. Jako zwiad. Z kim tam nie rozmawialiśmy!”.

Efektom był wielki sukces polskiego prezydenta... Wtedy zresztą padły słowa, które szczególnie dziś mają

wielką wartość – że lepsza jest Rosja bez Ukrainy niż z Ukrainą. To były słowa Kwaśniewskiego w wywiadzie dla amerykańskich gazet. A Ciosek tłumaczył je tak: „Jak się prześledzi historię upadków imperiów w nowoczesnych czasach, to widać, że te imperia, które postanowiły się skoncentrować na rozwoju metropolii, samych siebie, zostawiając kolonie – rozkwitły. A te, które broniły stanu posiadania, brnęły w upadek. To samo jest z Rosją, która ma gigantyczne możliwości, ludzkie i przyrodnicze. Wszystko. I gdyby się skoncentrowała na Rosji właściwej, może kwitnąć. A terytorium? Jego starczy aż z nadmiarem. Po co im więcej?”.

Tak mówił Ciosek w roku 2004. I to chyba wyjaśnia, dlaczego przez kilkadziesiąt lat był w politycznej grze i był postacią ważną dla różnych ekip. Bo widział dalej, bo potrafił to wytłumaczyć. I, unikając złych emocji, potrafił negocjować, rozmawiać. Mądry człowiek.

Był zaprzeczeniem dzisiejszego sposobu uprawiania polityki – on chciał się dogadywać, łagodzić konflikty, patrzeć do przodu. Dziś zupełnie inna jest polityczna moda.

Robert Walenciak

Z Galicji



Jan Widacki

Zaczynamy się urządzać? Byle delikatnie!

Zjazd dziekanów wydziałów prawa polskich uczelni z okazji 25-lecia przyjęcia konstytucji podjął uchwałę. Warto przytoczyć ją w obszernych fragmentach. Dziekani podkreślają, że „Konstytucja jest najwyższym aktem prawnym Rzeczypospolitej Polskiej wyznaczającym podstawowe zasady funkcjonowania państwa, a także określającym prawa i wolności obywatelskie”. I że „obowiązkiem wszystkich organów i instytucji władzy publicznej jest przestrzeganie Konstytucji”. Dziekani przypominają również, że „od przestrzegania Konstytucji zależy stabilność systemu prawnego, bezpieczeństwo prawne i ekonomiczne obywateli oraz lojalna współpraca z Unią Europejską, organizacjami międzynarodowymi i innymi państwami”. Deklarują też, że zobowiązują się „do troski o to, aby zasady i wartości konstytucyjne promieniowały na programy studiów realizowane na polskich uczelniach”.

No bardzo pięknie, że dziekani akceptują, by zacytować klasyka, „oczywiste oczywistości”. Tyle że prawie każdy z nich ma na swoim wydziale profesorów jawnie lekceważących konstytucję i równocześnie kształcących studentów. Profesorów zajmujących prominentne stanowiska w Ministerstwie Sprawiedliwości, które konstytucję gwałci instytucjonalnie. Profesorów – neo-sędziów Sądu Najwyższego i sędziów dublerów w Trybunale Konstytucyjnym. Przecież tam aż roi się od profesorów prawa! Może warto by ich wskazać po imieniu, może napomnieć, jeśli nawet nie napiętnować? Zastanowić się, czy powinni oni uczyć studentów. Uczyć prawa i szacunku dla prawa.

To tak, jakby dyrektorzy instytutów geografii rzucili śmiało wyzwanie płaskoziemcom, przyjmując uchwałę, że Ziemia jest okrągła, i zalecili dyrektorom szkół, by kupili do swoich placówek globusy, a równocześnie, tak na wszelki wypadek, do ciał kolegialnych, takich jak senaty uczelni i Rada Doskonałości Naukowej, wydelegowali kilku kolegów płaskoziemców.

Kiedyś Stefan Kisielewski powiedział, że nieszczęście polega nie na tym, że znaleźliśmy się w d... ale na tym, że w tej d... zaczęliśmy się urządzać. Wygląda na to, że istotnie zaczynamy się urządzać. To smutne, a skutki tego będą opłakane.

Oczywiście na razie nie ma podstaw ani możliwości, by tych wszystkich profesorów wiceministrów,

neo-sędziów i sędziów dublerów jawnie lekceważących konstytucję odsunąć od nauczania. Ale może wystarczyłoby ich wyraźnie napiętnowanie, jakiś towarzyski ostracyzm? Może powstrzymałoby to następnych? Zabrakło odwagi, by do tego wezwać? A może po prostu zabrakło woli? To czujmy się przynajmniej współodpowiedzialni za to, co jest. Wolimy się nie czuć? Kiedyś nam to wypomną. Oj, będziemy wtedy się wstydzić!

A może ta delikatność uchwały dziekanów to jakieś *signum temporis*? W lewicowym „Zdaniu” redakcja przypisami objaśnia wyrażenia użyte w wywiadzie (skądinąd bardzo ciekawym) przez Jerzego Urbana. „Cipa” objaśniona jest w przypisie przez redakcję jako „anat. wagina”. „Rznięcie” zostało w przypisie wyjaśnione jako „pot. stosunki seksualne”. A gdy Urban wystawienie Magdaleny Ogórek do kandydowania w wyborach prezydenckich wyjaśnia „czułością Leszka Millera” do „ładnych dup” – redakcja w przypisie śpieszy z wyjaśnieniem, że wedle Słownika Języka Polskiego PWN

Na razie nie ma podstaw, by tych neo-sędziów i sędziów dublerów odsunąć od nauczania. Ale może wystarczyłoby ich wyraźnie napiętnować?

„dupa” to wulgarne określenie „młodej, atrakcyjnej seksualnie kobiety”. No to przynajmniej niegdysiejsza kandydatka lewicy na urząd prezydenta RP, a dziś prawicowa publicystka, została w sposób precyzyjny zdefiniowana.

Czy naprawdę zdaniem redaktorów „Zdania” lewicowy czytelnik bez tych przypisów nie zrozumiałby słów Urbana? Za stary już na zrozumienie slangu czy za delikatny i zbyt moralny? O moralności socjalistycznej nasłuchaliśmy się w PRL aż nadto. Czy ta moralność socjalistyczna w „Zdaniu” nadal obowiązuje? Ale czy ktoś tak socjalistycznie moralny i delikatny ma szansę wpłynąć na wynik najbliższych wyborów parlamentarnych? Przecież czasy chyba nieco się zmieniły. Moralność pewnie też. A może po prostu redakcja „Zdania” uważa swoich czytelników za idiotów? Też niedobrze. Ale wywiad z Jerzym Urbanem, bez względu na przypisy, bardzo ciekawy. Polecam (delikatnie).



MIEĆ MIEDŹ I KŁOPOTY

Odkryli największe w kraju złoża miedzi i utracili koncesję. Czyli jak to się robi nad Wisłą

Marek Czarkowski

Poszukiwania złóż surowców mineralnych w Polsce nigdy nie były łatwe. Rzecz nie tylko w skomplikowanej procedurze, wymagającej przed rozpoczęciem konkretnych prac uzyskania wielu zezwoleń w różnych urzędach, czasem w braku środków, a czasem doświadczonych pracowników.

Prawdziwym wyzwaniem są decyzje administracji państwowej, która – jak twierdzi – zawsze działa zgodnie z obowiązującym prawem. A jeśli mamy wątpliwości, możemy pójść do sądu. Co nie tylko kosztuje, ale też pochłania cenny czas.

Taka sytuacja, nie po raz pierwszy, przydarzyła się spółce Zielona Góra Copper, wchodzącej w skład grupy Miedzi Copper Corp. utworzonej przez kanadyjski koncern Lumina Capital Group z siedzibą w Vancouver,

specjalizujący się w inwestycjach w sektorach górniczym oraz energii odnawialnej. Dyrektorem generalnym wszystkich polskich spółek córek wchodzących w skład grupy jest prof. Stanisław Speczik, były prezes KGHM Polska Miedź oraz były dyrektor generalny Państwowego Instytutu Geologicznego. Kierowane przez niego spółki od lat zajmują się – z sukcesami – poszukiwaniami

Minister klimatu i środowiska zatwierdził dokumentację geologiczną trzech złóż: „Sulmierzyce Północ”, „Mozów” oraz największego z nich – „Nowa Sól”.

głębokich złóż rud miedzi i srebra. W perspektywie chcą zająć się ich eksploatacją.

W ostatnich latach minister klimatu i środowiska zatwierdził dokumentację geologiczną trzech zbadanych

Ceny materiałów do budowy wiertni, zwłaszcza stali, rosły w tym roku niemal z dnia na dzień.

przez nie złóż: „Sulmierzyce Północ”, „Mozów” oraz największego z nich – „Nowa Sól”. To ostatnie odkrycie wywołało spore emocje, gdyż prognozy wskazują, że może to być czwarte pod względem jakości złoża miedzi i srebra na świecie. Jego dotychczas rozpoznane zasoby to ponad 10 mln ton miedzi i ponad 36 tys. ton srebra. Spółka Zielona Góra Copper chciała kontynuować poszukiwania, licząc, że znajdzie znacznie więcej. Niestety, w marcu tego roku Departament Geologii i Koncesji Geologicznych Ministerstwa Klimatu i Środowiska wszczął procedurę sprawdzającą, czy koncesja jest realizowana. Sprawa stała się głośna nie tylko w Polsce, ale i za granicą.

Skarby nie dla każdego

Dotychczas grupa spółek Miedzi Copper udokumentowała na terenie naszego kraju zasoby ponad 21 mln ton miedzi oraz 160 tys. ton srebra, co stawia Polskę na trzecim-czwartym miejscu na świecie pod względem wielkości zasobów. Dziś z powodu kryzysu energetycznego oraz wojny w Ukrainie wydobycie węgla kamiennego jest opłacalne, bo „czarne złoto” jest drogie, lecz wiadomo, że za 20-30 lat nasze kopalnie zostaną zamknięte.

Z wydobyciem i przetwórstwem miedzi jest odwrotnie. Jeśli nad Wisłą powstaną nowe kopalnie i zakłady przetwarzające rudę tego metalu, nawet uwzględniając daleko idącą

automatyzację procesów wydobywczego i przetwórczego, powstaną tysiące nowych, dobrze opłacanych miejsc pracy. A wpływy z tytułu podatków będziemy liczyli w dziesiątkach miliardów złotych.

Bez miedzi nie sposób wyobrazić sobie najnowocześniejszych gałęzi przemysłu z elektroniką, branżą kosmiczną, motoryzacyjną i energetyką na czele. Świat potrzebuje tego metalu i będzie potrzebował go coraz więcej. Polska z zasobami, jakimi dysponuje, mogłaby wiele zyskać. Lecz potrzebne są dalsze prace poszukiwawcze oraz badania złóż, a w końcu decyzja o budowie kopalń oraz uruchomieniu wydobywania i produkcji miedzi.

Niestety, wiele wskazuje na to, że ten cel oddala się coraz bardziej. Powodem są decyzje administracyjne urzędników resortu klimatu i środowiska. Przy czym w odniesieniu do spółek wchodzących w skład grupy Miedzi Copper to nic nowego.

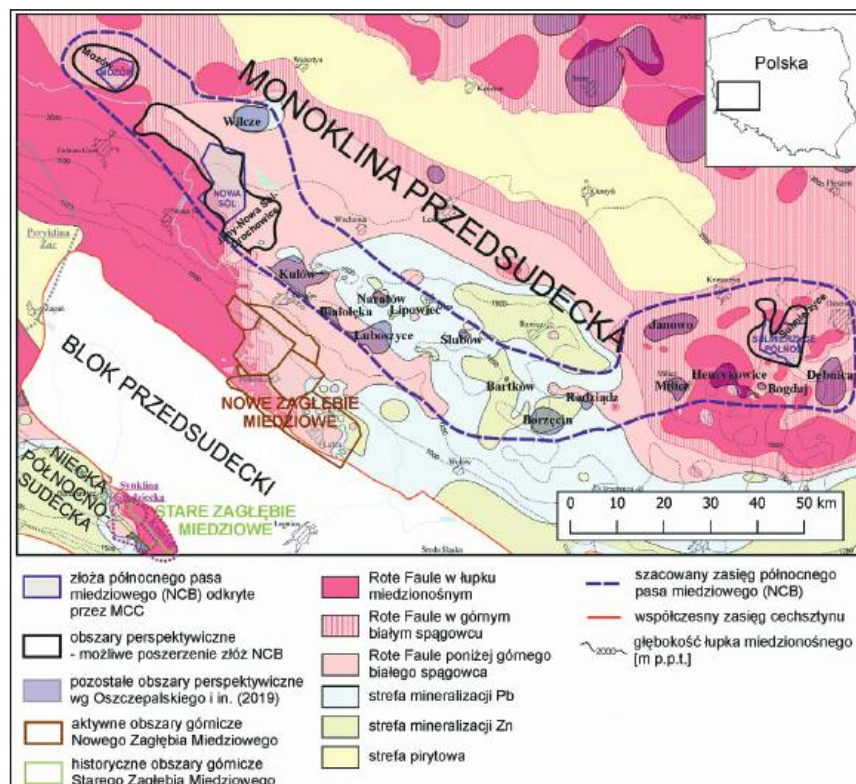
Na początku 2014 r. media obiegała informacja o udzieleniu spółce Leszno Copper, będącej częścią Lumina Group, koncesji na poszukiwanie i rozpoznawanie złoża rud miedzi na obszarze „Bytom Odrzański”. Niektórzy komentatorzy i politycy oburzali się, że nie przypadła ona rodzimeму koncernowi KGHM. O sprawie zawiadomiono Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, sugerując, że

doszło do korupcji na wielką skalę. Dziś wiemy, że nic takiego nie nastąpiło, a medialna burza zakończyła się niczym.

Jest faktem, że między należącą do Kanadyjczyków grupą Miedzi Copper a KGHM Polska Miedź trwała i nadal trwa cicha rywalizacja. Cóż, dyrektorem generalnym polskich spółek jest były prezes KGHM prof. Stanisław Speczik, świetnie znany w Lubinie oraz środowisku profesjonalistów zajmujących się wydobywaniem i produkcją tego metalu w Polsce. Wielu z nich to jego byli studenci.

Prof. Stanisław Speczik jest świetnie znany w środowisku profesjonalistów zajmujących się wydobywaniem i produkcją miedzi w Polsce.

Mapa północnego pasa miedziowego.



wszystko zaczyna wyglądać inaczej. Nasz kraj przegrał już kilka takich postępowań i przyszło wypłacić stronie przeciwnej ogromne kwoty. Najbardziej znanym przypadkiem jest sprawa prywatyzacji PZU S.A. i ugoda zawarta po przegranej przez Polskę procesie arbitrażowym z holenderską spółką Eureko, która kosztowała nasz kraj 4,77 mld zł.

A co się dzieje w kwestii koncesji na poszukiwania cennych surowców i minerałów? Jeśli zagraniczni inwestorzy wpakują w te przedsięwzięcia setki milionów dolarów i niczego nie znajdą, to wszystko jest w najlepszym porządku. Tak zdarzyło się ponad 10 lat temu, gdy największe koncerny energetyczne: amerykańskie – ExxonMobil, ConocoPhillips, Chevron i Lane Energy oraz włoski koncern – Eni i kanadyjski Talisman Energy wraz z PGNiG i PKN Orlen wzięły się za poszukiwania gazu łupkowego w Polsce. Światowe media, powołując się na amerykańskie źródła, donosiły, że gazu łupkowego

► jest nad Wisłą w bród. Nic, tylko wierceć i wydobywać. Okazało się, że owszem, coś tam mamy, ale trudno „to coś” wydobyć i nie wiadomo, czy opłaca się pompować w ten biznes pieniądze. Dlatego zachodni inwestorzy się zwinęli i szybko o nich zapomniano.

Prognozy wskazują, że „Nowa Sól” może być czwartym pod względem jakości złożem miedzi i srebra na świecie.

Ze złożami rudy miedzi sytuacja jest inna. Wiadomo, że je mamy i są one bogate. Tylko znajdują się głęboko – od 1500 do 2000 m pod ziemią. Dla takich podmiotów jak kanadyjski koncern Lumina Capital Group, które specjalizują się w poszukiwaniach i wydobywaniu, tego rodzaju ryzyko jest wkalkulowane w zakres działań. Natomiast dla spółek wydobywczych zajmujących się produkcją może to być zbyt wiele. Lepiej poczekać, aż wszystko się wyjaśni i wtedy przystąpić do działania.

Pod tym względem doświadczenia KHGM Polska Miedź nie są najlepsze. Na przełomie XX i XXI w. nasz koncern zainwestował – jak wyliczyli inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli – 100 mln dol. w dzierżawę (a nie zakup) od kongijskiej firmy Sodimico złoża rud miedzi i kobaltu w Kongu, a konkretnie w prowincji Katanga. Afrykański biznes okazał się dla strategicznej spółki skarbem państwa katastrofą. Po latach jeden z prezesów KHGM nazwał to „bolesnym procesem” nauki zarządzania.

Dziś sytuacja lubińskiego koncernu jest znacznie lepsza, choć problemem jest coraz trudniejsza eksploatacja złóż, które po latach się wyczerpują. Siłą rzeczy odkrycia dokonane przez spółki z grupy Miedzi Copper rozbudziły apetyty menedżerów KHGM. Po co szukać daleko, skoro bogate złoża są dosłownie rzut kamieniem od Lubina? Nic też nie stoi na przeszkodzie, by urzędnicy resortu klimatu i środowiska delikatnie wsparli dobrze rozumiany interes narodowy. Oczywiście zgodnie z prawem.

Drastyczne rozwiązanie

Wrześniową decyzję o cofnięciu bez odszkodowania koncesji nr 17/2011/p z 3 czerwca 2011 r. na poszukiwanie i rozpoznanie złoża rud miedzi i srebra w obszarze „Nowa Sól” podpisała pani Lidia Król,

dyrektor Departamentu Geologii i Koncesji Geologicznych w Ministerstwie Klimatu i Środowiska. Bez wątplenia jest to osoba o wysokich kwalifikacjach. Dlatego warto przyrzec się argumentom, przemawiającym – zdaniem pani dyrektor – za tak drastycznym rozwiązaniem.

W jej ocenie spółka Zielona Góra Copper nie realizowała zawartych w koncesji zobowiązań do dokonania odwiertów, przeprowadzenia badań geofizycznych i laboratoryjnych oraz wykonania niezbędnych prac

budowlanych, zwłaszcza stali, rosły niemalże z dnia na dzień. W kraju nie ma zbyt wiele firm wiertniczych, a te które są, miały problemy z opracowaniem kosztorysów. W drugiej połowie 2021 r. inflacja zaczęła rosnąć. W pierwszej połowie 2022 r. stała się poważnym problemem.

Dopiero 16 maja 2022 r., zgodnie z rozporządzeniem ministra zdrowia, w Polsce odwołany został stan epidemii w związku z zakażeniem wirusem SARS-CoV-2. Zgodnie z obowiązującą od marca 2020 r. tarczą antykryzysową resort klimatu i środowiska winien uwzględnić szczególne okoliczności, w jakich znalazła się nie tylko spółka Zielona Góra Copper, lecz cała gospodarka. Taka była intencja ustawodawców, którzy rok wcześniej przyjmowali w Sejmie ustawy popularnie nazwane tarczami antykryzysowymi.

W ocenie prawników reprezentujących spółkę resort wyznaczył nierealny dwumiesięczny termin usunięcia stwierdzonych – zdaniem urzędników – naruszeń. Władze spółki Zielona Góra Copper na bieżąco informowały

Grupa spółek Miedzi Copper udokumentowała na terenie naszego kraju zasoby ponad 21 mln ton miedzi oraz 160 tys. ton srebra.

dokumentacyjnych, jak podkreślono – „zgodnie z harmonogramem”.

Od marca br., czyli od chwili, gdy resort klimatu i środowiska wezwał spółkę „do usunięcia naruszeń”, tzn. rozpoczęcia robót geologicznych określonych w punkcie 4.2 koncesji – rozpoczęła się intensywna wymiana korespondencji między stronami. Spółka Zielona Góra Copper argumentowała, że podjęła niezbędne działania, lecz podobnie jak wiele innych przedsiębiorstw padła ofiarą pandemii COVID-19. Jej partnerzy, w tym firmy zajmujące się wierceniami, miały poważne problemy z zapewnieniem obsady swoich urządzeń. Wystarczyła jedna osoba zarażona wirusem, by cały zespół musiał być poddany kwarantannie.

Nie sposób było w krótkim czasie zorganizować i przeprowadzić przetargów, gdyż ceny materiałów

ministerstwo o podejmowanych działaniach. Wyjaśniały, że bez posiadanych końcowych pozytywnych decyzji administracyjnych Dyrekcji Lasów Państwowych, Okręgowego Urzędu Górniczego oraz stosownych organów administracji samorządowej nie można było rozpocząć prac wiertniczych na terenie objętym koncesją. Każdy z tych urzędów zgodnie z prawem ma czas na rozpatrzenie wniosku. Spółka pisała, że dokłada wszelkich starań, by skrócić terminy uzyskania stosowanych pozwoleń. Gdy w końcu je otrzymała, na inne kroki zabrakło już czasu.

W przyszłości sąd będzie musiał rozstrzygnąć, kto w tym sporze miał rację. Będzie musiał uwzględnić wyjątkowe okoliczności, w jakich toczyła się sprawa. Zbadać, czy urzędnicy nie naruszyli obowiązującego wówczas prawa, którego

zadaniem było wspieranie przedsiębiorstw w czasie epidemii. Co oznaczało m.in. tolerancję dla przyjętych wcześniej terminów.

Z odpowiedzi na moje pytania, które we wrześniu skierowałem do Ministerstwa Klimatu i Środowiska, wynika, że Departament Geologii i Koncesji Geologicznych twierdzi, że „decyzja o cofnięciu koncesji została podjęta przez organ koncesyjny w związku z naruszeniem warunków określonych w udzielonej spółce koncesji, do czego obligują przepisy prawa”. Owo naruszenie – zdaniem departamentu – polegało na tym, że „realne działania spółki na koncesji zakończyły się, po odwierceniu otworu C15”, co nastąpiło 9 czerwca 2020 r. Cóż, w przyszłości urzędnicy będą musieli dowiedzieć, że faktycznie tak było.

Gdy nie wiadomo, o co chodzi

To z pewnością chodzi o pieniądze. Historia poszukiwań złóż miedzi i srebra przez spółki z grupy Miedzi Copper liczy ponad 10 lat.

W przeszłości nie raz było tak, że gdy jednej z nich udało się zlokalizować, przebadać i oficjalnie potwierdzić obecność nowych złóż miedzi, zaczynały się problemy. Tak Kanadyjczycy, jak i kierownictwo spółek starało się polubownie rozwiązywać problemy, jakie pojawiały się w kontaktach z urzędnikami. Gdy nie było wyjścia, sprawy kierowano na drogę sądową. I zdecydowana większość z nich została przez inwestorów wygrana. W ubiegłym roku dyrektor generalny prof. Stanisław Speczik proponował KGHM Polska Miedź wspólną eksploatację złoża „Nowa Sól”, wskazując na szanse i możliwości, jakie taka decyzja otworzyłaby przed polską gospodarką i województwem lubuskim. Dziś wiem, że ta deklaracja została bez odpowiedzi. Za to uaktywnił się resort klimatu i środowiska, który zaczął surowo egzekwować zapisy koncesji udzielonej spółce Zielona Góra Copper.

Wolno jedynie domniemywać, o co chodzi. Akcje spółki KGHM Polska Miedź od czerwca ubiegłego roku, gdy ich notowania na

warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych osiągnęły rekordowe 208 zł, znajdują się w trendzie spadkowym. W ubiegłym tygodniu za jedną akcję trzeba było zapłacić 85-90 zł. 11 października br. odwołani zostali prezes zarządu spółki Marcin Chłudziński oraz wiceprezes Jerzy Paluchniak.

Nie jest tajemnicą, że przejęcie przez KGHM Polska Miedź koncesji spółki Zielona Góra Copper na poszukiwania miedzi i srebra na złożu „Nowa Sól” miałoby poważny wpływ na jego kondycję. Nawet jeśli przez najbliższe 20 lat nie wybudowano by tam żadnej kopalni i nie uruchomiono wydobycia.

Bez wątpienia, gdyby we współpracy z Kanadyjczykami powstał „Drugi KGHM”, skorzystałoby województwo lubuskie, które – o czym wiedzą jego mieszkańcy i samorządowcy – awansowałoby do najbogatszych w kraju. Lecz na to się nie zanosz. Ta historia z pewnością będzie miała ciąg dalszy. Tylko czy ze szczęśliwym zakończeniem?

Marek Czarkowski



W bieżącym numerze także:

- ▶ Evelyne Pieiller
Po co nam wróg?
- ▶ Michael T. Klare
Nowa era rywalizacji wojskowej z Chinami
- ▶ Eduardo Galeano
Jak wojna paragwajska udaremniła udaną próbę niezależnego rozwoju
- ▶ Thomas Piketty
Dziedzictwo niewolnictwa i kolonializmu

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska

Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Co robiłaś, zanim zaczęłaś uczyć?

– Żartuję sobie, że jestem kobieta pracująca i żadnej pracy się nie boję. Skończyłam nawet psychologię zwierząt. Całkiem fajnie się zarabiałam na sprzątanii kuwet. Spokojna praca, klienci się do ciebie przytulają, wyprowadzasz ich na spacer.

A potem włożyłaś głowę w paszczę lwa i poszłaś pracować w szkole.

– Ja to nawet robiłam równocześnie. Taki sposób na odprężenie i dorobienie do nauczycielskiej pensji. Sprzątałam też w barze, ale dawało mi to satysfakcję – wielki, pusty lokal nad ranem, światło, muzyka i leciałam z domestosem. A potem szłam prowadzić lekcje.

Miałem pod opieką dziecko, co niedawno zaczęło studia. Mądra dziewczyna, ale ma wstręt do książek. Mówi, że to przez lektury.

– Monika Adamska, nauczycielka emisji głosu, opowiadała mi o swoim odkryciu. Okazuje się, że jest pewien procent osób, które mają afantazję, czyli nie mają wyobraźni obrazowej, i lektury są dla nich koszmarem, bo nie projektują w głowie filmu, kiedy czytają. Trafia do nich ogólny przekaz książki, ale nie widzą akcji i nie potrafią o tym opowiedzieć.

A co z resztą uczniów i ich relacją z lekturami?

– Obiecałam swoim pracownikom i uczniom, że opracuję „Potop” w taki sposób, aby był on jakimś cudem bardziej zrozumiały dla licealistów.

I jak idzie?

– Opornie. Sama cierpię. Dla mnie jest to historia o facecie, który, co się wkurzył, to sobie pogwałcił albo spalił wioskę, a jego dziewczyna Oleńka mówi: „Póki się nie zmienisz, to nie będę twoją żoną”. W tej książce co chwilę gdzieś jadą i wracają. Potem Kmicic zmienia imię i Oleńka mówi, że już może być jego żoną. Zastanawiam się, co to w ogóle za historia i dlaczego uczy się jej w szkole.

To jak prowadzisz zajęcia z takich lektur jak „Potop”?

– Mamy mnóstwo błędów w polskiej edukacji. Pierwszym jest to, że nauczyciele się nie edukują. Robią to samo co prof. Bładaczka i inni

Lektury to tylko tło

W ogniu dyskusji uczennica nie wytrzymała i obrażona wyszła z klasy, tak trzaskając drzwiami, że urwała klamkę



ANETA KORYCIŃSKA

– polonistka, nauczycielka i założycielka strony Baba od polskiego, która od siedmiu lat przyciąga uwagę ponad miliona użytkowników. Pokazuje, że współczesna szkoła nie musi być nudna. Punktuje też absurdalność systemu edukacji.

nauczyciele z „Ferdydurke”. Jak do-
stają listę lektur, to przeżywają, że
jest ich albo dużo, albo mało, ale od-
twarzają ją tak samo, jak odtwarzali
im ją ich nauczyciele. Lekcje polskie-
go są oderwane od rzeczywistości,
zamknięte w klasie z nauczycielem,
który często odpytuje lub, co gorsza,
każe przepisywać.

**To może trzeba wyrzucić ten „Potop”
i kilka innych staroci, zamiast szu-
kać sposobów na ich omówienie?**

– Nie. To ważne, żeby uczniowie
wiedzieli, że jest coś takiego jak „Po-
top”, bo młodzi ludzie mają dziś zero-
wą wiedzę ogólną o świecie. Widać
konsekwencje tego stanu rzeczy, bo
nastolatki nie rozumieją np., co się
dzieje w życiu politycznym; żeby
zrozumieć bieżący świat, trzeba wie-
dzieć, co było wcześniej i co z czego
wynikało. Te puzzle ze wszystkich

ale przyrzekł mu wierność. Możesz
to na lekcji przyrównać do dylematu
influencerki, która sprzeciwia się woj-
nie, ale ma kontrakt z marką, która nie
wycofała się z Rosji. Tym dzisiaj żyją
uczniowie i rozumieją analogię.

**Czyli na przestrzeni wieków widać,
że ludzie się nie zmieniają?**

– Niewiele. I to jest ogólny wnio-
sek, który podsuwam uczniom już na
pierwszej lekcji.

**To co robisz przez resztę roku
szkolnego, skoro zdradzasz im clou
problemu już na starcie?**

– Podaję im to na tacy, bo i tak tego
nie zapamiętują. Potem, w trzeciej kla-
sie, mówię im, że jeśli sami nie czytali
lektur, to zmarnowali trzy lata życia,
bo słuchali moich interpretacji, a mie-
li czytać książki przez pryzmat siebie.
Ale najważniejsza jest dyskusja, dlate-
go prowokuję uczniów.

Żadna lista lektur nie jest nam potrzebna.

Wystarczy, że uczymy kontekstowo albo chronologicznie.

przedmiotów nie skleją się jeszcze
w całość na etapie liceum, a nawet
studiów. Dlatego omawianie kontek-
stu danych czasów jest potrzebne.
Jednak pytanie o rozmiar rękawiczek
Izabeli Łęckiej jest żartem, bo w lite-
raturze chodzi nie o to, ale o pytanie
samiych siebie, co byśmy zrobili na
miejscu bohaterów. Ten polski jest
właśnie po to – aby uczyć się siebie.

**To jak pogodzić współczesność
z tymi lekturami?**

– Weźmy „Pieśń o Rolandzie”.
Wystarczy wybrać najważniejszy
fragment, dzięki któremu uczniowie
zrozumieją, czym była ars moriendi,
a potem czytamy na lekcji „Wiedź-
mina”, bo to tam uczniowie znajdują
więcej przydatnych dla nich kontek-
stów. Paradoksalnie nowa matura
daje możliwość zmiany myślenia
o lekturach. Wiele zależy jednak od
nauczycieli. Owszem, są 54 lektury
i dotyczące ich pytania, ale nikt nie
wymaga znajomości imienia matki
Seweryna Baryki, trzeba natomiast
rozumieć konteksty. Drugi tekst może
być spoza listy lektur. Nawet „Potop”
można przełożyć na życie.

Jak?

– Popatrzymy na rozterki Kmici-
ca, który widzi zdradę Radziwiłła,

I często się z tobą kłóca?

– Tak! „Lalka” jest książką wywo-
lującą największe emocje. Zawsze
pytam, czy Wokulski jest tym po-
szkodowanym, czy może stalkerem
i przemocowcem, a może, jak to uj-
mują moi uczniowie, frajerem. Kiedyś
w ogniu dyskusji uczennica nie wy-
trzymała i obrażona wyszła z klasy, tak
trzaskając drzwiami, że urwała klamkę.
Zajęcia z omawiania lektury nie muszą
oznaczać sprawdzianu. Lekcje są m.in.
po to, aby uczniowie zapragnęli prze-
czytać książkę do końca.

To czym mają być lekcje polskiego?

– Mają być miejscem do dyskusji.
Rozmowa o świecie jest podstawą
tych zajęć. Tematem mogą być bie-
żące wydarzenia polityczne, które
będą pretekstem do rozmowy o sile
mediów i propagandy. Wystarczy po-
kazać uczniom, jak przedstawiana jest
wojna przez stronę rosyjską i ukraiń-
ską. Ten temat chwyci, bo to są rze-
czy, które dotyczą uczniów tu i teraz.
A przy okazji wrzucam kilka cytatów
z „1984” Orwella, który jest lekturą.

**To, co uprawiasz, nazwałbym hako-
waniem oświaty.**

– Ja sama po prostu się nudzę!
Wyobraź sobie, że ktoś ci opowiada
dokładnie to, co przeczytałeś.

Nuda.

– Właśnie! Dlatego jako nauczy-
cielka muszę wychodzić poza. Roz-
miar rękawiczek Łęckiej nie ma
znaczenia. Daję uczniom fragmenty
„Lalki”, w których Wokulski mówi
o Łęckiej per głupia krowa. Ogląda-
my też internetowe memy dotyczące
„Lalki”. Jest taki jeden okrutny, na
którym dwa koty podpisane Łęcka
i Starski uprawiają seks, a trzeci jest
podpisany „Wokulski się patrzy”. I ta-
kiej sytuacji w książce nie ma. Jest
jedynie rozmowa po angielsku i od-
bicie w szybie. Jednak to świetna
okazja do tego, żeby podkreślić, że
zazdrosny Wokulski, jeżdżąc do Pa-
ryża, korzystał z domów publicznych
– mem sugeruje zatem, że twórca nie
znał powieści. Na dodatek staje się
punktem wyjścia do dyskusji na te-
mat postrzegania seksualności i mo-
ralności z uwzględnieniem płci.

**Sami przemocowcy i gwałciciele
w tych książkach. Czarnek z Rosz-
kowskim nas straszą Metallicą,
a tutaj takie rzeczy w kanonie lektur.**

– Prowadziłam rozmowę w Femi-
notece o przemocy w lekturach szkol-
nych. Nigdy wcześniej nie myślałam,
żeby to zebrać według takiego klu-
cza, ale okazało się, że gadałam dwie
godziny i nie udało mi się skończyć.
W „Cudzoziemce” mąż gwałci żonę,
która potem wyżywa się na córce.
Wszyscy się śmieją z pani Dulskiej,
a nikt nie zwraca uwagi, że rodzice
płacą ciężarnej pokojówce za milcze-
nie. Przykładów jest tyle, że zaczęłam
się zastanawiać, jakim cudem nic
z tego nie pamiętamy po wyjściu ze
szkoły. Od lat wałkujemy te same lek-
tury, ale ich nie znamy.

To może zmienimy tę listę lektur?

– Uważam, że żadna lista lektur nie
jest nam potrzebna. Wystarczy, że
uczymy kontekstowo albo chrono-
logicznie. Fajniejsza jest ta pierwsza
opcja, ale to wymaga od uczniów
pewnej dojrzałości i umiejętności
łączenia puzzli. Młodzi ludzie często
jeszcze tego nie mają. To nie jest tak,
że z nimi jest jakiś problem. Tak po
prostu jest. Chociaż są czasem kło-
potliwe sytuacje, np. po pytaniu, czy
w Ameryce była literatura średnio-
wiecza, w klasie zapada cisza. Widać,
że wszyscy to mieli, aż ktoś w końcu
wypala: „Yyy... no tak!”

► No tak, przecież średniowiecze było wszędzie!

– Szkoła wtłacza uczniom, że muszą znać odpowiedź, a nie łączyć kropki. Zauważ, że na historii nikt nie mówi o Mickiewiczu, a na polskim o powstaniach. Co z tego, że patrzysz na jakieś daty. Potrzebne jest jeszcze krytyczne myślenie. Potem wszyscy są w szoku, gdy 12-latek wie, że Wałęsa był laureatem Pokojowej Nagrody Nobla, i że nie dowiedział się tego z memów.

Można się śmiać, ale to zbija z pan-tałyku.

– Ja nie mówię, że my byliśmy lepsi. Pewnie mieliśmy równie zero-wą wiedzę w ich wieku. Pytanie, jak zadbać o tę wiedzę ogólną, kiedy wszystko widzimy oddzielnie.

Widzisz jakieś plusy współczesnej szkoły?

– Łatwo sprawić, aby szkoła była fajnym miejscem. Wystarczy, że nauczyciele wyjmą kijek z tyłka i przestaną myśleć, że idą co roku od-twarzać to samo, a nastawią się, że mają sami dobrze się bawić. Choćby o „Moralności pani Dulskiej” można rozmawiać przez pryzmat Hiacynty Bukiet z „Co ludzie powiedzą?”. Lek-tura jest jedynie pewnym tłem.

No to nauczyciele mają zabawę, a uczniowie?

– Psycholog biznesu Andrzej Tucholski wskazuje sporo plusów edukacji publicznej. Mówi, że szkoła nauczyła go życia. Szkołę trzeba przetrwać, bo w ten sposób uczymy się relacji społecznych. Trzeba wybierać metody radzenia sobie w grupie. Przecież w życiu dorosłym nikt cię nie pyta, czy chce ci się, czy nie. Jak czegoś nie zrobisz, to jesteś słabym pracownikiem. A szkoła uczy cię od najmłodszych lat, że cokolwiek by się działo, musisz na tę ósmą wstać.

To jedna z najgorszych rzeczy.

– I widzisz, szkoła pokazała ci, że tego nie lubisz. Niestety, w szkole za mało uwagi poświęcamy na to, aby zobaczyć siebie – co jest dla mnie dobre. Weźmy skok przez kozła na WF. Nie powinno się oceniać samego skoku. Najważniejszy jest fakt, że to zrobiłeś i wiesz, czy to lubisz, czy nie.

Opowiedz o pracy w zawodzie.

Byłaś w szkole publicznej, byłaś w społecznej, teraz masz własną markę Baby od polskiego.

– Pracowałam też w dużym zespole szkół ponadgimnazjalnych, gdzie była zawodówka. W każdej z tych placówek mierzyłam się z innymi problemami, ale od razu powiem jedno – uczniowie się nie różnią. Mają inną opiekę, inny start, ale jeśli chodzi o głód wiedzy, nie ma różnicy, czy to jest szkoła zawodowa, czy inna. Na każdego trzeba po prostu znaleźć sposób, zainteresować go.

Bywa trudno?

– Trafiłam do klasy w szkole zawodowej, gdzie w tygodniu była jedna godzina polskiego i dwie religii. Pierwszą rzeczą w podręczniku był wiersz „Do Matki Polki” Mickiewicza. W trzeciej zwrotce jest „klękni i na miecz patrzaj”. W klasie sami chłopcy wchodzący w wiek reprodukcyjny.

Szkoła wtłacza uczniom, że muszą znać odpowiedź, a nie łączyć kropki.

Z takim materiałem masz po lekcji. Zrozumiałam, że nie przerobię z nimi tak poezji, więc zaczęliśmy wałkować teksty hiphopowe.

I jak odebrali taką zmianę?

– Pisali nawet własne teksty. Zawsze jest sposób, aby zainteresować uczniów. W gruncie rzeczy to wspaniała praca, chociaż nigdy nie sądziłam, że zostanę nauczycielką. To genialne, co uczniowie potrafią wykombinować, o co pytają. Jedyne, co nie jest w szkole fajne, to rady pedagogiczne i specyficzne relacje między nauczycielami. W pokoju nauczycielskim zawsze czuć pewne napięcie i nie za bardzo wiadomo, o co chodzi. Raczej nie o pensję, bo wszyscy zarabiają psie pieniądze.

Powietrze można nożem kroić?

– Czasem, gdy przychodzisz do nowego miejsca, nie rozumiesz, czemu niektórzy ze sobą nie rozmawiają. W jednej szkole kilka starszych pań nie odpowiadało mi na „dzień dobry”. Nie wiedziałam dlaczego. Po pół roku dowiedziałam się, że usiadłam na „ich krześle” w pokoju nauczycielskim. Taki poziom absurdu wśród dorosłych ludzi. Nauczyciele nie mają luzu. A dyrekcja z byle powodu woła na dywanik.

Mam rozumieć, że w szkole pracują jedynie entuzjaści? Kasa kiepska,

współpracownicy toksyczni, dyrekcja z permanentnymi pretensjami...

– Część osób, jak ja, rzeczywiście uwielbia to robić. Są też tacy, którzy nie mają wyjścia: kilka lat do emerytury albo kredyty. W fatalnej sytuacji są kobiety po czterdziestce, które mają problem ze znalezieniem zatrudnienia. Po pracy w szkole trzeba wejść na rynek od zera, więc znajome zło wydaje się lepsze.

Czyli nauczyciele są zakładnikami sytuacji.

– Tak. Gdyby mogli pracować również w innych miejscach albo po prostu zarabiać więcej – perspektywy byłyby lepsze. W zupełnie innej sytuacji są nauczyciele zawodów. To najczęściej przedsiębiorcy, którzy ot tak wpadają na pouczyć. A to ma jeszcze inny efekt – dziś lekcje w technikum potrafią się kończyć o ósmej wieczorem, bo biznesmeni nie mają czasu siedzieć w szkole za półdarmo.

Coś tutaj jest źle pomyślane.

– W polskiej szkole nie mówi się, że edukacja to wartość. Tutaj każe się chodzić na lekcje i dostawać dobre oceny. Uczniom mówi się, że to się przyda. Niestety, różnie to później wychodzi. I nie ma takiego nastawienia, że nauczanie jest prestiżem, a nawet obowiązkiem.

Trudno mi powiązać sformułowanie „fajnie jest wiedzieć” z pensją

2 tys. zł. Jesteśmy po trzydziestce.

Nie czujesz się oszukana tym, że na każdym kroku powtarzano nam „ucz się, ucz”?

– Nie, bo ja lubię się uczyć. Oczywiście na studiach i tuż po było trudno. Pamiętam, jak na pierwszym roku doktoratu zemdlałam z głodu i nieraz musiałam przetrwać takie fale biedy, ale dziś widzę, że mi się to przydało. Stałam się osobą zaradną i żyję, jak chcę. Pewnie, był moment, że czułam się frajerką, gdy znajomi bez matury zarabiali więcej. Jednak teraz oni nie mają tej wolności, którą mam ja, chociażby w wybieraniu pracy. Mogę uczyć w Polsce, mogę uczyć za granicą, mogę sprzątać, opiekować się psami, robić garnki z gliny. Dziś mogę wykorzystywać tę wiedzę, którą zdobywałam latami.

Kornel Wawrzyniak

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Konstytucja wielkanocna

Trudno uwierzyć, ale był taki czas, gdy w Sejmie III RP nie było prawicy. Po wyborach 1993 r. żadne z ugrupowań prawicowych nie osiągnęło wymaganego progu. Triumfował SLD. Centrystyczna Unia Demokratyczna (od 1994 r. Unia Wolności) stała się w tej sytuacji jedyną w Sejmie przedstawicielką obozu „solidarnościowego”. W partii tej pamiętano, że stworzony przez nią koalicyjny rząd Hanny Suchockiej został dopiero co obalony przez prawicę, ale unijni politycy, związani przeżyciami kombatanckimi, razem z prawicą uznawali SLD za wroga. Tymczasem jednak trzeba było uchwalić konstytucję.

Byłem członkiem Rady Krajowej Unii Wolności i na jej kongresie w styczniu 1997 r. słuchałem wystąpienia byłej premier Hanny Suchockiej. Odrzucała ona rozpowszechnione wtedy myślenie, że do przyjęcia konstytucji ówczesny parlament „nie ma moralnego prawa”, ale równocześnie przyjmowała jako fakt oczywisty tegoż parlamentu „niereprezentatywność”. Obawiając się, że uchwalona już teraz ustawa zasadnicza będzie w przyszłości kontestowana, radziła odłożyć prace nad nią i najpierw wyrobić w społeczeństwie „patriotyzm konstytucyjny”. Było to logiczne i dalekowzroczne. Poczułem się przekonany.

Suchockiej odpowiedział jednak Tadeusz Mazowiecki. Nie był on już liderem UW, ale z jej ramienia pracował w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. Przewodniczącymi tego gremium byli kolejno Aleksander Kwaśniewski i Włodzimierz Cimoszewicz, a w tym czasie kierował już nim Marek Mazurkiewicz. Wszyscy oni reprezentowali SLD, lecz z parlamentarzystami innych ugrupowań lojalnie współpracowali. Świadom tego stanu rzeczy Mazowiecki mówił teraz, że prace nad konstytucją trwają już wystarczająco długo, że pora je wreszcie zakończyć, że komisja pochylała się nad różnymi projektami i moźolnie ucierała kompromis, że zmarnowanie jej dorobku oznacza w następnym parlamencie rozpoczęcie prac od nowa, więc ich obecne zawieszenie może być odłożeniem ich nawet na zawsze. Nigdy nie widziałem Mazowieckiego aż tak wzburzonego. „Jeśli nie popieracie moich działań w komisji – wołał – to mnie odwołajcie!”. Odpowiedziały mu rzesiste oklaski, dostał owację na stojąco.

Zapamiętałem tę dyskusję jako merytoryczny spór dwojga byłych premierów. Ale nie wiem, gdzie byśmy dziś byli bez przemówienia Mazowieckiego. Rzeczywiście, następny parlament (reprezentatywny,

bo zdominowany przez prawicę?) na pewno nie zdołałby uchwalić konstytucji – wszak prawica musiałaby najpierw porozumieć się sama ze sobą. A parlamenty kolejne? Byłyby do tego zdolne? I po jakim czasie okazałyby się zdolne? Jakiż to paradoks: największym orędownikiem przyjęcia Konstytucji III Rzeczypospolitej był SLD – partia nazywana „postkomunistyczną”. Największym przeciwnikiem jej przyjęcia była prawica – ponoć „antykomunistyczna”. Bo też od konstytucji nowej wołała prawica pozostawienie starej, stalinowskiej...

Ostatecznie, głosami SLD, PSL, UW i Unii Pracy, Zgromadzenie Narodowe 2 kwietnia 1997 r. przyjęło konstytucję. Był to jakby ostatni akord Okrągłego Stołu. Już dziewięć dni potem, 11 kwietnia, Unia Wolności wsparła obcą jej dotąd ustawę lustracyjną. A parę miesięcy później zawiązała koalicję z Akcją Wyborczą Solidarność i w latach 1998-1999 przeforsowała z nią ustawę o Instytucji Pamięci Narodowej (Mazowiecki wstrzymał się wtedy od głosu). W objęciach prawicy tożsamość Unii znikła, a w ślad za nią znikła też z Sejmu (już w 2001 r.) ona sama. Ale konstytucja pozostała. Jako że przyjęto ją

Największym orędownikiem Konstytucji III RP był SLD – partia nazywana „postkomunistyczną”. Największym przeciwnikiem była prawica – ponoć „antykomunistyczna”.

zaraz po świętach Wielkiejnocy, nestor polskiej polityki, Stanisław Stomma, ukuł nazwę „Konstytucja wielkanocna”. 25 maja odbyło się referendum i 53% społeczeństwa powiedziało konstytucji TAK. Weszła ona w życie równo przed ćwierćwieczem: 17 października 1997 r.

W historii Polski jest wyjątkiem. Nie dlatego, że w długości trwania zajmuje drugie miejsce po Konstytucji PRL, bo ta nie była demokratyczna. Chociaż: czy demokratyczne były pozostałe (poza Konstytucją marcową z 1921 r.) polskie konstytucje? Tymczasem Konstytucja wielkanocna została przyjęta w trybie demokratycznym do kwadratu, bo nie tylko przez wyłonione w wolnych wyborach Zgromadzenie Narodowe, ale i przez ogólnonarodowe referendum, a tego nigdy w Polsce nie było. Jednak dla prawicy to wszystko jest mało – jej przecież nie chodzi o demokrację, lecz o władzę. Hanna Suchocka mówiła o „patriotyzmie konstytucyjnym”, lecz po doświadczeniach z PiS nikt chyba nie będzie już miał takich złudzeń.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak

Który skrót brzmi bardziej znajomo: koalicja SLD-UP czy Nowa Lewica? Odpowiedź jest chyba prosta, więc dodajmy do tego kolejny element – w 21. rocznicę podpisania umowy koalicyjnej między SLD a Unią Pracy odbyła się w Sejmie konferencja, podczas której ogłoszono umowę programową między Unią Pracy a Stowarzyszeniem Lewicy Demokratycznej. Umowę otwartą, do której dołączyć mają kolejne lewicowe ugrupowania. Tak oto na naszych oczach sił nabiera ta część lewicy, która nie znalazła się w ugrupowaniu Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia. Ci, którzy nie zostali do ich partii zaproszeni albo też podczas jednoczenia Wiosny i SLD rok temu zostali wypchnięci lub sami zdecydowali, że wolą stać obok.

Co z tego będzie?

Zdecydowanie za wcześnie jest, by odpowiadać na to pytanie. Przede wszystkim dlatego, że narastający podział Polski na PiS i anty-PiS odbiera tlen innym ugrupowaniom i niestychanie zubaża debatę publiczną. Różnie więc może być. Ale nie sposób też nie zauważyć, że ta nowa koalicja SLD-UP nie powstała w próżni. Bo ma bazę działaczy i przestrzeń programową.

Zjednoczenie Wiosny i SLD było szumnie zapowiadane, a okazało się – jak to określił prof. Jacek Raciborski – farsą. Poza głównym „zjednoczeniowym” nurtem zostało kilka znaczących organizacji, m.in. Unia Pracy, na aut wypchnięto dziesiątki działaczy.

Z perspektywy roku, wyraźnie widać, że zjednoczenie partii Czarzastego i Biedronia nie służyło wzmocnieniu siły lewicy, ale było rozgrywką o władzę wewnątrz formacji. Dziś obaj są praktycznie nieusuwalni, partia jest ich własnością – bo oni mogą zawiesić każdego. A jednocześnie owo „zjednoczenie” na nic wartościowego się nie przełożyło. Programowo Nowa Lewica buksuje, w debacie publicznej zajmuje pozycję marginalną, nie wychodząc poza banał. Sondażowo też nie błyszczy – oscyluje w granicach 6-11%.



21 października
Waldemar Witkowski
i Robert Kwiatkowski podpisali
porozumienie programowe.

Czarzasty i Biedroń mają konkurencję

Umowa programowa między Unią Pracy a Stowarzyszeniem Lewicy Demokratycznej

I właśnie ten stan otworzył miejsce dla nowej koalicji SLD-UP.

Trudno bowiem było przypuszczać, by Unia Pracy czy działacze, których Czarzasty pozbył się ze swojej partii, zrezygnują z życia publicznego. Dlaczego mieliby to robić? Nic dziwnego więc, że oni wszyscy, zamiast umierać, zaczęli się organizować. A przychodzi im to tym łatwiej, że Nowa Lewica swoimi błędami otwiera im polityczną przestrzeń.

Po pierwsze, jest zamknięta. Gotowa do współpracy co najwyżej z partią Razem. Tymczasem i Unia Pracy, i Stowarzyszenie Lewicy Demokratycznej deklarują otwarcie na inne środowiska lewicowe. „Mnóstwo ludzi szuka miejsca dla siebie – mówi Witkowski. – Trzeba ich więc przyciągnąć. Przede wszystkim mądrymi propozycjami”. Podobnie mówi Kwiatkowski – „Strategia kierownictwa Nowej Lewicy sprowadza się do wykluczania. Do eliminowania wszystkich niezależnych bytów na

lewicy. My mówimy co innego. Po tzw. zjednoczeniu lewicy mnóstwo działaczy popadło w apatię, w zniechęcenie. Chcemy do nich dotrzeć, aktywizować ich. I to po części się udaje. W kolejnych województwach powstają struktury Stowarzyszenia Lewicy Demokratycznej”.

Wbrew pozorom to nie jest trzeciorderny spór. To są dwa różne modele życia publicznego. Model, który niestety dziś coraz bardziej dominuje, polega na tym, że kierownictwo partii o wszystkim decyduje, a rolą sympatyków jest zaakceptowanie przyjętych decyzji i oddanie głosu w wyborach. Model alternatywny polega z kolei na tym, że sympatycy danej formacji tworzą różne byty – stowarzyszenia, organizacje pozarządowe, kluby i to one w dyskusjach, czasami gorących, kształtują kierownictwo ugrupowania. Oczywiście model ten utrudnia życie różnym kandydatom na dyktatorów, ale zakorzenia formację w kolejnych środowiskach.

Po drugie, SLD-UP i Nową Lewicę różni stosunek do minionych czasów. Widać to było podczas konferencji w Sejmie, w której gośćmi honorowymi byli twórcy koalicji SLD-UP sprzed 21 lat – Leszek Miller i Marek Pol. Nowa koalicja SLD-UP bezpośrednio nawiązuje do tamtej, określa się jej spadkobierczynią.

Widać to też, gdy rozmowy scho- dzą na tematy Polski Ludowej. Biedroń wówczas milczy, Czarzasty mówi, że jest „stary komuch”, i uważa, że to ułatwia wszystko. No nie ułatwia, „starym komuchem” jest też Stanisław Piotrowicz, „starym komuchem” był wieloletni skarbnik PiS Stanisław Kostrzewski i tak można mnożyć. W dzisiejszych czasach to określenie nic nie znaczy. Ważne są za to konkretne działania.

A tu Nowa Lewica jest ostrożna, nie zagłębia się w analizę tamtych czasów, a często, chyba w imię zachowania świętego spokoju, przyjmuje punkt widzenia prawicy.

Po trzecie, partia Czarzastego ma niejednoznaczny stosunek do PiS. I ciągnie się za nią umowa, którą zawarła z Mateuszem Morawieckim przed sejmowym głosowaniem nad Krajowym Planem Odbudowy, te negocjacje prowadzone z Michałem Dworczykiem. „Dziś Nowa Lewica jest bardzo antypisowska – mówi Robert Kwiatkowski. – Ale ponieważ nie jest to partia demokratyczna, wszystko tam zależy od kalkulacji jednego człowieka, więc nie wiemy, co może nastąpić w przyszłości”.

Na tym tle SLD-UP jest absolutnie jednoznaczna. „Zjednoczona Prawica to największy szkodnik w polskiej polityce od 30 lat – mówi Waldemar Witkowski. – I jesteśmy gotowi zrobić wszystko, by odsunąć ją od władzy”.

Po czwarte, co jest bardzo mocno podkreślane, oba środowiska różni podejście do demokracji. Tu krytycy Włodzimierza Czarzastego mają pole do popisu, bo wystarczy im przypominać, co obecny szef Nowej Lewicy wyczyniał podczas ubiegłorocznego zjednoczenia. Kiedy zawiesział członków zarządu partii jeszcze przed głosowaniem, kiedy odmawiał sprawdzenia kworum albo nie wykonywał uchwał Rady Krajowej. Jak można krytykować PiS za brak demokracji, skoro samemu demokracji się nie

przestrzega? – pytają. Co zresztą pozwoliło Leszkowi Millerowi wygłosić kilka kąśliwych uwag na temat fascynacji Włodzimierza Czarzastego metodami Jarosława Kaczyńskiego. „Uczeń prześcignął mistrza”. A Robert Kwiatkowski dodaje: „Oni są Nowa Lewica, a my jesteśmy lewica demokratyczna. Nieprzypadkowo”.

Po piąte, koalicja SLD-UP zwróciła uwagę na różnice programowe. Partia Czarzastego im to ułatwiła – wystawiając Roberta Biedronia w wyborach prezydenckich czy też Annę Marię Żukowską w telewizyjnych debatach. W ten sposób Nowa Lewica zaczęła być coraz mocniej utożsamiana z wojną kulturową, z walką o prawa osób LGBTQ+. Teoretycznie można uznać to za pomysł zerwania łąki partii postkomunistycznej, za chęć otworzenia się na nowe środowiska. Ale na razie ten pomysł punktów nie przynosi.

SLD-UP jest za to w tej dziedzinie konsekwentna. Waldemar Witkowski mówi krótko: „Chcemy wrócić do korzeni lewicy. Mówić o prawach pracowniczych, o spółdzielczości i o tym, co dziś szczególnie boli – czyli o mieszkaniach dla młodych”. I dodaje: „Nie trzeba być kapitalistą, żeby mieszkać. Można rozwijać budownictwo spółdzielcze, budownictwo lokatorskie. Trzeba rozwijać usługi publiczne dla wszystkich. I oczywiście mamy na sztandarze 35-godzinny tydzień pracy. Wychodzimy z założenia – ułatwmy sprawy

bytowe, zbudujmy sprawiedliwe społeczeństwo, to są sprawy kluczowe dla milionów”.

Robert Kwiatkowski temu sekunduje: „Istnieje zapotrzebowanie na reprezentację tradycyjnej lewicy. Idziemy pod czerwonym sztandarem”.

Ten czerwony sztandar, dodają obaj, to także poparcie dla samorządów, dla ludzkiej inicjatywy. „Dajmy szansę wykazać się ludziom innowacyjnością, pracowitością. Nie czekajmy na decyzje rządu. Ja to wiem: urzędnik nie wie lepiej!”, deklaruje Witkowski.

I teraz pytanie zasadnicze: czy te różnice okażą się dla sympatyków lewicy istotne? I jak nowy byt wpłynie na przyszłość całej formacji?

Jedna rzecz wydaje się pewna – nie wpłynie źle, nic nie pogorszy. Lewica potrzebuje wyjść z apatii, więc wszystko, co temu sprzyja, jest dobre. I nie ma co w tej chwili się martwić, jak to wpłynie na wynik wyborczy. Bo do wyborów daleko, ponad rok. Zatem bardziej martwmy się, czy w ogóle będą i czy będą uczciwe.

A lewica, i w ogóle Polska, potrzebują mobilizacji, zwłaszcza że PiS wypycha nas z pozycji, którą uznaliśmy za najlepszą dla kraju. Wypycha nas z Unii Europejskiej, zohydza ją każdego dnia i wypycha nas z demokratycznego dobrostanu. Przepychając, krok po kroku, w stronę formy autorytarnej.

Z wielkim smutkiem żegnamy

Stanisława Cioska

wieloletniego członka Rady Fundacji Amicus Europae, posła na Sejm PRL i członka Rady Ministrów, jednego z głównych negocjatorów Okrągłego Stołu i współautora zmian ustrojowych w Polsce, ambasadora RP w ZSRR i Rosji, doradcę Prezydenta RP ds. wschodnich. Wielkiego erudyty i znawcę spraw Wschodu, pogodnego i zawsze życzliwego Przyjaciela.

Spoczywaj w Pokoju.

Rodzinie i Bliskim składamy wyrazy najgłębszego współczucia.

*Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy
wraz z członkami Rady i współpracownikami
z Fundacji Amicus Europae*

Parasol dziurawy...

...ale i potencjalny deszcz nie taki groźny.
Oto, jak wygląda polska obrona przeciwlotnicza

Marcin Ogdowski

Kilkanaście dni temu na poligonie w Toruniu odbyła się prezentacja pierwszych bojowych elementów systemu antyrakietowego Patriot, który Polska zamówiła w Stanach Zjednoczonych w 2018 r. Obecni na miejscu prezydent Andrzej Duda i minister Mariusz Błaszczak przekonywali, że wdrożenie patriotów pozwoli stworzyć „unikalne w Europie warunki bezpieczeństwa”.

Gdzie nam do Niemców

Ta ostrożna w gruncie rzeczy opinia nie stanęła na przeszkodzie entuzjazmowi rządowych mediów i części komentatorów. Jeden z nich, doradca prezydenta RP prof. Andrzej Zybortowicz, stwierdził w publicznym radiu, że już w tej chwili „jesteśmy na innym, wyższym poziomie zabezpieczenia naszego kraju” niż europejskie państwa (jak Niemcy, Norwegia czy Wielka Brytania), planujące stworzenie „europejskiej tarczy przeciwlotniczej i przeciwrakietowej” (ang. European Sky Shield). Do tej pory patologiczne samochwalstwo dotyczące rzekomych – a w najlepszym razie przyszłych – możliwości obronnych Rzeczypospolitej pozostawało domeną ministra Błaszczaka. To on zwykł mówić w aspekcie dokonany („kupilem”) o zamiarach modernizacyjnych, kierując się oczekiwanym zyskiem marketingowo-politycznym. Przekonywanie o wyższych niż np. niemieckie zdolnościach przeciwlotniczych RP wywindowało ów absurd na kolejny poziom.

Przyjrzyjmy się bowiem patriotom, które mają zapewnić ochronę nieba na średnich odległościach



Zmagania w Ukrainie udowodniły skuteczność ręcznych wyrzutni przeciwlotniczych Grom/Piorun.

(ok. 100 km). Niemcy – kraj o kilkanaście procent większy od Polski – dysponują 12 bateriami systemu Patriot. Najstarsze pochodzą z końca lat 80. XX w., ale wszystkie są na bieżąco modernizowane, by pozostać w służbie do połowy lat 30. obecnego wieku. Gdy przed kilkunastu laty ustalano założenia programu „Wisła” – dotyczącego rakiet o zasięgu patriotów – przyjęto, że Polska potrzebuje dziewięciu baterii (każda ma osiem wyrzutni), żeby zapewnić sobie odpowiednie pokrycie. W 2018 r. zakupiono dwie baterie patriotów, sześć kolejnych chcielibyśmy nabyć do 2028 r. W tej sprawie jesteśmy na etapie wstępnym – nadal czekamy na odpowiedź Amerykanów, czy i kiedy są gotowi nam je sprzedać. Z siódmej, brakującej baterii zrezygnowano, zakładając, że lepsze parametry nowych radarów pozwolą na oszczędności (dotąd wydaliśmy na patrioty 4,75 mld dol.). Dwie, których elementy zademonstrowano na toruńskim poligonie, są dopiero integrowane z funkcjonującym systemem obrony przeciwlotniczej (OPL). O ich gotowości będzie można

mówić w przyszłym roku. Gdzie nam zatem do Niemców?

Z morza w powietrze

– Stan polskiej obrony przeciwlotniczej jest zły – nie pozostawia złudzeń dr Michał Piekarski z Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego. – Patrioty są przykładem wzmocnienia, ale to dopiero początek drogi. Dziś o naszym potencjale – poza tym na najniższym piętrze – decydują zestawy Kub, Newa i Osa, skuteczne ponad 40 lat temu, gdy rzeczywiście były szczytem techniki. Tymczasem potrzeby w zakresie ochrony

wojska i infrastruktury krytycznej są ogromne...

Piekarski, specjalizujący się w tematyce militarno-morskiej, jako jedno z najważniejszych obiektów wskazuje porty, instalacje przesyłowo-wydobywcze oraz bałtyckie farmy wiatrowe. Jak zauważa, Bałtyk jest przy tym obszarem, z którego może wyjść atak lotniczy i rakietowy, co przychodzi go do wniosku, że za sensownością inwestycji w duże okręty bojowe stoi też konieczność zwiększenia możliwości OPL.

– Planowane do zbudowania w ciągu najbliższych kilkunastu lat fregaty Miecznik byłyby poważnym wzmocnieniem – przekonuje. – Jeden okręt to mobilna stacja radarowa i jednocześnie bateria rakiet o zasięgu powyżej 50 km, która dodatkowo może zająć pozycje daleko od wybrzeża i tam zwalczać samoloty, rakiety i drony. Ponadto mobilność okrętów daje nam wysunięte oczy i uszy – a więc wiadomość o zagrożeniu nadejdzie wcześniej. Zasięg radarów jest bowiem zależny od ich położenia.

Obecne możliwości przeciwlotnicze marynarki dobrze ilustruje

niby-korweta Ślęzak, którą przed zagrożeniem z powietrza chronią... naramienne wyrzutnie raketowe. Słabość obnażają też obrazy z poligonu Marynarki Wojennej, gdzie nadal odbywają się ćwiczenia z użyciem armat przeciwlotniczych S-60 – może nie beznadziejnych, bo wyposażonych w nowy system kierowania ogniem, ale pochodzących z połowy ubiegłego wieku.

Docelowo będzie dobrze

Zmagania w Ukrainie udowodniły wysoką skuteczność produkowanych w Mesko ręcznych wyrzutni przeciwlotniczych Grom/Piorun. Nie wiadomo, ile zestawów i rakiet posłano na wschód – mówi się, że połowę zapasów naszego wojska. Braki jednak mają być uzupełnione z nadadkiem poprzez zakup w najbliższych latach 3,5 tys. rakiet i 600 mechanizmów startowych. Pioruny użytkowane są w wojsku także w formie mobilnych platform, zintegrowanych z 23-milimetrowymi armatami – taki zestaw nosi nazwę Pilica, pierwsze pojawiły się w linii pod koniec 2020 r. Pioruny, w dowolnej konfiguracji, zapewniają ochronę wspomnianego przez dr. Piekarskiego „najniższego piętra” – rażą cele lotnicze do zasięgu 5 km. Zdolności docelowych w tym zakresie jeszcze Polska nie uzyskała, ale dramatu nie ma.

Gorzej wygląda sytuacja z obroną krótkiego zasięgu (do 40 km) – tu wciąż bazujemy na sprzęcie poradzieckim. Warto jednak zauważyć, że jeszcze w kwietniu br. podpisano umowę z brytyjską firmą MBDA UK na dostawę baterii pocisków kierowanych CAMM i wyrzutni iLauncher (wartość kontraktu to 1,5 mld zł). Pierwsza z dwóch jednostek ogniowych trafi do nas jeszcze w tym roku, kolejna na początku następnego. Jednostka to trzy wyrzutnie zdolne do odpalenia 24 rakiet przechwytyjących. Wszystkie można kontrolować jednocześnie, naprowadzając je na 24 oddzielne cele. Mówimy zatem o ogromnym skoku jakościowym, bowiem obecnie nasza OPL na krótkim dystansie używa systemów jednokanałowych, pozwalających kierować tylko jednym pociskiem na

pojedynczy cel. Docelowo w ramach programu „Narew” Wojsko Polskie ma pozyskać 23 baterie krótkiego zasięgu. Plan jest ambitny, gdyż zakłada częściową polonizację – wyposażenie baterii w nasze radary i rakietki produkowane na licencji – a to wszystko do końca dekady.

I wreszcie mamy średni zasięg, do czasu wdrożenia patriotów nieobsługiwany przez rodzimą OPL (rodzimą, bowiem po 24 lutego na terenie RP rozmieszczono co najmniej dwie baterie systemu Patriot należące do armii USA). Tu, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, docelowo zdolności osiągniemy na początku lat 30. O zbudowaniu całego wielowarstwowego systemu będzie można mówić jeszcze później – gdy wszystkie jego elementy zostaną zintegrowane, także z samolotami F-35, których dostawy zaczną się na przełomie 2025 i 2026 r. i potrwać pięć lat.

Delegowanie kompetencji

A i wówczas – najszybciej w połowie lat 30., kiedy piloci trzydziestek piętek osiągną gotowość operacyjną

Rakiety, o których mowa, należy strącać ponad atmosferą ziemską, a takie możliwości będzie miała amerykańska baza w Redzikowie. Być może zatem chodzi o pomysł oddelegowania części kompetencji na barki sojuszników.

Refleksje na temat (nie)ślusowności takiego rozwiązania wiodą nas do rozważań nad naturą zagrożeń. Dotąd było jasne, że boimy się Rosji, ale wojna w Ukrainie ujawniła potiomkinowski charakter rosyjskiej armii. Dziś wiemy, że weszła ona do walki z niewielką liczbą precyzyjnych środków rażenia. Że braki w pociskach manewrujących i raketach są nie do usunięcia bez dostępu do zachodnich technologii (systemów celowniczych, awionicznych, optoelektroniki – tego, czego rosyjski przemysł nie potrafi wyprodukować). Że rosyjskie lotnictwo zostało sparaliżowane przez operatorów ręcznych wyrzutni przeciwlotniczych. I że obecnie zmuszone jest sięgać po biedadrony irańskiej produkcji, by terroryzować nimi ukraińskie miasta. Z niską skutecznością, bo Szahidy-136 okazały się łatwe do strącania. Tyle że planowanie



O gotowości pierwszych patriotów będzie można mówić w przyszłym roku.

– nasz parasol będzie miał dziurę. European Sky Shield – inicjatywa niemieckiego kanclerza, która spotkała się z chłodnym przyjęciem polskich władz – zakłada budowę zdolności także na wypadek ataku pociskami balistycznymi zdolnymi do przenoszenia głowic jądrowych. Dlaczego ignorujemy takie ryzyko? Odpowiedzią wcale nie musi być „niemieckosceptyczność” PiS czy zgoda na wspomnianą dziurę.

wojskowe musi uwzględniać także przyszłe zagrożenia. A w WP i MON panuje przekonanie, że Rosja nie daruje nam upokorzenia doznanego w Ukrainie także za naszą sprawą. Że niezależnie od wyniku wojny odbuduje swój potencjał i będzie czekać na okazję. *Political fiction?* A kto 10 lat temu przewidywał krwawy konflikt między dwoma bratnimi, jak się wydawało, narodami?

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Im gorzej, tym lepiej.

Dlaczego opozycja trzyma kciuki za kryzys?

Jeśli PiS przegra przez recesję i inflację, opozycja wróci do władzy z programem cięć i oszczędności, o którym marzy



Jakub Dymek

Jeżeli choć jedna rzecz naprawdę łączy dziś opozycję, jest nią wołanie o katastrofę. Niezależnie jakie słowo na literę k wybierzemy: kryzys, klęska, kompromitacja czy katastrofa – idzie o jedno. Większość opozycyjnych ugrupowań, antypisowskich autorytetów medialnych i telewizyjnych gadających głów trzyma kciuki za przyszłoroczne załamanie gospodarcze, energetyczne i kryzys finansów publicznych. Bo to może być w końcu ten kryzys, który zmiecie z planszy rządzącą ekipę. „Im gorzej, tym lepiej” – to być może przewrotne postawienie sprawy, ale w proeuropejskim i demokratycznym obozie w polskiej polityce przechował się najlepiej prawdziwie leninowski duch myślenia o polityce.

Straszenie greckim, węgierskim, tureckim albo wenezuelskim kryzysem weszło części opozycji tak mocno w krew, że nie odróżnia już faktów od własnych urojeń, a kasandrycznych przepowiedni od rozsądnych kalkulacji prawdziwych przecieży zagrożeń. Gdy nieliczni przedstawiciele obozu Koalicji Obywatelskiej – jak niedawno Jan Vincent Rostowski – mają tyle przyzwoitości, by w wywiadzie radiowym zaznaczyć, co jest zagrożeniem, a co wyłącznie kampanijnym biciem piany, należą im się szczerze gratulacje. Bo to zdecydowana mniejszość w gronie historyków, które rozciąga się od Wiosny Biedronia po Konfederację Bosaka i Mentzena.

Nie sposób zliczyć już nagłówków i wywiadów straszących nieuchronnym załamaniem się polskiej gospodarki, rynku pracy i budżetu

w wyniku wprowadzenia np. programu 500+. Niektóre z tych przepowiedni będą niedługo dobijały do siódmych czy ósmych urodzin, a do dziś nie zrealizował się w Polsce ani grecki, ani turecki, ani wenezuelski scenariusz.

Dlaczego jednak ten rok jest inny, a retoryka części opozycji szczególnie toksyczna? Bo trudne czasy dopiero przed nami – zima, która będzie faktycznym starciem gospodarek Europy i Rosji, nawet się nie zaczęła. A nikt nie wie, jak źle będzie: czy przejdziemy ten kryzys względnie bezboleśnie, choć przy dużej inflacji i wielu wyrzeczeniach, czy wprost tragicznie. Niedawne szacunki Javiera Blasza z Bloomberga, mówiące że Europa wyda przynajmniej 200 mld euro na ratowanie swoich sektorów energetycznych, już wydają się nieaktualne, bo same

Niemcy chcą wydać na tarczę energetyczną 200 mld euro. Ale łagodna zima, spadające ceny frachtu i terminowe dostawy LNG mogą osłonić Europę przed najgorszym ze scenariuszy i zaliczymy względnie miękkie lądowanie.

Dla retoryki politycznej fakty nie mają jednak znaczenia. „Polska właśnie bankrutuje. Kto powie wyborcom, że czeka nas bezrobocie, bieda i gwałtowne obniżenie poziomu życia?”, pyta na stronach „Newsweeka” Jakub Bierzyński, przedsiębiorca i doradca polityczny. Bierzyński w jednym tylko akapicie o rzekomych podobieństwach Polski i Grecji miesza najróżniejsze pojęcia i zjawiska – deficytu, długu publicznego, dziury w ZUS i wyprawowania środków budżetowych do funduszy celowych – by zasugerować bombardowanemu podobnymi faktoidami czytelnikowi jakieś podobieństwo sytuacji Polski w 2022 r. i Grecji w czasie kryzysu zadłużeniowego.

Analogii tej nie widzą instytucje europejskie, międzynarodowe agencje ratingowe czy nawet neoliberalny przecież Międzynarodowy Fundusz Walutowy. „Państwo polskie

Przerzucają winę za obecną inflację z Putina, polityki „zero covid” w Chinach i mocnego dolara na żyjących z 500+ „nierobów” i ludzi „przekupionych socjałem”.

jest praktycznie bankrutem”, twierdzi Bierzyński, czego w prywatnych rozmowach nie potwierdzają nawet politycy i doradcy PO („Nie wierzymy w grecki kryzys”, mówią). Nie przychyliła się też do tej opinii Komisja Europejska, która szacuje, że zadłużenie Polski w relacji do PKB będzie w kolejnych latach spadać, nie przekroczy konstytucyjnego limitu, a nasz kraj znajdzie źródła finansowania odsetek od długu. Zdaje się też, że Bierzyński myli liczby – albo konstruuje nielogiczne zdania – bo pisze, że „realny deficyt Polski jest większy niż w Grecji w momencie kryzysu”. W rzeczywistości poziom deficytu Grecji w latach 2008-2009 dobił do pułapu 15%, podczas gdy w Polsce nawet według najbardziej katastroficznych i nieprzychylnych dla PiS kalkulacji

ekonomistów związanych z Forum Obywatelskiego Rozwoju będzie o połowę mniejszy. Bierzyński twierdzi, że Polska pieniędzy już nie ma, przejadła je, zmarnowała (to akurat w świetle zaniedbań zielonej transformacji najmniej kontrowersyjne) i... że tych pieniędzy już nie będzie.

Tekst Bierzyńskiego jest dobrym przykładem retoryki, o jakiej mowa: „bezrobocie”, „bieda”, „krach”, „samozniszczenie”, „bankructwo”.

Opozycja buduje przekaz, że wszystkie nieszczęścia, jakie nas dotyczą, mają źródło w pisowskim socjalu i rozdawnictwie.

Ale przykładów jest więcej, np. publicystyka wcześniej nieznanego szerszemu gronu czytelników Piotra Stefaniaka, który został stałym komentatorem „Gazety Wyborczej” w sprawach gospodarki. Mamy też niezmordowanego Ryszarda Petru, ekonomiczne poranki na antenie TOK FM i manifesty ekonomicznych sierot po Platformie. O stanowisku wspomnianego już Forum Obywatelskiego Rozwoju nie warto nawet przypominać, bo wiadomo z góry, co jego przedstawiciele mają do powiedzenia.

Podpięcie się przez opozycję pod tego rodzaju slogany służy jednak bardzo konkretnemu celowi. Chodzi o to, żeby skutki kryzysu przyczepić do władzy, rozgrzeszając Putina („nie ma Putinflacji, jest PiSflacja”), a następnie wrócić do władzy dzięki mitowi „zielonej wyspy”. Bo oczywiście istnieje ryzyko, że do recesji i kryzysu naprawdę w 2023 r. dojdzie – jednak wtedy nie uderzy on wyłącznie w Polskę, lecz będzie miał naturę globalną. Zanim my zbankrutujemy, upadnie kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt gospodarek w świecie rozwijającym się, niewykluczone, że z Rosją i Turcją włącznie. Wtedy kłopoty Polski, względnie zamożnego i bezpiecznego państwa w środku Europy, naprawdę będą niczym przy pożarach na całym świecie,

jakie trzeba będzie gasić, by uniknąć powtórki z wojny światowej albo wielkiej recesji lat 30. XX w. Dodać można też, że dziś np. Ukraina jest wypłacalna tylko dzięki kolejnym prolongatom i czasowym umorzeniom ze strony zewnętrznych kredytodawców, ale czy prorocy bankructwa Polski zakładają, że światowe instytucje finansowe pozwolą na kolaps Polski, skoro przez nasz kraj idzie większość pomocy dla Ukrainy?

Dobre pytanie, którego nikt z katastrofistów oczywiście nie zadaje.

Opozycja buduje jednak zawczasu przekaz, że wszystkie nieszczęścia, jakie nas dotyczą, mają źródło w pisowskim socjalu i rozdawnictwie. Przerzucają więc winę za obecną inflację z Putina, zawyżającej ceny ropy grupy OPEC, polityki „zero covid” w Chinach i mocnego dolara na żyjących z 500+ „nierobów” i ludzi „przekupionych socjałem”. Gdy w Polskę naprawdę uderzy gospodarcza zawierucha i kryzys, przyjdą wtedy – jak w tym żarcie – „cali na białą” z obietnicami powrotu do złotego wieku, do czasów, gdy Polskę kryzysy omijały, a w kraju żyło się spokojnie i dostatnio.

I wykorzystają, jak w scenariuszu opisanym przez Naomi Klein w „Doktrynie szoku”, zamęt i chaos do wprowadzenia własnych cięć, przejęcia instytucji i zaordynowania społeczeństwu terapii leczenia inflacji przez bezrobocie i biedę. I to ostatnie może się im niestety powieść.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Cyrk nie śmieszy już nikogo

Po odejściu Borisa Johnsona na Wyspach mówiono, że gorzej już być nie może. Liz Truss dowiodła, że może

Mateusz Mazzini

45 dni – zaledwie tyle wytrzymała na stanowisku szefowej brytyjskiego rządu Liz Truss. Władzę obejmowała 6 września, niesiona wstydliwą, ale mimo wszystko zauważalną falą optymizmu wewnątrz Partii Konserwatywnej. Poprzedzające tygodnie spędziła pracowicie, prowadząc kampanię w wewnętrznych wyborach na przewodniczącego torysów. Pokonała w nich Rishiego Sunaka, polityka znacznie bardziej kojarzonego z establishmentem, bez wątpienia też postać większego formatu niż Truss. I być może właśnie to, w połączeniu z bagażem w postaci współuczestnictwa w skandalach ekipy Borisa Johnsona, ostatecznie zabiło kandydaturę Sunaka. Nowa (wtedy) pani premier pod względem charakterologicznym była i nadal jest jego przeciwieństwem. Bardziej cicha niż wyrazista, bardziej monotonna niż charyzmatyczna.

Ponad 170 tys. członków partii uczestniczących w głosowaniu uznało jednak, że tego właśnie konserwatyzm na Wyspach potrzebował. Dość festiwalu nabrzmiałych ego, liderów umieszczających siebie w samym środku życia politycznego, tak aby reszta krążyła po ich orbicie i była zależna od ich grawitacji. Czas na kogoś, kto wyciszy spory, nie zwracając jednocześnie na siebie zbyt wiele uwagi. Do tego, przynajmniej w teorii, Liz Truss nadawała się idealnie.

Skazana na porażkę

Analitycy brytyjskiej sceny politycznej, w tym Gideon Rachman z „Financial Times”, Andrew Nelson z konserwatywnego „The Spectator” czy Vicent McAviney z liberalnego magazynu „Monocle” już we wrześniu zgodnie twierdzili, że była

minister spraw zagranicznych została wypchnięta przez partyjne elity do pierwszego szeregu polityki tylko i wyłącznie w celu bycia tymczasowym remedium na problemy torysów. Partia, choć władzę sprawuje nieprzerwanie już dwunasty rok, jest głęboko podzielona, wewnętrznie skonfliktowana, a co najważniejsze – pozbawiona wizji własnej przyszłości. Zwłaszcza Rachman, jeden z bardziej wyrazistych brytyjskich publicystów, krytykował zarówno Theresę May jak i Borisa Johnsona za skupianie się na doraźnych celach

doprowadzenia do brexitu za wszelką cenę mogą ostatecznie doprowadzić do końca władzy torysów.

Żeby bowiem ostatecznie wyprowadzić Wielką Brytanię z Unii, May i Johnson potrzebowali bezwzględnej większości w parlamencie. Problemem był fakt, że nie mieli jej jednak nawet we własnej partii, przynajmniej w tej kwestii. Dlatego siłą wręcz wymuszali dyscyplinę w głosowaniach dotyczących brexitu, usuwając z własnych szeregów każdego, kto był przeciwny rozwodowi z Brukselą albo chciał, by odbył się on na zasa-

Choć na pierwszy rzut oka Liz Truss nadawała się do roli pozbawionej charyzmy szarej myszki, ona sama chciała odegrać rolę przynajmniej zbliżoną do Margaret Thatcher.

i brak jakiejkolwiek strategii rozwoju partii, a przez to i całego kraju. Od czasów brexitowego referendum 2016 r. jedyne, co konserwatywnych premierów obchodziło, to doprowadzenie do rozwodu z Brukselą bez względu na koszty. O tych ekonomicznych wiadomo już dzisiaj doskonale, na opisanie wszystkich katastrof gospodarczych, które Brytyjczycy na siebie sprowadzili, izolując się od reszty Europy, nie starczyłby pewnie cały numer PRZEGLĄDU, a co dopiero pojedynczy tekst.

Konsekwencje społeczne widać na co dzień – wzrost nastrojów nacjonalistycznych, rewizjonizm historyczny i nostalgia za imperium, wpuszczenie do politycznego głównego nurtu polityków otwarcie ksenofobicznych, jak Nigel Farage. Coraz większy rozjazd pomiędzy bogatym Londynem a ubożącą północą, wyraźne głosy niepodległościowe w Szkocji, a nawet perspektywa referendum unifikującego obie Irlandie. Dzisiaj jednak widać, że z punktu widzenia samej Partii Konserwatywnej to koszty polityczne

innych niż proponowane przez Downing Street. W takich właśnie okolicznościach z partii usunięto ponad 20 polityków, w tym postaci tak znaczące, jak byli kanclerze skarbu Ken Clarke i Philipp Hammond oraz Rory Stewart, były rywal Johnsona w walce o przewodnictwo w partii, brytyjski polityk roku 2019 według magazynu „GQ”, uznawany wcześniej za nadzieję umiarkowanego skrzydła torysów.

Johnson jako premier nie patrzył ani na staż w parlamencie, ani na kapitał symboliczny, bo wyrzucił z partii nawet sir Nicholasa Soamesa, wnuka Winstona Churchilla. Ciął równo z trawą, wewnętrzne głosy sprzeciwu uciszał z niemal dyktatorską pasją. W efekcie odchodząc z urzędu we wrześniu, zostawił po sobie jałową ziemię. Partia Konserwatywna miała Brytyjczykom do zaoferowania elitarystycznych arogantów w typie Sunaka albo pozbawionych talentu politycznych przeciętniaków, jakim okazała się Liz Truss. W pewnym więc sensie spektakularna katastrofa, jaką było



Liz Truss była najkrócej urzędującym premierem Wielkiej Brytanii.

jej sześć tygodni u władzy, nie powinna nikogo dziwić. Ani nie mogła, ani tak naprawdę nie miała spisać się lepiej. Niewielu jednak spodziewało się aż takiego festiwalu niekompetencji.

Spółeczna głuchota

Ten statek przeciekał, zanim jeszcze porządnie wyruszył w podróż. Truss była dla świata w dużej mierze anonimowa, a już trzeciego dnia jej premierostwa zmarła Elżbieta II. Oczy całej planety zwróciły się na nią, choć wielu nie wiedziało nawet, na kogo patrzy. Doskonałą ilustracją tamtych dni był komentarz do transmisji telewizyjnej z pogrzebu królo-

na pierwszy rzut oka doskonale nadawała się do roli pozbawionej charyzmy szarej myszki, ona sama chciała w historii Wielkiej Brytanii odegrać rolę przynajmniej zbliżoną do swojej politycznej idolkę, Margaret Thatcher. Była w nią tak bardzo zapatrzona, że dziś, nieco zgryźliwie, można by te 45 dni uznać nie za próbę rządzenia krajem, ale za mało udaną historyczną rekonstrukcję. Truss ubierała się jak Thatcher, pozowała do zdjęć z fotografiami Żelaznej Damy w tle, naśladowała ją nawet w sposobie przemawiania. Tak było chociażby w czasie partyjnej konwencji na początku października w Birmingham, kiedy wyszła na scenę i zapowiedziała, że jej rząd „nie będzie podnosić

ją popierać. U torysów autorytet miała od początku znikomy, czego dowodem był fakt, że wielu postów w ogóle nie przyjechało do Birmingham. Żle o niej myśleli też wyborcy. W przeprowadzonym po konwencji badaniu firmy Opinion na zlecenie gazety „The Observer” dobrze o jej pracy wypowiedziało się zaledwie 16% respondentów. Krytycznych głosów było aż 64%, co razem można opisać jako –48% poparcia. Jak zauważył Michael Savage z „The Guardian”, to najniższy wynik w historii prowadzenia tego typu monitoringu na Wyspach. Lepiej spisywali się nawet Theresa May w samym środku awantury o umowę brexitową czy Boris Johnson pokrętnie tłumaczący się z imprez w jego biurze w czasie pandemicznego lockdownu.

To i tak była dopiero uwertura, bo równolegle do spadków poparcia i rosnącej wewnętrznej opozycji wybuchał kryzys ekonomiczny, w dużej mierze napędzany fantazjami Truss o nowej wersji thatcherizmu. Jej polityka gospodarcza oparta była na cięciach podatków i ulgach w daninach, zwłaszcza dla najbogatszych. Z pasją krytykowała ideę redystrybucji w społeczeństwie, narzekając na antenie BBC, że Wielka Brytania straciła ostatnie 20 lat, ▶

Flagowym pomysłem Truss było zlikwidowanie 45-procentowego progu podatkowego dla osób zarabiających co najmniej 150 tys. funtów rocznie.

wej, przygotowany przez australijską stację telewizyjną ABC. Prowadzący ją dziennikarz nie rozpoznał Truss, improwizując na żywo i nazywając ją „jedną z mniej ważnych osób w rodzinie królewskiej”. Dopiero głos realizatora podpowiedział mu, że on i cała Australia patrzą teraz na nową szefową brytyjskiego rządu. I choć

podatków ani zwiększać wydatków publicznych, bo byłoby to niemożliwe”. Niezorientowany widz mógłby naprawdę pomyśleć, że ogląda przedstawienie o latach 80., a nie konferencję partii rządzącej krajem cztery dekady później.

Im jednak głośniejsze Truss krzyczała, tym mniej osób zdawało się

► dyskutując na ten temat, podczas gdy trzeba było zajmować się innymi kwestiami. Jej flagowym, choć w gruncie rzeczy mało znaczącym pomysłem było zlikwidowanie 45-procentowego progu podatkowego dla osób zarabiających co najmniej 150 tys. funtów rocznie. Dzięki reformie podlegaliby pod stawkę o 5 pkt proc. niższą, przez co płaciliby taki sam podatek jak osoby zarabiające 51 tys. funtów. Przy in-

To nie koniec kryzysu

Pierwszy, 14 października, stanowisko stracił Kwarteng. Tej dymisji także towarzyszyło wizerunkowe zamieszanie, bo kanclerz opuścił przedwcześnie spotkanie w Międzynarodowym Funduszu Walutowym, żeby szybciej wrócić z Waszyngtonu do Londynu. To w świecie dyplomacji ekonomicznej olbrzymie faux pas, ponieważ MFW to najważniejszy monetarny punkt

kilkudziesięcioprocentową przewagę Partii Pracy w sondażach, dać nadzieję na możliwość rządzenia w kolejnej kadencji. Osiągnęła wynik odwrotny. Zaraz po jej rezygnacji lider laburzystów Keir Starmer zażądał natychmiastowego rozpisania wyborów parlamentarnych. On akurat ma lepszy słuch społeczny, bo jeszcze pod koniec sierpnia według badania YouGov aż 51% Brytyjczyków chciało przyspieszonych wyborów. To Partia Pracy podchodziłaby do nich w roli bezsprzecznego faworyta.

A co dalej z torysami? Kręcą się w kółko, popadając w coraz większy kryzys. Nowy premier ma objąć stanowisko do 31 października. Wśród kandydatów wymieniana się polityków, którzy w tej szopce grają od samego początku. Rishi Sunak, była rywalka Truss Penny Mordaunt, a nawet... Boris Johnson. Kiedy ten ostatni odchodził ze stanowiska, opisywaliśmy tamten moment jako chwilę, w której cyrk zwolnił klauna. Charyzma przestawała działać, brakowało wyników, a skandale ujawniane były lawinowo. Wtedy wielu na Wyspach mówiło, że ktokolwiek przyjdzie po Johnsonie, gorszy nie będzie. Liz Truss zaprzeczyła temu twierdzeniu, choć wydawało się to niemożliwe. Smutna prawda na temat brytyjskich konserwatystów to bowiem fakt, że zamienili swoją partię w słabej jakości przedstawienie.

Brytyjscy konserwatyści zamienili swoją partię w słabej jakości przedstawienie.

falacji zbliżającej się do 20%, w obliczu nadchodzącej zimy, w czasie której nawet 10 mln gospodarstw domowych na Wyspach może cierpieć ubóstwo energetyczne i dodatkowych problemach zaopatrzeniowych wynikających z brexitu zmniejszanie obciążeń dla najlepiej zarabiających nie mogło zostać dobrze przyjęte przez społeczeństwo.

W tym miejscu trzeba jednak uczciwie podkreślić, że Truss, lobując za tym akurat cięciem, padła ofiarą nie tyle nietrafionych kalkulacji ekonomicznych, ile społecznej głuchoty. Eliminacja 45-procentowego progu odpowiadała bowiem jedynie za nieco ponad 2% całej wartości reform podatkowych, które zakładał „minibudżet” przygotowany przez nią i jej kanclerza skarbu Kwasi Kwartenga. Mimo to za sam pomysł została przez media i opozycję praktycznie wychłostana.

Próbowała jeszcze się ratować, organizując objazd po lokalnych redakcjach radiowych BBC, ale wszędzie dokonywała publicznego harakiri. W Sheffield, Bristolu, Newcastle prowadzący zadawali jej trudne, czasami nawet atakujące pytania, ona okazywała się bezbronna za każdym razem. Kiedy jeden z dziennikarzy zapytał ją wprost, gdzie była, kiedy Bank Anglii ogłaszał wart 65 mld funtów plan skupowania brytyjskich obligacji, by uspokoić rynki szalejące z powodu planów premierki, ta odpowiedziała milczeniem. Dla wielu już wtedy jasne było, że nie należy pytać, czy Truss odejdzie, a jedynie kiedy to zrobi.

odniesienia dla rządów całego świata. Jak się potem okazało, Kwarteng wrócił tylko po to, żeby usłyszeć, że jest zwolniony. Jego miejsce zajął Jeremy Hunt, były minister sportu, a potem spraw zagranicznych, i od razu obiecał zwrot o 180 stopni w polityce gospodarczej. Biorąc pod uwagę fakt, że cała debata polityczna na Wyspach koncentrowała się wtedy na kursie funta, sytuacji ekonomicznej i przyszłości gospodarki, wiadomo było, że to właśnie w rękach Hunta znajduje się realna władza. Doszło więc do tego, że w swoim weekendowym programie radiowym Vicent McAviney z „Monocle” zapytał w ubiegłą sobotę retorycznie, jaki sens ma jeszcze Liz Truss?

Odpowiedź gotowała się pod powierzchnią jeszcze prawie tydzień.

Liz Truss miała zmniejszyć dystans dzielący partię od elektoratu i zniwelować kilkudziesięcioprocentową przewagę Partii Pracy w sondażach. Osiągnęła wynik odwrotny.

W czwartek, 20 października Liz Truss ogłosiła swoją rezygnację. To był jedyny sposób na pozbawienie jej stanowiska, bo wewnętrzny regulamin partii nie zezwala na rzucenie rękawicy nowo wybranemu przewodniczącemu przez rok od objęcia władzy. Pożary wybuchały jednak wszędzie, a Truss nikt już ani nie słuchał, ani nawet nie zdawał się jej szanować. Odeszła z Downing Street zredukowana do roli anegdoty, zamieniona w groteskową polityczkę, choć głównie na własne życzenie. Miała zmniejszyć dystans dzielący partię od elektoratu, zniwelować

Ale zwolnienie klauna nic nie dało. Do wymiany są wszyscy aktorzy. Coraz bardziej przeciętni, coraz mniej kompetentni. Świeżej krwi nie ma, również dlatego, że upuszczono ją przy okazji brexitu. Dopiero teraz wiadać, jak wielki to był błąd i jak trudno będzie całej brytyjskiej klasie politycznej po nim się podnieść. Miała być suwerenność, został kabaret. Parafrazując znane powiedzenie, kto dziś mieszka w Wielkiej Brytanii, w cyrku się nie śmieje.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@przeгляд.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Nie szkoda „Słoneczników”, gdy ginie świat

To jest jeden z tych dziwnych momentów epoki cyfrowych, internetowych czasów, kiedy kameralna akcja, w tym wypadku dwóch aktywistek, znajduje się na ustach niemal całego świata. „Tak zniszczyły obraz”, „Atak na »Słoneczniki«”, „Poważne kłopoty”, „Oblały obraz van Gogha”, „Warte 84 miliony dolarów »Słoneczniki« oblane zupą”, „Skandal w Londynie”. W komentarzach królują słowa: debilki, kretynki, wandalizm, bezmyślność, głupota. A co się stało? Właściwie nic. Dwie aktywistki brytyjskiej organizacji Just Stop Oil oblały zupą pomidorową z puszek szybą pancerną, za którą w Galerii Narodowej w Londynie wystawiany jest jeden z obrazów Vincenta van Gogha z cyklu „Słoneczniki”, należący do najbardziej rozpoznawalnych arcydzieł malarstwa w historii świata. Ceny tych płócien sięgają dziesiątków milionów dolarów. Za życia artysty nie sprzedał się żaden z nich. Tak czy owak, samemu obrazowi nic się oczywiście nie stało. Ucierpiały bardziej dłonie protestujących kobiet, które przykleiły się do ścian muzeum. Co chciały przekazać? Ten wątek jest

z krzesła, wiedzą oczywiście lepiej, jak należy protestować, walczyć, przekonywać, docierać z przekazem. A niewidzialny zegar zagłady świata, jaki znamy, tyka nieprzerwanie.

Wspominam, jak onegdaj grupa młodych osób przekonywała mnie, że Greenpeace jest organizacją terrorystyczną. Trwał akurat protest na Morzu Arktycznym przeciw Gazpromowi, aktywiści okupowali należącą do Gazpromu platformę wiertniczą Prirazłomnaja na Morzu Peczorskim, niedaleko północno-wschodniego wybrzeża Rosji. Akcja była częścią kampanii, mającej na celu powstrzymanie tzw. krajów arktycznych i międzynarodowych koncernów paliwowych przed eksploatacją zasobów Arktyki (głównie ropy i gazu). Na pytanie, dlaczego Greenpeace jest organizacją terrorystyczną, odpowiedzieli zdumieni, że można tego nie rozumieć: „jak to, przecież oni się przykuwają do łańcuchów, które nie są ich”.

Pokoleniom ludzi, którzy walczyli o emancypację, godne warunki pracy, zniesienie niewolnictwa, ograniczenie wyzysku, zabronienie pracy dzieci, i uczestniczyli w setkach innych cywilizacyjnych walk i protestów, za które płacili zdrowiem, wolnością, krwią czy życiem, nie mieściłoby się to w głowie. Systemowa przemoc i dewastacja Ziemi jest, jak się okazuje, poza zasięgiem zrozumienia, zarówno diagnozy, jak i grożących nam wszystkim konsekwencji. Ale obrona gąbłoty z zamalowanym płótnem, dzisiaj głównie symbolem ulokowanego majątku, w tym kościele świętej własności mieści się doskonale.

Na polskim podwórku w tym samym duchu zabłysnęło ostatnio koło parlamentarne PPS, które przyczepiło się do „Lewackiej szmaty”, producenta odzieży z doskonałym, pogłębionym lewicowym przestaniem, i zagroziło „wyciągnięciem konsekwencji prawnych” za „bezprawne” wykorzystanie w swoich grafikach tradycyjnego symbolu antyfaszystowskiego „trzech strzał”. Poseł partii Razem Maciej Konieczny w krótkim oświadczeniu sprzeciwił się takim i podobnym próbom „prywatyzacji symboli”: „Demokratycznego socjalizmu nie da się sprywatyzować, antyfasyzmu nie da się sprywatyzować, to nie znaki towarowe, to idee, za które ludzie tacy jak Kazimierz Pużak albo Henryk Sławik oddawali życie”. I na koniec dodał: „A do towarzyszy i towarzyszek z obecnego kierownictwa PPS mam jeden apel: puknijcie się w łeb i przestańcie ośmieszać Polską Partię Socjalistyczną”.

Gdyby puknięcie się w łeb działało, byłibyśmy ocaleni. Ale najpierw trzeba by choć puknąć się we własny łeb. To nie terroryzm ani wandalizm.

**Gdyby puknięcie się w łeb działało, byłibyśmy ocaleni.
Ale najpierw trzeba by choć puknąć się we własny łeb.**

już mniej eksplorowany. Bezpośrednim powodem było przyznanie kolejnym firmom licencji na wydobywanie ropy. Licencje na wydobywanie ropy i gazu stanowią „część niekończącego się kultu wzrostu napędzanego paliwami kopalnymi”, który doprowadzi do zniszczenia całej kultury i cywilizacji. Aktywistki krzyczały: „Czy sztuka jest warta więcej niż życie? Więcej niż jedzenie? Więcej niż sprawiedliwość?”. Sama akcja była jedną z wielu podobnych w formie, ale jej niezwykle, globalny rozgłos przyniósł wybór obiektu zupnego ataku. Tak więc akcja, w wyniku której de facto nikt i nic nie ucierpiało, wywołuje powszechne oburzenie, niesmak i potępienie. Katastrofa klimatyczna nie spędza większości z nas snu z powiek. Wydobywanie paliw kopalnych także. Filozofia nieustannego wzrostu, którą udało się „sprzedać” nam jako naturalny proces (a jego niszczące koszty w skali globalnej nie podważają tej fałszywej tezy), ma się doskonale. Jest chroniona naszą ignorancją, inercją i brakiem zaangażowania lepiej niż płótna Mistrza bez Ucha. Historia plaśnięcia zupą w londyńskiej galerii obnaża też nędzę mediów. Zamiast faktów – lamenty, zamiast zrozumienia – złorzeczenia, zamiast wyobraźni i troski o wspólną przyszłość – historyczna poprawność i drobnomieszczańska grzeczność. I ci, którzy nigdy w żadnej publicznej sprawie nie ruszyli dupy

Zuzanna Muszyńska

Korespondencja z Włoch

Ostatnią niedzielę września wieńczy ciepły, prawie letni wieczór. W okolicach dworca próżno szukać śladów kampanii wyborczej – ani jednego plakatu z uśmiechniętą Giorgią i hasłem: „Gotowi do dźwignięcia Włoch”. Florencja leży w tradycyjnie wiernym lewicy i demokratom „czerwonym pasie”, tworzonemu przez regiony Marche, Toskania, Umbria i Emilia-Romania. Część wyborców uległa ksenofobicznym nastrojom i przeszła na drugą stronę, część została w domu, ale i tak koalicja Meloni-Berlusconi-Salvini nie miała tu szans na wygraną. Z przelotnych konwersacji z taksówkarzem i właścicielem pensjonatu wynika jedno: nowy rząd niedługo upadnie, jak każdy inny.

Przyszła pani premier obiecuje rządzić w imieniu każdej Włoszki i każdego Włocha – o ile nie są gejem, lesbijką albo kobietą, która chciała decydować o własnym ciele i teraz lęka się, że jej nazwisko zostanie umieszczone na cmentarzu aborowanych płodów.

Włochy, wczesny XXI w.

Schodząc stromą via Senese w kierunku Porta Romana, zaglądam do parku okalającego Państwowe Liceum Artystyczne. Grupa uczniów chowa się w cieniu starych drzew w pobliżu placu zabaw. Słychać muzykę, dużo śmiechu. Po rozległym trawniku przed szkołą biegają psy. Ich właścicielki – młodsze, starsze, ubrane na sportowo – siedzą na murku i wystawiają twarze ku słońcu, rozmawiając. Na drzwiach budynku wisi napis: „Tędy nie ma przejścia do ogrodów Boboli”. Tam poszli turyści, tu przebywają prawdziwe florentynki i prawdziwi florentczycy.

Trwa poniedziałkowe *mezzogiorno*. Wielu Włochów przeznaczają pierwsze przedpołudnie po weekendzie na relaks. Sklepy otwierają się dopiero w godzinach popołudniowych. Co z kobietami? Wrócą za chwilę do domu, ugotować obiad dla męża i dzieci? Usiądą z laptopem, by



Zebranie młodzieży na Piazza della Santissima Annunziata.

Florencja – różowo nie jest

Nowy rząd niedługo upadnie, jak każdy inny
– mówią florentczycy

popracować zdalnie? Przebiorą się, wyjdą do pracy?

Niespełna 40% Włoszek pracuje. Włoską mamę otacza kult porównywalny do maryjnego. Z drugiej strony Włochy cierpią na dramatyczny spadek liczby urodzeń, współczynnik dzietności wynosi 1,27 (dane Banku Światowego). Mniej ślubów, mniej dzieci – oto wizerunek współczesnej włoskiej rodziny. Zaledwie 31% gospodarstw domowych tworzą pary mieszkane z dziećmi. 31,3% to pary bezdzietne. Rodzice samotnie wychowujący dzieci stanowią jedną dziesiątą gospodarstw, pozostałe – 35,3% – to osoby samotne, dwie siostry lub rodzic z dorosłym, rozwiedzionym dzieckiem itd. (Statista).

Państwo liczy na instytucję rodziny, chce, żeby jej członkowie wyręczali je w opiece nad dziećmi i osobami starszymi. Włochy cierpią na dotkliwy brak *asilo nido* (żłobków). Kobiety po urodzeniu dziecka zdają się na dziadków. W 60% gospodarstw to oni zajmują się wnukami w wieku od niemowlęctwa do pięciu lat.

Idąc dalej, mijam mobilną kafejkę, którą niezależnie od pory dnia i tygodnia oblega głównie męska klientela. Tuż za bramą początek via Romana – malownicze kamieniczki ciągną się stąd aż do rzeki. Bogactwo kolorów i faktur, dźwięków i zapachów – można tu kupić dobre chianti, zasiąść w trattorii do porcji *bistecca alla Fiorentina*. Są i zwyczajne sklepy

spożywcze czy warzywniaki. Wynoszą z nich swoje skromne zakupy mieszkańcy bocznych ulic, stąpając ostrożnie po nierównych chodnikach.

Około 27,6% populacji Florencji to osoby w wieku powyżej 65 lat. W rejestrach służb socjalnych znalazło się zeszłej zimy, kiedy gwałtownie wrosły ceny energii, ok. 5 tys. osób, jedna szóstka wszystkich emerytów. Z rocznym dochodem 9 tys. euro na głowę żyją na granicy ubóstwa. Miasto samo boryka się z drożyzną i nie może pomóc każdemu, chociaż chciałoby. Dario Nardella, burmistrz Florencji, zainicjował w lutym br. akcję pomocy osobom starszym „Adoptuj rachunek”. Szczodre darowizny trafiły na konto Montedomini, fundacji, która od lat pomaga seniorom. Nardella wysoko ocenił solidarność florentczyków. Przeszli test przed nadchodzącą zimą, która ma być jeszcze gorsza.

Serce z bursztynu

Przy via Romana nr 96, w miniaturowym oknie wystawowym za grubą kratą, wiszą piękne okazy bursztynów. Rzadki widok, gdyż u florenckich jubilerów wśród cudów wszelakich dominuje motyw czerwonego różka-papryczki, wykonanego z masy koralowej, noszonego na szczęście. Właścicielka sklepu wychodzi z zaplecza ubrana w fartuch, doradza, uśmiecha się, po chwili rozmowy zdradza, że jest... Polką! Iwona Molsa przyjechała do Florencji na początku lat 90. Podobnie jak wielu absolwentów poznańskiej AWF zdecydowała się na wyjazd za granicę. Trafiła do Berlina, gdzie pracowała w restauracjach. Włoska była jej pierwszym kontaktem z kulturą Południa. Od tamtego czasu spędzała wakacje wyłącznie we Włoszech. Zjeżdżała połowę kraju, pewnego lata trafiła do Florencji. Stała na Ponte Vecchio w złotym świetle zachodzącego słońca i pomyślała: „To pełne dobrej energii, przesiąknięte sztuką miasto mogłoby zostać moim drugim domem”.

Wróciła do Berlina, ale Florencja siedziała jej w głowie. A że od dzieciństwa marzyła o zawodzie złotnika, wkrótce przeszła do czynów. Znalazł się mistrz florencki, który przyjął ją na

naukę. Nie płacił wiele, więc musiała żyć z berlińskich oszczędności. Co trzy miesiące wracała na granicę, po kolejne pozwolenie na pobyt czasowy. Pierwsze lata były ciężkie. Gdy poznała męża – florentczyka, wystąpiła o stały pobyt, a potem o podwójne obywatelstwo. Małżeństwo pomogło jej w starcie. Dziś ma własny warsztat i sklep z biżuterią. – Od początku dążyłam do samodzielności – mówi. – To wymagało wyrzeczeń, ale zawańczyłam o swoje i marzenie się spełniło.

Dla kobiety z bloku wschodniego zdobycie wiarygodności u Włochów, w zawodzie zdominowanym od stuleci przez mężczyzn, było trudne.

Państwo liczy na instytucję rodziny, chce, żeby jej członkowie wyręczał je w opiece nad dziećmi i osobami starszymi.

Ale i dla Włoszek wybór pomiędzy rodziną a zawodem nie był łatwy. – Nie mam dzieci, długo zwlekaliśmy z decyzją, im później, tym trudniej zrobić ten krok – zdradza Iwona. – W pewnym okresie życia, po trzydziestce, patrzono na mnie ze współczuciem. Wiele moich znajomych i przyjaciółek, tu i w Polsce, nie ma dzieci. Poświęciły wszystko dla kariery. Ale to się zmienia. Do sklepu przychodzą coraz częściej młode pary z dziećmi. Dziewczyny znajdują sposoby, by łączyć macierzyństwo z pracą i pasją.

Iwona nurkuje od wielu lat. We Włoszech, otoczonych zewsząd ciepłym morzem, mogła z łatwością realizować swoją pasję. Znalazła klub i szybko się okazało, że jest dobra, aż tak, że otrzymała propozycję podwodnego modelingu. W sklepie wiszą zdjęcia nagrodzone na międzynarodowych zawodach, w których wzięła udział ze swoim fotografem Guglielmem Cicerchią. – To też do niedawna był świat mężczyzn – ocenia. – Nie wierzono, że my, słaba płeć, damy radę na równi z partnerami. Dziś występujemy w zawodach jako modelki-asystentki, o co musiałyśmy zawańczyć. Morze jest zdradliwe, trzeba umieć zachować zimną krew. Nasz wkład w tę dyscyplinę docenia się na arenie międzynarodowej.

Bursztyny podarowała Iwonie przyjaciółka. Pochodzą z kolekcji

jej niedawno zmarłego ojca. Iwona zamierza pokazać Włochom, jakie cuda można z nich wyczarować, łącząc najnowsze trendy z tradycją. Włożyła w projekt dużo serca. – Im dłużej tu mieszkam, tym więcej mam go dla Polski – mówi. Zapewne i to się uda – sklep cieszy się powodzeniem, co chwilę dzwoni telefon, ktoś wchodzi obejrzeć towar. Nietuzinkowe logo I'M przyciąga uwagę. – Nie jestem dobra w marketingu, ale lubię bawić się grafiką. Niektórzy pytają, czemu podpisuję się *I'orafa*, złotnik. Ale zmiana nie jest dla mnie oczywista. Świat zrobiono pod facetów, teraz jest czas silnych kobiet, tylko co z tego, że zmienię swój zawód na

la orafa? – zastanawia się Iwona. Po czym dodaje: – Za chwilę polecimy na Księżyc, a musimy walczyć o tak podstawowe rzeczy.

Florencja dla florentynek

Począwszy od Palazzo Pitti, ulice prowadzące do rzeki należą do turystów. Na moście złotników trzeba wykonać slalom wśród fotografujących się na tle miasta przybyszów z całego świata. W oddali, na żółtych wodach, widać kajakarzy. Iwona wraz z koleżankami z klubu nurkowego wiele lat temu wzięła udział w pierwszych lokalnych zawodach smoczych łodzi na Arno. Zwyczaj pływania nimi w ramach rehabilitacji po przebytym nowotworze piersi dotarł do Europy z Kanady. – Pływałyśmy w zespole – opowiada – 20 zawodniczek plus sterniczka i grająca na bębnie. My, zdrowe kobiety, uczyłyśmy się, jak zwyciężać, od tych, które pokonały chorobę. To bardzo pozytywne, agonistyczne działanie. Jeździłam na te zawody przez kilka lat. Potem klub florencki rozrósł się tak bardzo, że nie potrzebował już naszego wsparcia.

W 2018 r. przepłynęło pod mostem 129 zespołów z 17 krajów, głównie kobiet, amazoнок. Pierwsza europejska edycja zawodów smoczych łodzi odbyła się właśnie we Florencji.

► Za mostem skręt w prawo, do gmachu galerii Uffizi. Rok temu, wykorzystując światową sławę tego miejsca, zorganizowano tu wystawę zatytułowaną „Lo Sfregio” („Blizna”), poświęconą przemocy wobec kobiet. Historie maltretowanych ofiar, opowiedziane za pomocą rzeźby i obrazu,

zaledwie trzech lat więzienia dla mężczyzny, który mordowali swoje żony w imię „ratowania honoru rodziny”. Do dziś zabójstwa z zazdrości traktowane są przez sędziów pobłażliwie, a kary redukowane nawet o połowę. We Włoszech funkcjonuje ponad 100 ośrodków przeciwdziałania przemocy

w 2016 r. jako włoska odpowiedź na eskalację trans- i kobietobójstwa; wzorowałyśmy się na Argentynkach – wyjaśnia rzeczniczka NUDM, Julia. – Przy wsparciu kolektywów i organizacji kobiet/queer/osób niebinarnych przeszło wtedy ulicami włoskich miast ponad 250 tys. osób. Florencka sekcja NUDM jest bardzo aktywna.

Chusty tworzą pomnik pamięci – każda poświęcona jest kobiecie, która zginęła w wyniku trans- lub kobietobójstwa. Na każdej widnieje nazwisko i data śmierci.

Włoskie feministki przeszły długą drogę, jako pionierki europejskich uniwersytetów w XVII-XVIII w., poprzez ruch sufrażystek, do zniewolenia pod rządami il Duce. Prawa wyborcze uzyskały w 1945 r. Kościelna wizja kobiecości, wspierana przez długotrwałe rządy chadeków, ścierała się z dążeniem do wyzwolenia spod dominacji mężczyzn. W połowie XX w. zabroniono pracodawcom zwalniania matek małych dzieci, ale jeszcze siedem dekad później zmusza się (nielegalnie) kobiety do podpisywania *dimissioni in bianco*, niedatowanych podań o zwolnienie w razie zajścia w ciążę. Kobiety stanowią połowę absolwentów uniwersytetów, ale zaleca się im pozostanie w domu, przy rodzinie. Szkolne plany lekcji urywają się w południe, tak by dzieci mogły pójść do domu na podany przez mamę posiłek. Dziwi widok nastolatków przesiadujących o tej porze na przystankach – ich rówieśnicy w innych krajach pozostają w murach szkoły do późnego popołudnia.

Od 1968 r. przetoczyła się przez Włochy fala silnego ruchu feministycznego. W następnej dekadzie wprowadzono całkowitą legalizację aborcji. W latach 80. zegary znów ruszyły do tyłu, za sprawą Silvia Berlusconi, który prezentował w swoich stacjach telewizyjnych odmienną wizję kobiecej seksualności. Wreszcie, w 2011 r., u szczytu afery bunga bunga, milion kobiet pokazało premierowi środkowy palec, wychodząc na ulice pod hasłem „Jeśli nie teraz, to kiedy?”. Trzy lata później najmłodszy w dziejach premier Włoch, 39-letni florentczyk, były burmistrz miasta Matteo Renzi, połowę stanowisk w rządzie oddał kobietom.

We Włoszech funkcjonuje ponad 100 ośrodków przeciwdziałania przemocy domowej. Patriarchat ma się świetnie.

skupiły się wokół marmurowego popiersia Costanzy Bonarelli autorstwa Gianlorenza Berniniego. Intensywne piękno i żywa energia – tak cztery wieki temu wielki rzeźbiarz opisał ukochaną. Marmurowe popiersie uważane jest za jedno z jego najwybitniejszych dzieł. Gładka powierzchnia kamienia nie zdradza przemocy, jakiej doznała Bonarelli, gdy kilka miesięcy po wykonaniu rzeźby Bernini w akcie zazdrości skłonił służącego, by okaleczył twarz ukochanej. Obok Berniniego protagonistką wystawy była Ilaria Sagaria. Na fotografiach jej autorstwa modelki z obandażowanymi głowami wcieliły się w role kobiet, których twarze obalano kwasem. Tak jak Costanza były ofiarami „wielkiej miłości”.

Aż do 1981 r., tylko jedno pokolenie wstecz, włoski system penitencjarny zezwalał na stosowanie kar

domowej, które dają schronienie ponad 20 tys. kobiet rocznie. Patriarchat ma się świetnie.

Kobiety

Z serca Florencji oddalam się na północ, w kierunku placu Zwiastowania NMP, przy którym mieści się kościół o tej samej nazwie oraz Szpital Niewiniątek, dziś muzeum, dawniej przytułek dla sierot ufundowany przez florenckie cechy jedwabników i złotników. Nad elegancką renesansową loggią widnieją błękitne medaliony z wizerunkami niemowląt, które wykonał Andrea della Robbia. Przy fontannie na placu wiszą różowe chusty, przypięte kłódkami do balustrady. To miejsce spotkań organizacji NonUnaDiMeno, Ani Jednej Mniej. – Nasz ruch narodził się



www.wydawnictwomg.pl



Chusty tworzą pomnik pamięci – każda z nich poświęcona jest kobiecie, która zginęła w wyniku trans- lub kobietobójstwa.

Nowa premier Włoch? – Martwi nas to, że program zwycięskiej partii skażonej postfaszystowskim dziedzictwem promuje wartości patriarchalne, dyskryminujące, oparte na przemocy – mówi Jula. – Kilka dni po wyborach, w Światowym Dniu Bezpiecznej Aborcji, zorganizowałyśmy wiec, na którym dałyśmy wyraz naszej złości na niebezpieczeństwa i niesprawiedliwości, którym kobiety, osoby niebinarne i mniejszości muszą na co dzień stawiać czoła w tym kraju. Będziemy nadal walczyć o położenie kresu patriarchatowi, który ogranicza prawa i dobrobyt wszystkich ludzi – deklaruje feministki.

Dzieci

Przy tym samym placu, pod arkadami Loggia dei Servi di Maria, odbywa się zebranie. Na kamiennej posadzce siedzi krąg młodych ludzi. Podchodzę, by posłuchać, o czym mówią. Oliver pozwala mi dołączyć do grupy. Tematem obrad *collettivo SUM* z pobliskiego liceum jest m.in. antyfaszyzm. – Spotykamy się regularnie, mamy od 14 do 18 lat – tłumaczy Maia, jedna z uczestniczek spotkania. – W Michelangiolo zawsze istniał kolektyw, a jego nowoczesna forma (SUM, czyli zjednoczeni uczniowie) narodziła się w 2017 r., kiedy niektórzy z nas poczuli potrzebę rozmów o problemach szkoły, miasta, Włoch, Europy i świata.

Uczniowie biorą udział w manifestacjach ulicznych, czasem pomagają je organizować. Kontaktują się z innymi kolektywami. Spotykają się na piazza D’Azeglio lub pod arkadami della Santissima Annunziata, kiedy pada. – Dyrektor nie przydzielił nam szkolnego pomieszczenia, chociaż o to prosiliśmy – oświadcza Maia. Na zebraniach omawiają tematy polityczne, ekologiczne, sprawy szkolne, takie jak decyzje dyrektora i nauczycieli albo problem ciekącego dachu (liceum mieści się w starym klasztorze). Uważają się za antyfaszystów, antykapitalistów i antyseksistów. – Niektórzy z nas boją się tego, co będzie

Niespełna 40% Włosek pracuje. Włoską mamę otacza niezmiennie kult porównywalny do maryjnego.

po wyborach, inni nie. Naszym zdaniem nowa koalicja może przysporzyć wiele problemów Włochom, Florencji i naszemu życiu codziennemu, ale uważamy też, że w niektórych przypadkach (tych związanych z problemami gospodarczymi i społecznymi) trudno będzie pogorszyć obecną sytuację. Dla większości młodych ludzi niestabilny rynek pracy i polityka podatkowa są ważniejsze niż Bóg, naród i rodzina.

Dwóch na trzech Włochów poniżej 35. roku życia mieszka z rodzicami. 40% tych tzw. gniazdowników pracuje na pełnym etacie, tylko co czwarty

jest bezrobotny i nigdzie się nie uczy. Młodzi Włosi nie mogą liczyć na pomoc państwa w znalezieniu taniego lokum, szczególnie w dużych miastach. Żyją na łonie rodziny, bo mogą, chcą albo muszą. Do późna gniazduje mniej młodych kobiet – 66%, szereg *mammone* (maminsynków) zasila 72% mężczyzn.

Licealiści złością się na flagowe postulaty nowego rządu, takie jak obowiązkowe służba wojskowa i praca, niskopłatna, bez zabezpieczeń. Podchodzą krytycznie do swobód przyznawanych przez państwo faszystom. Dla siebie nie chcą wiele, przede wszystkim niezależności. – Widzimy, co potrafi stara klasa polityczna – mówią – i nie podoba nam się to. Czasami dostajemy wsparcie od nauczycieli i rodziców, ale wolimy osiągać nasze cele samodzielnie. Niestety, politycy zainteresowani tym, co mówimy i o co prosimy, stanowią mniejszość. Większość ogranicza się do dawania nam pustych obietnic.

La tassista

Ma krótko ostrzyżone, srebrne włosy, dużo gestykuluje. Wiezie nas na dworzec w niedzielne południe. Martwi się, że most zamknięty, a ona nie zna miasta na wylot, jest nowa, zielona. Zdradzam jej, że w Polsce nie ma wielu taksówkarek. – Nas też jest mało i czasem mężczyźni krzywo na mnie patrzą – odpowiada. – Mówią,

że zabieram im pracę albo że to zawód nie dla mnie. A co to za problem wrzucić do bagażnika kilka walizek? Poczekaj, spytam tylko o ten most – przerywa na chwilę i wychyla się przez okno, konwersuje żywo z dwiema policjantkami.

– Słyszałaś, jak ze mną rozmawiały? Były niemiłe! – denerwuje się. Spytała tylko o drogę, to chyba dobrze, nie? A one przeżyły się. I niby dlaczego – bo miały nad nią władzę.

Zuzanna Muszyńska
z.muszyńska@tygodnikprzeglad.pl

Słowacki Breivik

19-letni prawicowy ekstremista
w samym centrum Bratysławy oddał dziesięć strzałów



Miejsce masakry Juraj K. wybrał rozmyślnie. W mediach społecznościowych nie ukrywał, że planuje zbrodnię.

Łukasz Grzesiczak

Okazuje się, że progresywna i liberalna twarz Słowacji, którą po zwycięstwie Zuzany Čaputovej w wyborach prezydenckich masowo odkryli Polacy, to niejedyny oblicze południowych sąsiadów.

19-letni Juraj K. z broni swojego ojca zastrzelił przed popularnym w społeczności LGBTQ+ klubem Tepláreň w Bratysławie 23-letniego studenta Matúša Horvátha i jego przyjaciela 27-letniego Juraja Vankuliča. Napastnik oddał dziesięć strzałów z pistoletu kaliber 45 z celownikiem laserowym – ranił także barmankę, która została

odwieziona do szpitala. Ofiary prawdopodobnie były przypadkowe, ale miejsce masakry Juraj K. wybrał rozmyślnie. W mediach społecznościowych nie ukrywał, że planuje zbrodnię. Publikował zdjęcie baru i treści wzywające do ataku na osoby nieheteronormatywne i Żydów. Po masakrze wrócił do rodzinnego domu, skąd wziął kolejny pistolet. Potem ukrywał się w Bratysławie, publikując nowe treści podjudzające do przemocy. Nad ranem policja znalazła jego ciało, napastnik miał popełnić samobójstwo.

Ojciec Juraja K., też zresztą Juraj, w 2020 r. kandydował do parlamentu z ramienia eurosceptycznej i antyimigranckiej partii Ojczyzna (Vlast) Štefana Harabina. Szef partii to zdyskredytowany były minister sprawiedliwości i wicepremier, zatrzymany w maju 2022 r. przez słowacką policję. Ojciec napastnika na swoim profilu na Facebooku publicznie krytykował prezydentkę i słowacki rząd, w postach prezentował – podobnie jak Štefan Harabin – poglądy prorosyjskie, a nowego słowackiego szefa MSZ

Rastislava Káčera nazwał „amerykańską marionetką”.

Homofobia ma się dobrze

19-letni Juraj zradykalizował się zdecydowanie bardziej od ojca. W 65-stronicowym manifestie napisanym w języku angielskim wyjaśniał powody swojego czynu. Otóż był fanem Donalda Trumpa i zwolennikiem alt-right, czyli skrajnie prawicowych ruchów. Juraj K.

Juraj K. był fanem Donalda Trumpa i zwolennikiem skrajnie prawicowych ruchów.

zafascynowany był postacią skrajnie prawicowego zamachowca Brentona Tarranta, który zaatakował meczety w Christchurch w Nowej Zelandii, oraz 19-letniego Johna Timothy'ego Earnesta stojącego za atakiem na synagogę w USA. Jednak odwagi do ataku przed klubem dodał mu rasistowski czyn 18-letniego Paytona Gendrona, który w maju tego roku zabił dziesięć osób w amerykańskim Buffalo. Juraj K. pisał również, że otaczają go osoby ze społeczności LGBTQ+, które krytykował za chęć zmiany płci w młodym wieku.

Mężczyzna publikował na Twitterze zdjęcia i teksty nawołujące do nienawiści. W jednym z tweetów zamieścił zdjęcie obozu Auschwitz z komentarzem: „W głębi serca wiesz, że na to zasłużyli”. Publikował także portrety osób, które uważał za warte naśladowania. Pośród nich był Anders Breivik, norweski prawicowy ekstremista, który w 2011 r. zabił 77 osób, oraz Adolf Eichmann, móżg Holocaustu.

Po tragedii na ulicach Bratysławy zorganizowano protest przeciw przemocy. Wzięło w nim udział 15 tys. osób, wśród nich prezydentka Čaputová. Jednak obecne poruszenie nie może się równać z tym, co obserwowaliśmy po zabójstwie dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej. Z pewnością konserwatywnemu społeczeństwu trudniej się identyfikować

z dwoma mężczyznami, którzy zginęli przed klubem popularnym wśród członków społeczności LGBTQ+, niż z heteroseksualną parą planującą ślub.

Badania dowodzą, że Słowacja to jedno z najbardziej homofobicznych państw w Unii Europejskiej. Ankieta na temat postrzegania społeczności LGBTQ+ w krajach Unii Europejskiej z 2019 r. (przeprowadzana co cztery lata) pokazuje, że aż 59% Słowaków nie zgadza się ze stwierdzeniem, że „geje, lesbijki i osoby biseksualne powinny mieć takie same prawa jak osoby heteroseksualne”. Akceptuje taki pogląd jedynie 31% respondentów. To najniższy wynik wśród 28 państw Unii (w tym czasie członkiem UE była jeszcze Wielka Brytania). Z tym stwierdzeniem bowiem zgadza się 76% mieszkańców Unii Europejskiej. Najwięcej w Szwecji (98%), Holandii (97%) i Hiszpanii (91%). Bardziej progresywni niż Słowacy okazali się nawet Rumuni (38%) i Bułgarzy (39%). Polacy też znaleźli się w ogonie sondażu – z postulatem zrównania praw mniejszości seksualnych i osób heteroseksualnych identyfikuje się 49% naszych obywateli. Warto dodać, że w Czechach, połączonych przecież ze Słowacją przez 75 lat, poparcie dla równości wynosi 57%.

Młodzi, ale konserwatywni

Dr Andrej Findor, socjolog z Uniwersytetu Komeńskiego w Bratysławie, w rozmowie ze słowackim „Denníkem N” wyjaśnia, że nie da się tłumaczyć tej postawy wobec mniejszości seksualnych wyłącznie słowackim katolicyzmem. Inne, równie mocno katolickie kraje, takie jak Austria czy Irlandia, deklarują bowiem zdecydowanie większą otwartość w tym zakresie. Findor winę widzi w braku tradycji demokratycznych na Słowacji i fakcie, że u naszych sąsiadów w polityce nie uznaje się tolerancji i roli jednostki za wysoką wartość.

Bratysławski socjolog zwraca uwagę, że wiele osób żyje tu na

wsi, zdecydowanie bardziej konserwatywnej niż większe miasta. Przypomnijmy, że w mającej 5,4 mln obywateli Słowacji są tylko dwa miasta z ponad 100 tys. mieszkańców – Bratysława (oficjalnie ponad 475 tys.) i Koszyce (ponad 227 tys.). „Znam kilku chłopaków z małych miasteczek, którzy w Bratysławie żyją swobodnie, ale kiedy wrócą do domów, ukrywają, że są gejami, i nie zdecydowali się na coming out nawet przed swoją rodziną. Udają, że są heteroseksualni, i znoszą nagabywania, kiedy wreszcie znajdą dziewczynę”, opowiada dr Findor.

To niejedyny problem osób nieheteronormatywnych. Prawdopodobnie najbardziej dotychczas sytuację mniejszości seksualnych na Słowacji przeprowadziła organizacja Inakos walcząca o prawa osób LGBTQ+. W 2017 r. przy finansowym wsparciu resortu sprawiedliwości powstał 108-stronicowy raport Andreja Kuruca i Jany Jablonickiej Zezulovej, w którym znalazło się omówienie badania z udziałem 2088 osób identyfikujących się jako LGBTQ+ żyjących na Słowacji. Wyniki są szokujące. Niemal 40% respondentów doświadczyło dyskryminacji z powodu orientacji seksualnej, z czego 15,2% w ciągu ostatniego roku. Niemal 60% badanych doświadczyło groźb, obelg lub żartów tylko dlatego, że są osobami LGBTQ+. Co czwarty czuł się społecznie izolowany, co drugi doświadczył nękania, maltretowania lub innej formy przemocy.

Inne badania, przeprowadzone w 2019 r. przez agencję Focus dla Słowackiej Akademii Nauk, pokazują, że ponad 90% słowackich rodziców jest przekonanych, że tylko rodzina wychowująca dzieci w małżeństwie – małżeństwa jedнопłciowe nie są dopuszczalne – potrafi zaspokoić ich wszystkie potrzeby, zapewniając dobre życie.

Młodzi Słowacy wcale nie są bardziej liberalni. Zwłaszcza jeśli zestawimy ich z młodymi Czechami. Kantar w Czechach i Focus na Słowacji wspólnie przeprowadziły w 2020 r. sondaż na grupie Czechów i Słowaków w wieku od 15 ▶

► do 29 lat. Okazało się, że młodzi Słowacy są o wiele bardziej konserwatywni niż czescy rówieśnicy. Czterech na pięciu młodych Słowaków jest zdania, że małżeństwo powinno istnieć jako związek mężczyzny i kobiety. Mniej niż połowa zgadza się na prawo do zawierania związków partnerskich przez pary

bo w 2014 r. do słowackiej konstytucji wpisano definicję małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety. Za zmianami głosowało 102 posłów ze 150-osobowego jednoizbowego parlamentu. Podczas głosowania obecnych było 128 deputowanych. Zmianę w konstytucji poparli wówczas ramię w ramię m.in. wszyscy

w 78. rocznicę powstania Republiki Słowackiej, faszystowskiego marionetkowego państwa uzależnionego od Hitlera. Wszystkie opiewały na kwotę 1488 euro. Suma, podobnie jak data ich wręczenia, nie była przypadkowa. Zasyfrowane są w niej skróty, którymi posługują się neonaziści (piłkarska federacja

UEFA karze za ich wywieszenie na stadionach). Znaczenie liczby 14 to: *We must secure the existence of our people and a future for white children* (Musimy zabezpieczyć

być naszego ludu i przyszłość białych dzieci), a 88 zastępuje pozdrowienie *Heil Hitler* (h to ósma litera alfabetu). W Polsce jeden z najpopularniejszych zespołów sceny neonazistowskiej nie przypadkiem nazywał się Konkwista 88, a Basti, skrajnie prawicowy raper atakujący w swoich utworach Żydów, Arabów i Ukraińców, zaśpiewał z piosenki „88. mila”.

Wyrok słowackiego sądu w sprawie Mariana Kotleby z 2020 r. nie był prawomocny, kilka miesięcy temu – już w 2022 r. – sąd wyższej instancji zamienił karę na sześć miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na rok i sześć miesięcy. Tym samym Kotleba stracił

Czterech na pięciu młodych Słowaków jest zdania, że małżeństwo powinno istnieć jako związek mężczyzny i kobiety.

jednopłciowe. W Czechach takie związki partnerskie popiera czterech na pięciu młodych. Nie ma w tym nic dziwnego, Praga już kilkanaście lat temu dała parom jednopłciowym prawo ich zawierania. Niemal połowa młodych Czechów zgodziłaby się na małżeństwa par jednopłciowych.

Kłopoty Kotleby

Nie tak dawno i Słowacy – podobnie jak prawica w Polsce – prowadzili swoją walkę ze społeczeństwami LGBTQ+. W 2015 r. odbyło się referendum w obronie rodziny. Słowaków do urn wysłał Sojusz na rzecz Rodziny, którego wniosek poparł niemal co dziesiąty dorosły obywatel. W rzeczywistości referendum miało na celu ewentualne zablokowanie wprowadzenia do słowackiego prawa instytucji jednopłciowych związków partnerskich. Przy bojkocie referendum przez środowiska progresywne poszło do urn niewiele ponad 20% Słowaków. Spośród głosujących olbrzymia większość, bo ponad 90%, wsparła zakaz adopcji dzieci przez pary jednopłciowe i opowiedziała się przeciwko małżeństwu par homoseksualnych. Głosujący poparli również prawo rodziców do wypisywania dzieci z zajęć szkolnych, jeśli dotyczą one kwestii zachowań seksualnych lub eutanazji, a rodzice nie zgadzają się z treścią nauczania.

Wynik referendum z powodu zbyt niskiej frekwencji nie był wiążący, co w żaden sposób nie zmieniło sytuacji par jednopłciowych,

obecni na sali chadecy z Ruchu Chrześcijańsko-Demokratycznego (KDH) oraz wszyscy głosujący socjaldemokrację ze Smeru ówczesnego premiera Roberta Ficy.

Nie tylko homofobia, której konsekwencją był niedawny atak prawicowego ekstremisty przed bratysławskim klubem, ale także reprezentowany przez niego antysemityzm i fascynacja neonazistowską ideologią od lat mają się dobrze na Słowacji. I to nie tylko na ulicach, ale też w gabinetach posłów czy marszałków województw. W ostatnich wyborach do słowackiego sejmiku neonazistowska Partia Ludowa Nasza Słowacja (ĽSNS) Mariana

W Czechach związki partnerskie dla par jednopłciowych popiera czterech na pięciu młodych.

Kotleby miała czwarty wynik, zdobywając niemal 8% głosów (w sondażach często oscylowała wokół 10%). W stosunku do wcześniejszych wyborów powiększyła swój stan posiadania o trzech posłów.

Problemy Kotleby pojawiły się w 2020 r., niedługo po kolejnym już wyborczym sukcesie. Został wtedy skazany za promowanie nazizmu na cztery lata i cztery miesiące więzienia. Powód? Pograżyły go czeki, które Kotleba jako marszałek województwa bańskobystrzyckiego – na Słowacji można jednocześnie pełnić funkcję posła i marszałka województwa – wręczył trzem rodzinom 14 marca 2017 r., czyli

mandat poselski, z czasem rozsyłał się jego klub parlamentarny. Ale badania opinii publicznej pokazują, że wyborców gotowych głosować na skrajnie prawicowe partie nie ubywa. Według ostatniego sondażu agencji Focus z września 2022 r. ugrupowanie Republika, które powstało z rozpadu formacji Kotleby, jest piątą siłą na Słowacji i cieszy się poparciem niemal 8% respondentów. Zasiadający w parlamencie Marek Kotleba, wybrany z list ĽSNS, marzy zaś o pójściu szlakiem brata i zdobyciu władzy w województwie bańskobystrzyckim.

Lukasz Grzesiczak

l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Kod architektury

Mój tata był poetą wybitnym, mama dobrą poetką, ja też piszę wiersze. Ta rodzinność poezji to jakaś osobliwość, rzecz niemal wstydliwa. Skorzystałem z tej osobliwości i zaproponowałem zaprzyjaźnionemu wydawnictwu Czarna Owca, by wydać wybór wierszy ojca, mamy i moich, trzy bloki w jednej książce; wiersze są wybrane pod kątem rodzinnym, plus fotografie. Książka „Album rodzinny” właśnie się ukazała. Cieszę się, że przypomnę rodziców. Zostali za szybko zapomniani. Ale to prawo entropii dotyczy wszystkiego, świat stałby się jednym wielkim zagraconym magazynem, gdybyśmy nie zapominali, a rzeczy się nie rozpadały.

Mój Franio właśnie skończył 12 lat, był tort, który tryskał ogniem i został szybko zjedzony. Zaproponowałem, by na wieczorze poświęconym książce syn przeczytał jeden wiersz. Po dłuższym namyśle zgodził się, ale za 100 zł. Dzieci są teraz bardzo praktyczne, takie czasy.

Co tydzień przychodzą nowe meldunki, które mówią, że prezes się nakręca, że radykalizuje się, a endeckie myślenie miesza mu się z cynizmem. Mówił w Puławach: „My chcemy uczelni, które będą zgodne z tradycją akademicką, tą, która kształtowała się jeszcze w średniowieczu, (...) szkoły wyższe były całe wieki bardzo blisko związane z Kościołem”. A teraz są w rękach lewicy, uważa prezes: „Więc żeby ten atak lewicy, która odbiera wolność i po prostu robi młodym ludziom wodę z mózgu, żeby ten atak został odparty”. Przy okazji wspominał, że jak studiował w latach 70. za komuny, to uczelnie były bardziej wolne. Drogi prezesie, rozumiem, że to dramat, że świat się zliberalizował, inny jest stosunek do seksu, do rozrodczości, kobiety odzyskały głos, to jest słaby punkt prezesa, ta sfera męsko-damska jest u niego martwa, nie pojmuje jej. Ale nie ma odwrotu od ogólnej liberalizacji w sferze obyczajowej, nie ma na to szansy w środku Europy. A to gadanie bardzo w stylu Putina, te wielokrotnie powtarzane żarty o chłopcu, który wymyślił sobie, że jest dziewczynką, czy odwrotnie. Sala zawsze wtedy rechoce i prezes rechoce. Bardzo śmieszne są dramaty ludzi, którzy mają problem z identyfikacją płciową, boki zrywać. Prezes jest przy tym niezwykle kreatywny, ma pomysł, by przy kościołach powstały punkty wyborcze, by lud z mszy od razu szedł głosować, poprzednio poinstruowany przez duszpasterzy. A nie lepiej te punkty wyborcze od razu zainstalować w samych kościołach? Ależ oni się boją, że przegrają te wybory! Posuną się do każdego łajdactwa, by ich nie przegrać.

Rozkopano plac Piłsudskiego, tak zaczyna się odbudowa pałacu Saskiego. Jeśli pałac powstanie, będzie to dla mnie chyba jedyna dobra rzecz, jaką PiS po sobie zostawi. Gierek zostawił po sobie Zamek Królewski. Teraz zdaje się, że nigdy nie był zburzony. I ta słynna odbudowa Starówki. A co do pałacu Saskiego – Polacy są podzielni, ale większość jest za. To też świadczy o klęsce współczesnej architektury, nie potrafimy budować tak pięknie i tak przyjaźnie, jak budowano kiedyś. O tym jest właśnie „Archikod”, książka-album Czesława Bieleckiego. Zasluguje na obszerne omówienie, powinna być dostrzeżona i dyskutowana. Temat jest niezwykle ważny też dlatego, że tak pomijany; żyjąc w śmietniku współczesnej architektury, przestaliśmy widzieć jej brzydotę, ją akurat widzę i cierpię. Pisałem o tym kiedyś, o czym pisze także Bielecki, że z języka nowej architektury wyrugowano słowa piękno i harmonia, jakby to były wstydliwe pojęcia. Jakby nie powinny być istotą każdej sztuki, a architektura jest połączeniem kilku sztuk. Dobra architektura ma w sobie nawet muzykę, jaką daje rytm okien w fasadzie. Współcześni architekci jej nie słyszą.

Bielecki zastanawia się, dlaczego ostatnie 100 lat architektury to porażka. Książka składa się z małych rozdziałów, każdy omawia inny obiekt. Moim zdaniem nikt w Polsce nie potrafi tak pisać o architekturze jak Bielecki, tak głęboko, erudycyjnie i błyskotliwie. Pyta i daje odpowiedzi: „Jak to się stało, że piękno wyparowało, że królują nuda i banal?”. Bielecki pokazuje, gdzie i dlaczego udawało się budować pięknie. „Dlaczego dawna tkanina miejska wprowadza nas w świat architektury przez wielkie A, natomiast dzisiejsza architektura (...) jest śmietnikiem form pozbawionych harmonii?”. Ta książka, niełatwa dla laika, jest lekturą obowiązkową. W architekturze żyjemy tak bardzo, że zwykle nawet tego nie dostrzegamy. I nie widzimy, że ona nas jednak po cichu kształtuje. Żyjąc w pięknych miejscach, jesteśmy na pewno ładniejsi.

Spotkanie z Tomaszem Jastrunem

spotkanie poprowadzi Artur Wojski



24 października
godz. 18:30

Station of Art Gallery
ul. Grzybowska 12/14

Station of Art Gallery

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Gdyby nie przełom Października '56, to...

Starcie Gomułki z Chruszczowem

Delegacja ZSRR nie rezygnowała z siłowego rozwiązania kryzysu w relacjach polsko-radzieckich

Paweł Dybicz

Gdyby przeprowadzić sondę wśród rozsądnych ludzi nauki, nie tylko historyków, które z wydarzeń w Polsce Ludowej najbardziej odcisnęło się na życiu Polaków, z pewnością ogromna większość odpowiedziałaby: Październik '56. I nie mylili by się.

Znaczenia przełomu Października '56 nie da się kwestionować ani deprecjonować. To wtedy stalinizm – polski stalinizm, tagodniejszy niż w krajach zwasalizowanych przez ZSRR – został definitywnie odrzucony przez władzę i społeczeństwo. Oczywiście to co wydarzyło się w październiku 1956 r., nie stało się nagle, miało swoją co najmniej dwuletnią genezę. W Polsce Październik '56 był punktem kulminacyjnym zmian, do których dochodziło u nas i w ZSRR. Śmierć Józefa Stalina rozpoczęła destalinizację Związku Radzieckiego, początkowo powolną, by dać wyraźny jej dowód na XX Zjeździe KPZR. Ujawnienie przez Nikitę Chruszczowa w tajnym referacie skali zbrodni Stalina i tych popełnianych w jego imieniu było dla wielu szokiem. Ale nie dla wszystkich. Nie każdy w ZSRR i Polsce

władzy, w ogóle od stalinizmu, nie zaczęło się dopiero w 1956 r., bo już w roku 1954 rozpoczęło zwalnianie z więzień działaczy partyjnych, z Władysławem Gomułką na czele, i żołnierzy Armii Krajowej. Do Października '56 przyczyniły się zarówno protesty społeczne, w tym największy w czerwcu 1956 r. w Poznaniu, jak i, a może przede wszystkim, elity partyjne, toczące ze sobą walkę o władzę i podzielone na dwie frakcje, potocz-

która wcale nie chciała rezygnować ze swoich wpływów na rządzących i z ludzi, którzy personifikowali podporządkowanie Polski ZSRR. Dlatego w dniach decydujących zmian w Polsce, w czasie obrad VIII Plenum KC PZPR stawiającego na czele partii Władysława Gomułkę, niespodziewanie nad ranem wylądowała na Okęciu radziecka delegacja na czele z Nikitą Chruszczowem. Przylot miał za zadanie zahamowanie zmian

Październik '56 był wydarzeniem, które najsilniej odcisnęło się na życiu Polaków w PRL.

nie zwane puławianami i natolińczykami. Najkrócej można ocenić, że frakcja natolińska była zachowawcza, a puławska – reformatorska. Natolińczycy nie dążyli do większych zmian, ustrój socjalistyczny uważali za dobry, ich zdaniem zawinił jedynie ludźmi, głównie działacze partyjni różnych szczebli i funkcjonariusze bezpieczeństwa, którzy sprzeniewierzyli się jego zasadom. Puławianie natomiast, choć w czasach stalinowskich mieli o wiele więcej na sumieniu niż natolińczycy (to oni stali za aresztowaniami Gomułki, byłego sekretarza generalnego PPR, czy brutalnie

w kierownictwie partii, w ogóle usamodzielniania się Polski.

Dopiero od niespełna 20 lat znamy przebieg dramatycznych rozmów władz radzieckich z polskimi politykami. Starcie Gomułki z Chruszczowem dowodzi, że delegacja ZSRR nie rezygnowała z siłowego rozwiązania kryzysu w relacjach polsko-radzieckich. Dowodem tego są jednostki wojsk radzieckich skierowane na Warszawę. (O przebiegu rozmów czytaj obok).

Ekipa Chruszczowa odjechała przekonana, że nowo wyłaniające się kierownictwo PZPR nie doprowadzi do radykalnych posunięć, choćby wyjścia Polski z Układu Warszawskiego. Trzeba też pamiętać, że nie miały wpływu na powstrzymanie Chruszczowa mieli Chińczycy. Mao Ze Dong jednoznacznie sprzeciwił się zbrojnej interwencji wojsk radzieckich w Polsce (a na Węgrzech już nie). Można powiedzieć, że Chińczycy uratowali Gomułkę, więcej – destalinizację w PRL.

Władysław Gomułka, już jako I sekretarz KC, zyskał autentyczne poparcie Polaków, wzbudził społeczny entuzjazm i wielkie nadzieje, stał się nawet narodowym bohaterem,

Nie miały wpływu na powstrzymanie Chruszczowa mieli Chińczycy. Mao Ze Dong jednoznacznie sprzeciwił się zbrojnej interwencji wojsk radzieckich w Polsce

od razu zauważył przejawy załamywania się stalinizmu. Początkowo tylko wytrawni analitycy i obserwatorzy życia publicznego zauważali i trafnie odczytywali krótkie notki na dalszych stronach „Prawdy” o odwołaniu tego czy innego albo zwolnieniu z łagru.

W Polsce odchodzenie od stalinowskich metod sprawowania

torturowanego Mariana Spychalskiego), opowiadali się za demokratyzacją i większym niezależnieniem się od ZSRR.

Obie frakcje rozumiały, że odchodzenie od stalinizmu wiąże się z nasileniem wątków, akcentów narodowościowych, dążeniem do większego uniezależniania się od Moskwy,



Wiec w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu. Przemawia Lechosław Goździk, sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR. Warszawa, październik 1956 r.

co wyrażało się w licznych manifestacjach popierających zmiany, które personifikował. Dobitym potwierdzeniem tego był wielotysięczny wiec na placu Defilad.

Przełom Października '56 to nie tylko zmiany w kręgach władzy, ale także polityki państwa, czego przejawem było choćby uwolnienie z internowania prymasa Stefana Wyszyńskiego. To również ogromne zmiany społeczne, które bada prof. Dariusz Jarosz, akcentując, że w fabrykach, zakładach pracy, wyraźnym przejawem październikowych przemian stały się rady robotnicze. Zalegalizowano je i uregulowano ustawą już 19 listopada 1956 r.

Na terenach wiejskich dojście do władzy Gomułki oznaczało przede wszystkim ruch rozwiązywania polskich odpowiedników kołchozów – spółdzielni produkcyjnych (90%). „Październik '56 na wsi – pisał prof. Jarosz w wydanej przez PRZEGŁĄD publikacji „Przełom Października '56” – nie ograniczał się jednak do niszczenia zastanego porządku. Chłopi »przypomnieli« sobie, że spółdzielczość to nie tylko niechciane kołchozy. Wzmocnił się wtedy ruch tworzenia spółdzielni oszczędnościowo-pożyczkowych, maszynowych i zdrowia. Pod koniec grudnia 1956 r.

rozpoczął się proces reaktywowania spółdzielczości ogrodniczej, a od marca 1957 r. – mleczarskiej. Chłopi brali sprawy wsi w swoje ręce”.

Październik '56 przyczynił się zmiany polityki społecznej, mieszkaniowej czy zdrowotnej, a także do większego otwarcia na Zachód, najbardziej widocznego w nauce. Dowodzi tego prof. Jerzy Wiatr, pisząc: „Po 1956 r. władze państwowe niemal całkowicie zaniechały ingerowania w wyjazd

Prof. Andrzej Walicki: W wyniku przełomu październikowego Polska definitywnie zerwała z ideologicznym monopolem marksizmu-leninizmu.

zagraniczne polskich uczonych, zarażem zaś otworzyły się szerokie możliwości takich wyjazdów finansowanych przez fundacje i inne instytucje zachodnie (np. fundacje Forda, Rockefellera i Fulbrighta w USA, British Council w Wielkiej Brytanii). Roczne pobyty stypendialne na Zachodzie stały się dla mojego pokolenia polskich uczonych bardzo ważnym doświadczeniem intelektualnym, co miało istotny wpływ nie tylko na naszą wiedzę zawodową, ale także na sposób widzenia świata, w dużej mierze wolny od ideologicznych deformacji. (...) Polska w latach 60. była

pod tym względem pionierem wśród państw socjalistycznych”.

Nie wolno zapominać, że po Październiku '56 do dydaktyki wrócili uczeni tej miary co Władysław Tatariewicz czy Stanisław Ossowski.

Prof. Andrzej Walicki w jednym z fragmentów „Dziennika”, który znalazł się w II tomie trylogii „PRL i skok do neoliberalizmu”, zwrócił uwagę na jeszcze jeden aspekt popaździernikowej zmiany: „W wyniku przełomu październikowego Polska definitywnie zerwała z ideologicznym monopolem marksizmu-leninizmu. Marksizm, zarówno w filozofii, jak i w socjologii (zwłaszcza w szkole Juliana Hochfelda) rozwijał się twórczo i coraz swobodniej, współistniejąc z kierunkami niemarksistowskimi. Wydział Filozofii UW z Leszkiem Kołakowskim i Bronisławem Baczka przeżywał złoty okres swego rozwoju”.

Odrzucenie stalinowskiego gorsetu nastąpiło nie tylko w nauce, również w kulturze, w której doszło do istotnych zmian. Do najważniejszych dzieł, które ukazały się niedługo po 1956 r., trzeba zaliczyć „Sławę i chwałę” Jarosława Iwaszkiewicza, „Matkę królów” Kazimierza Brandysa

czy „Ciemności kryją ziemię” Jerzego Andrzejewskiego. Wrócili z emigracji do kraju wybitni pisarze: Zofia Kossak-Szczucka, Melchior Wańkowicz, Michał Choromański. Na rynku księgarskim pojawiły się publikacje twórców pozostających na emigracji, np. Witolda Gombrowicza i Teodora Parnickiego, który ostatecznie wrócił do kraju na stałe w 1967 r.

Z polską „odwilżą” trzeba wiązać pojawienie się na rynku księgarskim wielu nowych dzieł uznanych już poetów: Tadeusza Różewicza, Zbigniewa Herberta, Stanisława Grochowiaka, Wisławy Szymborskiej, Mirona ▶

► Białoszewskiego czy Juliana Przybosa, a także pisarzy młodego pokolenia, z Markiem Hłaską, Władysławem Terleckim i Stanisławem Lemem.

Z tym okresem wiąże się także przełom w naszej kinematografii, czyli powstanie słynnej później na cały świat polskiej szkoły filmowej. W 1957 r. „Kanał” Andrzeja Wajdy otrzymał na MFF w Cannes Nagrodę Specjalną Jury. W tym samym roku powstała „Eroica” Andrzeja Munka, w następnym „Popiół i diament” Andrzeja Wajdy i „Krzyż walecznych” Kazimierza Kutza, a w 1959 r. „Pociąg” Jerzego Kawalerowicza.

Choć jeszcze przed przełomem Października '56 znacznie uaktywniło się środowisko dziennikarzy, to swoją siłę pokazało ono w dniach poprzedzających zmiany w najwyższym kierownictwie PZPR i wiele tygodni po niej. Prasa w znacznym stopniu ukazywała się bez ingerencji cenzury, a dyskusje i polemiki dziennikarskie nie ograniczały się do cotygodniowych zebrań Klubu Krzywego Koła, grupującego obok redaktorów i pisarzy także uczonych i artystów. Świat dziennikarski najczęściej reprezentowali tacy publicyści jak Aleksander Małachowski, Jan Józef Lipski, Jan Strzelecki czy Paweł Jasienica.

Październik '56 zawsze wywołuje dyskusje, a w zasadzie zarzut odejścia od jego dorobku, skierowany głównie w stronę Władysława Gomułki („zdradził Październik”). W wielu przypadkach to prawda, ale nie da się obronić tezy, że owo odejście spowodowało nawrót stalinizmu.

Na ograniczonej, chruszczowowskiej wersji destalinizacji ZSRR skorzystały wszystkie państwa bloku wschodniego, ale jedynie w Polsce przemiany zasły tak daleko.

Polska przed Październikiem '56 i po nim to DWIE INNE POLSKI. Więcej, bez zmian, do jakich wtedy doszło, historia naszego kraju nie potoczyłaby się tak, jak się potoczyła. W znacznym zakresie demokratyzacja i liberalizacja życia społeczno-politycznego, odejście od polityki strachu, ograniczenie represji prawie do minimum, miało przełożony wpływ na dalsze wydarzenia w PRL, z Sierpniem '80 i powstaniem Solidarności włącznie.

Paweł Dybicz

Skoro nie wtrącaliście się, to i teraz też się nie wtrącajcie

Notatka z rozmów delegacji Prezydium KC KPZR i członków Biura Politycznego KC PZPR w Warszawie, 19 października 1956 r.

Notatka została sporządzona przez będącego w składzie delegacji radzieckiej Jana Dzierżyńskiego w czasie spotkania Władysława Gomułki i członków Biura Politycznego KC PZPR z Nikitą Chruszczowem, Anastasem Mikojanem, Władysławem Mołotowem i Łazarem Kaganowiczem, które odbyło się 19.10.1956 r. w Belwederze. Poniższy niewielki fragment notatki drukujemy bez przypisów. Całość opublikowano w książce „Przełom Października '56”.

Tow. Chruszczow: Chcą nas odebrać od naszych wojsk w Niemczech Zachodnich.

Tow. Gomułka: Kto chce?

Tow. Chruszczow: Polska. Macie zamiar usunąć z Biura Politycznego tow. tow. Rokossowskiego, Józwiaka, Nowaka, Gierka, a wprowadzić – Morawskiego. Nie możemy do tego dopuścić i jeśli postawicie nas przed faktami dokonanymi, będziemy zmuszeni brutalnie ingerować.

Tow. Ochab: Polscy komuniści siedzieli w waszych więzieniach i widocznie znowu będą siedzieć.

Tow. Chruszczow: Ja tak nie powiedziałem, nie przekraczajcie. Chcecie popsuć naszą przyjaźń. Dla dobra naszych interesów, interesów całej międzynarodowej klasy robotniczej i przede wszystkim dla dobra Polski, nie możemy tego znieść.

Tow. Kaganowicz: Po to właśnie przyjechaliliśmy, żeby przed faktem dokonanym porozmawiać z wami.

Tow. Gomułka: Naprawdę uważacie, że tylko ci towarzysze (Rokossowski i inni) są gwarancją przyjaźni z wami? My też nie chcemy jej naruszać.

Tow. tow. Kaganowicz i Mikojan: Nie, nie tylko oni są gwarancją przyjaźni, ale oni i wy razem.

Tow. Chruszczow: Zrozumcie, że nie przyjechaliliśmy po to, żeby was wykorzystywać i coś wam zabrać. Nigdy nie wtrącaliśmy się do waszych spraw.

Tow. Gomułka: Chodzi o to, że skoro nie wtrącaliście się, to niech wszystko zostanie po staremu i teraz też się nie wtrącajcie.

Tow. Chruszczow: Chcecie postawić nas przed faktem dokonanym. Wasza prasa oskarża nas, właśnie teraz, że pod koniec wojny wywieźliśmy z Polski jakieś drobiazgi, a faktycznie Związek Radziecki zawsze pomagał i pomaga Polsce Ludowej.

Tow. Mikojan: Proponowaliśmy wam zwrot terenów z rudami uranu, ale odpowiedzi od was nie ma, chociaż minęło wiele miesięcy.

Tow. Chruszczow: Mógłbym wręczyć wam, drogi tow. Gomułka, listę osób, zjedzonych w latach 1946-1947 podczas głodu na Ukrainie, gdy w tym samym czasie dawaliśmy wam zboże, dawaliśmy wam nie jego nadwyżki, a odrywaliśmy je od żywego ciała naszego narodu. Oto, jaki jest nasz stosunek do Polski.

Tow. Mołotow: Uwzględniając szczególną wagę kwestii przyjaźni polsko-radzieckiej, nie możemy kierować się formalnym punktem widzenia na równoprawność. Nie bylibyśmy komunistami, gdybyśmy w obecnych warunkach tak postąpili. (...)

Tow. Chruszczow: Towarzyszu Gomułka, taki towarzysz jak Rokossowski zrobił dla wyzwolenia Polski nie mniej od każdego z was, a być może więcej. Odrzucicie emocje, wzburzone w wyniku naszej ostrej rozmowy i porozmawiajmy spokojnie. Zrozumcie, że bez Związku Radzieckiego Polska nie może zapewnić swojej niepodległości i nie naruszalności granic. A rewanżyści Zachodnich Niemiec są coraz bardziej zuchwali. (...)

Tow. Ochab: Muszę powiedzieć, że nasi towarzysze są szczególnie zaniepokojeni uwagą tow. Chruszczowa o ingerencji. Trzeba wyjaśnić, o jakim ingerowaniu jest mowa.

Tow. Gomułka: Chcemy, żebyście przedstawili swoją ocenę sytuacji w Polsce i żebyście powiedzieli, co znaczy oświadczenie tow. Chruszczowa, że gotowi jesteście zdecydowanie interweniować, by nie dopuścić do naruszenia przyjaźni polsko-radzieckiej. Trudno byłoby mi pracować w takiej atmosferze. Jest to trudne dla większości naszych towarzyszy. Powiedźcie, tow. Chruszczow, co myślicie o tym, by stworzyć sprzyjającą atmosferę dla rozmów między nami, jak między komunistami. (...)

Tow. Mikojan: (...) mówi o wielkiej odpowiedzialności kierownictwa PZPR i KPZR za umocnienie przyjaźni polsko-radzieckiej. Dla towarzyszy radzieckich było niezrozumiałe, dlaczego tow. Ochab, wracając z Chin do Warszawy, nie zechciał spotkać się z przywódcami KC KPZR, chociaż prawdopodobnie już wtedy występowały rozbieżności. Następnie tow. Mikojan cytując komunikat amerykańskiego radia o sytuacji w kierownictwie PZPR, o tym, że w KC PZPR istnieje rozłam na „stalinowców” i zwolenników „odwilży”.

(...) **Tow. Chruszczow** był w marcu br. na plenum KC PZPR i teraz w Polsce nazywają go niemal antysemitą. Naszym zdaniem, nie chodziło o antysemityzm, lecz o właściwą politykę narodową. Wasza prasa mówi, że trzeba poskromić antysemitów, ale prawidłowe rozmieszczenie narodowych kadr nie jest antysemityzmem. (...)

Tow. Gomułka: O przyczynach sytuacji w Polsce nie będę mówił.

Tow. Mołotow: Dlaczego nie, powiedzcie. W czym istota tej sytuacji?

Tow. Gomułka: Istoty szukałbym nawet u was, w tym, co tow. Chruszczow powiedział na XX Zjeździe KPZR o kulcie jednostki.

Tow. Mikojan: Kult jednostki zupełnie dotyczył Polski.

Tow. Gomułka: A czyż nie wpływał na Polskę? Ale mamy też nasze własne przyczyny. Podstawowa to sytuacja ekonomiczna robotników. Możliwe, że wasi robotnicy żyli gorzej niż obecnie polscy, ale weźcie pod uwagę, że realna płaca średnia polskich robotników nie przekracza 60-70 proc. przedwojennej.

Tow. Mikojan: Ale towarów jest w Polsce bez porównania więcej niż przed wojną.

Tow. Gomułka: Przed wojną była u nas bardzo wielka bieda. Są jeszcze robotnicy, których zarobek wynosi 500 zł miesięcznie, za co prawie nie da się przeżyć. Wcześniej polskich robotników dobrze dyscyplinował plan 6-letni. Ale ten plan nie został wykonany w zakresie realnej wartości wynagrodzenia za pracę i robotnicy wyrażają swoje niezadowolenie z naszej pracy.

Drugą przyczyną sytuacji w Polsce jest system kultu jednostki, tak samo jak w ZSRR. Oczywiście, jego następstwa były u nas inne, ale nasze życie również toczyło się pod wpływem kultu jednostki. A kiedy pojawił się referat tow. Chruszczowa na XX zjeździe o kulcie jednostki, to bardzo wpłynęło to na nastroje mas. Ludzie zaczęli poszukiwać, zastanawiać się, co robić. (...)

Uczestnicy rozmowy

Władysław Gomułka (1905-1982) – od sierpnia 1951 r. do grudnia 1954 r. w ścisłym odosobnieniu w związku z oskarżeniami o prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie. W sierpniu 1956 r. ponownie przyjęty do PZPR, 19 października 1956 r. dokooptowany do składu KC PZPR, 21 października 1956 r. wybrany na I sekretarza KC PZPR.

Nikita Siergiejewicz Chruszczow (1894-1971) – w latach 1953-1964 I sekretarz KC KPZR.

Edward Ochab (1906-1989) – w latach 1954-1968 członek Biura Politycznego KC PZPR, od marca do października 1956 r. I sekretarz KC PZPR.

Łazarz Moisiejewicz Kaganowicz (1893-1991) – w latach 1930-1957 członek Biura Politycznego (Prezydium) KC KPZR, 1953-1957 pierwszy zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR i jednocześnie w latach 1955-1956 przewodniczący Państwowego Komitetu Rady Ministrów ZSRR ds. Pracy i Płacy, w latach 1956-1957 minister przemysłu materiałów budowlanych ZSRR.

Anastas Iwanowicz Mikojan (1895-1982) – w latach 1935-1966 członek Biura Politycznego (Prezydium) KC KPZR, 1955-1957 pierwszy zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR.

Wiaczesław Michajłowicz Mołotow (1890-1986) – w latach 1926-1957 członek Biura Politycznego (Prezydium) KC KPZR, 1941-1957 pierwszy zastępca przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych (Rady Ministrów) ZSRR, 1939-1949 i 1953-1956 komisarz ludowy spraw zagranicznych ZSRR, 1956-1957 minister kontroli państwowej ZSRR.



17 zł 47 zł

Październik '56

Wydarzenia, które odmieniły historię Polski

Historia zrywania Polski ze stalinizmem:

- Uwolnienie Władysława Gomułka i prymasa Wyszyńskiego
- Stenogram dramatycznych rozmów Władysława Gomułka z Nikitą Chruszczowem w Belwederze
- Poparcie Wyszyńskiego dla odnowy
- Złote lata kultury

Zamów książkę na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Wysyłka GRATIS listem nierejestrowanym Poczta Polska

eprasa.pl/b31f7964ad

HISTORIA
BEZ IPN

Rachunek jak wyrok

Nie jesteśmy w stanie płacić pięć razy więcej za prąd.
Jako przedsiębiorcy zostaliśmy na lodzie

Zuzanna Muszyńska

Pod hasłem „Stop drożyznie” odbył się w Bydgoszczy protest przedsiębiorców. Zorganizowała go Katarzyna Borkowska-Kiss, właścicielka kawiarni Fanaberia.

Trzeba walczyć

„To koniec. Nie jesteśmy w stanie walczyć dalej. Skrzynka pozostanie otwarta tylko do najbliższej soboty. Nie jesteśmy w stanie płacić pięć razy więcej za prąd. Jako przedsiębiorcy zostaliśmy na lodzie”, napisał 3 października w mediach społecznościowych Mateusz Grzębski, właściciel sklepu oferującego żywność od lokalnych dostawców.

Warzywniak działał w dobrym punkcie, na skraju starówki. Dla lokalsów wygodnie, dla innych bydgoszczan też, bo po drodze z pracy. – Skrzynkę otworzyłem 31 marca zeszłego roku – opowiada pan Mateusz. – Wróciłem akurat z Włocławka, skąd pracowałem zdalnie podczas lockdownów, a przy okazji pomagałem rodzicom rozkręcić ich sklep. Pochodzę z gospodarstwa ogrodniczego. Gdy rozpoczęła się pandemia, rodziców nie wpuszczono na

gospodarstwach, z towarem lepszej jakości niż ten w marketach. Przez półtora roku szło dobrze, miałem wielu klientów.

Pod facebookowym komunikatem pana Mateusza pojawiły się liczne słowa wsparcia. „Kolejny jasny punkt na mapie Bydgoszczy znika. Byliście wspaniali! Życzę mimo wszystko powodzenia i może do zobaczenia w lepszych czasach”, „Och nie, tak bardzo brakuje sklepów z cudownymi warzywami nie z marketu”, „Podziwiam twoją ciężką pracę i jest

– z 3 tys. do 8 tys., a ostatnio do 14 tys. zł. Katarzyna Borkowska-Kiss komentuje: – Otworzyłam lokal sześć lat temu, miało być przyjemnie i spokojnie. Wcześniej sprzedawałam tu bilety na koncerty, razem z mężem, który przez wiele lat był menedżerem kabaretu Hrabi. Obie branże, gastronomia i kultura, mają teraz pod górę. Sale koncertowe nie wypełniają się po brzegi tak jak kiedyś. Ludzie muszą kupić węgiel, nakarmić rodzinę, wykształcić dzieci, kultura pierwsza idzie w odstawkę. Nie prowadzę

Rachunki za prąd skoczyły z 3 tys. do 8 tys., a ostatnio do 14 tys. zł.

mi bardzo przykro”, pisali internauci Konrad, Alicja i Adam.

Okno wystawowe lokalu zdobią wrzosey, dynie oraz miotła z napisem „Zamykamy się. Pozamiataliście nas”. W środku coś się dzieje. – Skrzynki zostają, my też – mówi pan Mateusz. – Nowy concept nie będzie wymagał takich nakładów energii. Powiem tylko, że chodzi o galerię rzeczy dawnych i ciekawych. Zapraszamy w listopadzie.

Ale świeżej marchewki już nie będzie. Nie ma też Vegaba naprzeciwno, gdzie można było przekąsić coś po wegańsku. Lokal zamknął się niedawno. Restauracja Maestra przy Operze

dużej firmy, mam kilku pracowników. Pracujemy często z mężem po kilkanaście godzin na dobę. Nie wiem, czego ludzie nam zazdroszczą. Prywaciarz nie obchodzi Kowalskiego, ale to my, małe i średnie przedsiębiorstwa, mamy ogromny wkład w budżet państwa. Dlaczego więc rząd pozwala, żeby spółka państwowa wystawiała rachunek za energię, który jest dla nas wyrokiem?

W lokalu trudno o stolik. Kameralne salki, weranda i ogródek tętnią życiem. Można skosztować domowego ciasta do pysznej kawy lub herbaty. – Kiedy otwieramy o godz. 11, od razu jest ruch – śmieje się pani Katarzyna. – Pracownice dwoją się i troją, żeby nadążyć z obsługą. Zawsze mieliśmy dużo gości, teraz jest ich jeszcze więcej, odkąd poszła w miasto plotka, że się zamykamy. Klienci chcieli nas wspomóc na Zrzutka.pl. Czują się u nas jak u rodziny. Przychodzi regularnie taka starsza para, pan czyta pani książkę na głos. Ona przysypia w fotelu, przykryta kocem. Kiedy się budzi, zamawiają kolejną herbatę i znów czytanie, i drzemka. Taki mamy klimat.

Pani Katarzyna ma ogromny żal nie tylko do obecnej władzy. Nie

Prywaciarz nie obchodzi Kowalskiego, ale to małe i średnie firmy wypracowują budżet państwa.

targowisko. Mieli zioła w doniczkach – straż miejska uznała, że nie są to artykuły żywnościowe, tylko kwiaty. Tata wrócił z towarem do domu i zapadła decyzja, że trzeba otworzyć własny punkt sprzedaży. Rodzicom się udało, a ja po powrocie do Bydgoszczy postanowiłem skopiować ich pomysł – warzywniak oparty na małych, rodzinnych

Novej nie istnieje. Tylko do końca listopada działa Falla przy Gdańskiej. Jako pierwsza z francyz ogólnopolskiej sieci przestanie serwować wegańskie i wegetariańskie falafele.

Trzeba walczyć. Iskra poszła z Fanaberii. Kultowa kawiarnia przy Gdańskiej nie zamyka się, ale ogranicza działalność. Tam też rachunki za prąd skoczyły o kilkaset procent



zapomniała samorządowcom odmowy pomocy dla przedsiębiorców, którzy prosili o ulgi w opłatach czynszowych podczas pandemii. – Nie zwolniliśmy ludzi – przypomina – a przychodu mieliśmy 1,8 tys. zł miesięcznie, z dań na wynos. Prezydent Bydgoszczy powiedział, że nie pomogą, bo musieliby zrezygnować z inwestycji. Dochodzę do wniosku, że w tym kraju nie warto się wysilać – dodaje. – Jak już wyszliśmy na prostą, rząd wymyślił program Polski Ład, czyli nowy sposób naliczania składek ZUS dla przedsiębiorców. Następnym ciosem dla nas stała się rosnąca inflacja.

Jako niepraktykująca belferka pani Katarzyna nieprzypadkowo wybrała na datę protestu 14 października. Uważa, że nauczyciele są bardzo źle traktowani przez rząd, i ucieszyło ją, że zadeklarowali swój udział w wydarzeniu.

Zjednoczmy się

Tłumy nie przyszły. Nauczycieli nie było. W kulminacyjnym punkcie uczestniczyło w manifestacji sto kilkadziesiąt osób. – Ludzie kochani! Czy chcecie naprawdę za kilka miesięcy płacić za to piwo, które właśnie pijecie, 20, 25, 30 zł? Na miłość boską! Do tego to wszystko dąży. Widziałem tu chłopaków z Zawiszy. Naprawdę

będziecie płacili za bilety na mecze kilkadziesiąt złotych więcej... – zwrócił się do osób przesiadujących w okolicznych lokalach Mateusz Grzębski. – Nie mogę utrzymać małego warzywniaka w centrum miasta nie dlatego, że nie ma ruchu, ale dlatego, że wykończyły mnie ceny prądu, które narzuca spółka państwowa – kontynuował. – A spółki państwowe notują gigantyczne zyski.

Hodowców trzody chlewnej w powiecie można policzyć na palcach jednej ręki.

Na manifestację przyjechali przedstawiciele Agrounii. Michał Sandrowski z powiatu żnińskiego ocenił sytuację w polskim rolnictwie jako „jedną wielką tragedię”. Podkreślił, że rolnicy walczyli z rządem już pięć lat temu, kiedy podczas afrykańskiego pomoru świń wybijano przymusowo zdrowe zwierzęta. – Dziś hodowców trzody chlewnej w powiecie można policzyć na palcach jednej ręki – podsumował. Oskarżył rząd o okradanie obywateli z rodzimych produktów – nawozów i węgla, które po wyższej cenie są sprzedawane poza krajem. – Rząd gasi pożary, które sam vznieca – dodał Piotr Kamiński, przedstawiciel Agrounii Warmia i Mazury. Padły też słowa o drastycznie niskich cenach skupu.

Warto przypomnieć, że w minionym roku rolnicy z powiatu żnińskiego zrzeszeni w Agrounii rozdali mieszkańcom Pałuk w ramach ogólnopolskiej akcji protestacyjnej ponad tonę ziemniaków.

Na bydgoskim rynku byli obecni przedstawiciele innych organizacji. Karol Słowiński z Komitetu Obrony Demokracji zachęcał zebranych do włączenia się w projekt Obywatelskiej Kontroli Wyborów. Adam Nawara z partii Polska Liberalna Strajk Przedsiębiorców deklarował: – Idziemy do

wyborów. Będziemy zmieniać kraj. Przedsiębiorcy są praktykami, mają się na zarządzaniu lepiej niż politycy.

Przedstawicielki Ogólnopolskiego Strajku Kobiet ze Żnina, Natalia i Irena, przypomniały, że w ich mieście OSK już półtora roku temu zorganizował protest przeciwko drożyznie. – Naszym priorytetem jest walka o prawa kobiet, ale wspieramy przedsiębiorców – powiedziały mi. – Myślimy, że od stycznia będzie więcej ludzi na ulicach. Nie ma takiej możliwości, żeby obecna władza wygrała wybory. Wyborcy Prawa i Sprawiedliwości już przejrżeli na oczy.

Innego zdania byli młodzi mieszkańcy Osowej Góry. – Tu nic się nie zmieni, dopóki pierwsze pytanie będzie zawsze o lewicę czy prawicę. ▶

► Żeby cokolwiek zmienić, trzeba się zjednoczyć. Byłem na marszach kobiet, mimo że jestem prawicowcem. Byłem też na marszach przedsiębiorców i tam wsparcia ze strony kobiet nie było. Ilu jest w Bydgoszczy przedsiębiorców? Ilu zamknęło się dotychczas, a ilu niedługo się zamknie? Nie wiem, co musiałoby się stać, żeby

– tłumaczyć, zanim ruszyliśmy za pochodem w kierunku biura posłów PiS. – Jako producenci żywności nie możemy przerzucić kosztów prowadzenia działalności na klienta, bo on odmówi zakupu. Tak źle jeszcze nie było. Zatrudniam kilkadziesiąt osób, na razie nikogo nie zwalniam. Dotychczas szło nam bardzo dobrze,

Od ponad 20 lat prowadzę firmę i ostatnie trzy lata w moich branżach były najgorsze. Sprawy przedsiębiorców nie są znane Polakom, którzy pracują na etatach albo są emerytami. Zapominają oni, że w firmach pracują ich dzieci i wnuki, że właśnie te małe firmy wypracowują budżet państwa, czyli bez nich państwo upadnie.

Rząd zapowiedział zamrożenie cen energii. Przedsiębiorcy podeszli do tej obietnicy z rezerwą i mieli rację. Już wiadomo, że ustawa w obecnej formie to bubel – firmy energetyczne kupiły na zapas drogi prąd i nie sprzedadzą go tanio, tak jak chciałby rząd, bo poniosłyby miliardowe straty, a na rekompensaty brakuje pieniędzy. Kowalski pójdzie spać snem zimowym, pod pierzynę i w pulowerze. Przedsiębiorcy? No cóż, najtrudniejszy pierwszy rok, co trzecia firma go nie przetrwa, zawsze tak było i będzie, jedni się otwierają, drudzy zamykają – podsumują ich anonimowi internauci, którzy nigdy nie śpią. A na ulicach coraz puściej i coraz ciemniej.

Zuzanna Muszyńska

z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

Ludzie muszą kupić węgiel, nakarmić rodzinę, wykształcić dzieci, kultura pierwsza idzie w odstawkę.

obudzić ten naród. A wybory wygra ten, kto będzie liczył głosy – stwierdził Tomasz.

Tak źle jeszcze nie było

Przemysław Sznajdrowski, właściciel firmy garmazeryjno-cateringowej, wyróżniony Orłem Agrobiznesu 2017, przyjechał do Bydgoszczy z Niewieścina. Działalność gospodarczą prowadzi od 22 lat. – Przedsiębiorstwo to nie tylko właściciel, to również pracownicy, klienci, dostawcy, to system naczyń połączonych

rozwijaliśmy firmę, zatrudnialiśmy ludzi, budowaliśmy nowe obiekty. Dziś zastanawiamy się, jak przeczekać ten trudny czas. Surowce w mojej branży poszły w górę rok do roku o 100%. Nie mówiąc o kosztach energii. Robi się dramat.

– Widać, nie wszystkim jest tak źle jak nam, przedsiębiorcom, i tym, którzy nas dzisiaj wspierają – ocenia Katarzyna Borkowska-Kiss – ale myślę, że to kwestia czasu, zanim inni dojrzeją do tego, żeby brać udział w takich manifestacjach, bo widać gołym okiem, że robi się coraz gorzej.

JUŻ NA DVD

CANAL+ PREZENTUJE

JOANNA KULIG MICHAŁ CZERNECKI ANDRZEJ SEWERYN GRAŻYNA SZAPOŁOWSKA MACIEJ MUSIAŁOWSKI

NAJNOWSZY FILM SCENARZYSTY
BOGÓW I SZTUKI KOCHANIA
HISTORIA MICHAŁINY WISŁOCKIEJ

KAŻDY WIĘ LEPIEJ
KOMEDIA NIECO RODZ INNA

CANAL+ ORIGINAL **WP** **FILMWEB** **empik** **KINOŚWIAT**



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Gwizdek na drugą połowę

Jak jeden dzień? Jak z bicia trzasnął! W mgnieniu oka! Kiedy zleciało mi to pół wieku?! To jakiś żart! Inni to mają dobrze, życie przed nimi – myślę sobie i natychmiast powinienem tę myśl zdusić, a raczej przekomponować tonację z molowej w dur – inni mają dobrze, ale ja mam doskonale, miewam się świetnie, żyję klawo. Powinienem, ale już nie umiem. Automatyzmy motywacyjne niegdyś nakazywały mi nie mieć marzeń, tylko cele – dziś już takiej energii we mnie nie ma.

Naczelnym celem jest święty spokój, a doświadczenie uczy, że o niego najtrudniej – to marzenie głowy ściętej. Nie mam spokoju i go nie zaznam, byłoby zresztą nieetycznie do niego zmierzać w czasie wojny i zbliżającej się apokalipsy „ostatecznie zbydlęconej ludzkości”. Tak mawiał idol mojej młodości, naczelny katastrofista okresu międzywojnia Stanisław Ignacy Witkiewicz, który nie musiał dożyć militarnych efektów rozszczepienia jądra atomowego, by wieszczyć zagładę. Podciął sobie żyły,

Zamiast płakać nad tortem z 50 świeczkami, powziąłem decyzję, by na pohybel peselowi dożyć dogrywki, a nawet rzutów karnych.

mając lat 54, co w czasach mojej najintensywniejszej fascynacji jego osobą sprawiało wrażenie wieku matuzale-mowego; Witkacy na fotografiach z późnych lat 30. jawił mi się jako bruchaty dziad.

Teraz, gdy właśnie sam przekroczyłem Rubikon pięćdziesiątki, a zatem statystycznie przeżyłem dwie trzecie swojego żywota, widzę sprawy inaczej. To jeszcze nie starość – półwiecza można dożyć na oparach młodzieńczego paliwa, ale to ten moment, kiedy ludzie, którzy „się nie zabezpieczyli na stare lata”, jakkolwiek to rozumieć, popadają w depresję, szaleństwo lub idą na tory. Dzieci dorastają i odchodzą od rodziców, żony przekwitają i odchodzą od zmysłów, nabrzmiałe złudzenia przyskają w popłochu i człowiek zostaje sam wobec nieubłagane-go faktu, że będzie już tylko gorzej: wolniej, słabiej, samotniej. Większość widomej ludzkości jest już ode mnie młodsza – oprócz świata polityki, w którym niezmiennie panują gerontokracja i patriachizm, a co za tym idzie medialna nadobecność wszelkiej maści dziadów.

Dzień okrutnie okrągłego jubileuszu spędziłem na spełnianiu zachcianek – poszedłem w góry wytarzać się

w bukowych liściach, odwiedziłem matkę i przyrodnie rodzeństwo (z racji wieku i dotkliwych schorzeń samo ich istnienie jest już dla mnie prezentem) i zajrzałem na mały stadion, by zobaczyć wielki mecz. Co prawda, nigdy w tym miejscu nie piszę o sprawach sportowych, ale uczynię urodzinowy wyjątek – u mamy za płotem, na boisku Rekordu Bielsko Biała odbył się w zeszłym tygodniu mecz historyczny z wielu względów. W ramach rozgrywek o Puchar Polski do trzecio-, czyli de facto czwartoligowca przyjechała nadziewana gwiazdami Pogon Szczecin z Kamilem Grosickim na czele i zamiast dać tubylcom lekcję futbolu, sama otrzymała lekcję walczności i techniki.

Mecz rozpoczęto o nietypowo wczesnej porze, bo na stadionie nie ma sztucznego oświetlenia, a słońce zachodzi wpół do szóstej – tymczasem po trzech godzinach walka wciąż trwała i wyglądało to, jakbyśmy mieli nie tylko zmierzchu, ale i zimy doczekać na trybunach. Jak żyję, czegoś takiego nie widziałem: po dwa gole w regulaminowym czasie, po jednym w dogrywce, a potem 28 (dwadzieścia osiem, to nie pomyłka) rzutów karnych!!! Futbol jeszcze raz okazał się metafizycznym remedium na *Weltschmerz*, oto ja, obolały od wanitatywnych przeczuć jubilat, zobaczyłem, jak mecz życia rozgrywa u końca kariery Tomasz Nowak, strzelając gola z połowy boiska i po profesorsku dyrygując skazywaną na pożarcie czeredką bielskich juniorów. Dramaturgia też układała się w metaforę – gospodarze przynietli rywali młodzieńczym entuzjazmem, ale zaczęli opadać z sił i zanosilo się na klęskę, lecz oto podnieśli się i ponieśli los aż po najdłuższą w historii serię jedenastek. Owóż, zamiast płakać nad tortem z 50 świeczkami, powziąłem decyzję, by na pohybel peselowi dożyć dogrywki, a nawet rzutów karnych – tak, to dopiero druga połowa się zaczęła. Nie dam się, psiakrew, zając z boiska. Wynik wciąż jest otwarty. ■



Młodzi w depresji

W ciągu pięciu lat podwoiła się liczba dzieci i nastolatków leczonych z powodu zaburzeń depresyjnych i zaburzeń nastroju

Dominika Tworek

Piotrek ma 15 lat. Mieszka w Gdańsku. Uczy się w liceum, w klasie o profilu biologiczno-chemicznym. Uwielbia biologię, chce zostać lekarzem, najlepiej psychiatrą albo chirurgiem. Dążenie do wykonywania tak trudnego, a zarazem szanowanego społecznie zawodu podszyte jest chęcią podniesienia – dotychczas niskiej – samooceny i zaimponowania rodzinie.

Dla nastolatka chorującego na depresję typowe będzie przeżywanie silnej złości.

Ambitne plany studiowania medycyny nakręcają jego perfekcjonizm. Mnóstwo czasu poświęca nauce. Gdy pytam, czy przychodzi mu to z łatwością, słyszę: – To zależy. Są chwile, kiedy sprawia mi to przyjemność, ale często narzucam sobie zbyt dużą presję. U mnie w szkole nie ma ocen, zamiast tego są procenty, a ja mam przekonanie, że muszę wszystko robić na 100%. Na razie mi się to udaje. I nie chodzi o to, że rodzice mnie cisną. Sam ustawiam sobie taką poprzeczkę.

Nastolatek od ponad roku zmagają się z depresją. – Kiedy moja przyjaciółka opowiedziała mi, czym jest depresja, zauważyłem u siebie wiele jej objawów. Spędzałem całe dnie w łóżku. Nie miałem siły, strasznie trudno mi było wstawać, by cokolwiek zrobić, nawet się umyć. To był czas, kiedy miałem lekcje zdalne, więc w zasadzie nie musiałem opuszczać łóżka. Wchodziłem w świat wirtualny, grając w gry. Dzisiaj wiem, że uciekałem w ten sposób od realnych problemów, ale wtedy to bagatelizowałem. Aż w końcu zaczęły się

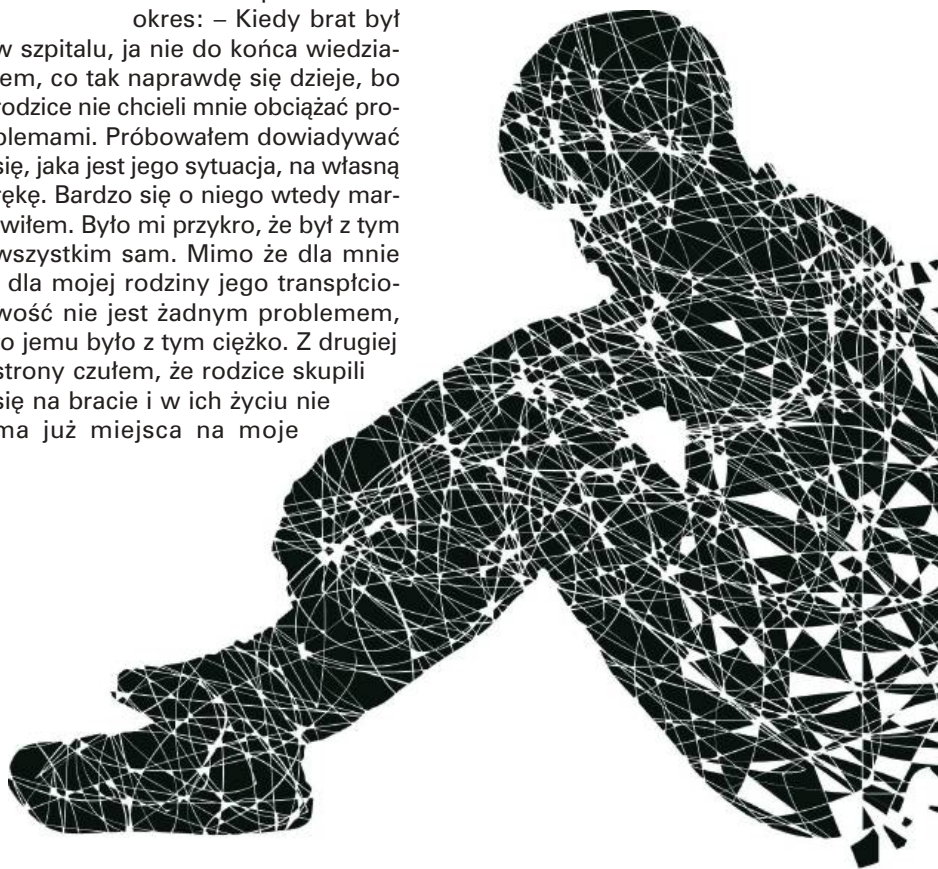
pojawiać destrukcyjne myśli, nawet samobójcze. Idąc ulicą, myślałem o tym, żeby wskoczyć pod samochód. Wtedy zapaliła mi się lampka. Po rozmowie z przyjaciółką postanowiłem, że powiem o tym rodzicom. Długo się do tego zbierałem, bo nie chciałem dokładać im kolejnego problemu – opowiada.

Przez pewien czas w domu Piotra uwaga była skierowana na jego 17-letniego brata, który jest transpłciowy. Chłopak, m.in. przez stygmatyzację otoczenia, wpadł w zaburzenia odżywiania, czego konsekwencją był pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Piotrek wspomina ten okres: – Kiedy brat był w szpitalu, ja nie do końca wiedziałem, co tak naprawdę się dzieje, bo rodzice nie chcieli mnie obciążać problemami. Próbowałem dowiadywać się, jaka jest jego sytuacja, na własną rękę. Bardzo się o niego wtedy martwiłem. Było mi przykro, że był z tym wszystkim sam. Mimo że dla mnie i dla mojej rodziny jego transpłciowość nie jest żadnym problemem, to jemu było z tym ciężko. Z drugiej strony czułem, że rodzice skupili się na bracie i w ich życiu nie ma już miejsca na moje

problemy. Zastanawiałem się, czy powinienem im o nich mówić. Byłem wtedy okropnie zagubiony. Dziś mam żal do rodziców, że sami nie zauważyli mojego stanu. Jak wreszcie powiedziałem im, że myślę, że mam depresję, usłyszałem: „Nic nie wi dzieliśmy, jeszcze przed chwilą cię chwaliliśmy, że jesteś taki zaradny”.

Odprawiony z kwitkiem

Piotrek, osamotniony między 11-letnią siostrą a 17-letnim bratem z poważnymi problemami, w domu nie miał nikogo, z kim mógłby szczerze porozmawiać o swoich emocjach. Odnosił wrażenie, że cała



uwaga rodziców skierowana jest na jego rodzeństwo. Czuł się nieważny. Choć wcześniej miał bardzo dobry kontakt z mamą, która jest nauczycielką: – Zawsze potrafiłem znaleźć wspólny język z mamą. Ona jest bardzo empatyczna, okazuje emocje. Częściej jest w domu, więcej rozmawiamy. Z tatą trudniej się dogaduję. Sporo się kłócimy. Tata jest uparty, trudno go do czegoś przekonać. Poza tym dużo pracuje w korporacji zajmującej się finansami. W pewnym momencie mieszkaliśmy w Szczecinie, a tata pracował w Gdańsku i widywaliśmy się tylko w weekendy. Jeździł też służbowo za granicę. Te wyjazdy nie były nawet tak częste i trwały maksymalnie dwa tygodnie, ale mocno je pamiętam, bo bardzo nie chciałem, żeby wyjeżdżał, tęskniłem wtedy za nim.

Dominujące uczucie nastolatka to samotność: – Nie mam dużej grupy znajomych, z którymi mógłbym spędzać czas. Raczej to pojedyncze osoby, z którymi kontakt nie zawsze jest najlepszy. W poprzedniej szkole miałem przyjaciółkę, ale to się skończyło. Grupa znajomych też się rozpadła. Poczułem, że zostałem sam.

Kiedy dopytuję go o najgorszy czas w chorobie, odpowiada: – Bardzo mocno pamiętam dzień, kiedy

byłem na skraju. Miałem wtedy wizytę u psychiatry i powiedziałem szczerze, jak się czuję. Dostałem skierowanie do szpitala, ale powiedzieli, że mnie nie przyjmą, jeśli nie jest to stan zagrożenia życia. Poczułem, że moje problemy są nieważne. Byłem rozczarowany, że kiedy otwieram się przed kimś i mówię szczerze, co czuję, zostaję odprowadzony z kwitkiem.

Najcenniejsze wsparcie, jakie możemy okazać dziecku, to obecność, uwaga, akceptacja wszystkich emocji.

Od września ub.r. Piotrek chodzi do psychologa, a od grudnia stosuje także farmakoterapię: – Od kiedy się leczę, jest lepiej. Wciąż jest mi ciężko, ale nie tak jak w momencie, kiedy chciałem odebrać sobie życie. Na terapii leczę też anoreksję. Wraz z psychologiem doszliśmy do tego, że kiedy nie miałem kontroli nad własnym życiem, próbowałem kontrolować cokolwiek, a waga była najprostszą opcją. Myślę, że to mogło być próbą odwzorowania zachowania brata, jednak gdy już wpadłem w ten wir, trudno mi z niego się wydostać. Najbardziej pomocne w leczeniu depresji jest dla mnie znalezienie przyjaciela – osoby, z którą miło spędza mi się czas, która jest dla mnie ważna. Myśl, że mógłbym stracić tę relację, odsuwa mnie od perspektywy samobójstwa. Ostatnio polepszyły się też kontakty w naszej rodzinie. Myślę, że wszystkie te problemy sprawiły, że lepiej się dogadujemy – podsumowuje.

Norma rozwojowa czy zaburzenie

W ciągu ostatnich pięciu lat liczba dzieci i nastolatków leczonych z powodu zaburzeń depresyjnych i zaburzeń nastroju wzrosła o ponad 100%. W 2017 r. było 12 tys., w 2021 r. już 25 tys.

Depresja u młodych osób różni się od tej u dorosłych. – Tutaj częściej niż o smutku będziemy mó-

wić o tzw. nastroju dysforycznym, który charakteryzuje się pewnym rodzajem drażliwości, złości, zniechęcenia, czasami rozżalenia, ale też gwałtowności i wybuchowości. Dla nastolatka chorującego na depresję typowe będzie więc przeżywanie silnej złości – tłumaczy psychoterapeutka Magdalena Oleśniewicz.

W przypadku diagnostyki depresji u nastolatków trudno oddzielić to, co jest normą rozwojową, od tego, co jest nietypowe i wymaga profesjonalnej opieki. – Z punktu widzenia psychologii na każdym etapie życia mamy różne zadania rozwojowe. Dla nastolatka najważniejszym z nich jest próba określenia własnej tożsamości. A to może się przejawiać również niepewnością co do swoich kompetencji i możliwości oraz częstszymi konfliktami z dorosłymi. W tym okresie pojawia się też silna potrzeba przynależności do grupy. Jeśli nie zostanie ona zaspokojona, młodej osobie grozi poczucie dużego osamotnienia i niezrozumienia. Okres młodości oznacza poza tym silne skupienie się na własnym cielesie. Typowa dla nastolatków jest także większa potrzeba prywatności, zaznaczanie swoich granic, pewien rodzaj idealizmu, ale i krytycyzmu, niechęć do dorosłych czy oddalenie od rodziny – wylicza terapeutka.

– Natomiast zachowania charakterystyczne dla depresji nastolatków to m.in.: częste wahania nastrojów, ucieczka przed nauką, ale też wyznaczanie sobie nierealistycznych standardów i perfekcjonizm, izolowanie się (nawet od znajomych), trudności

► w skupieniu i koncentracji, nadużywanie alkoholu bądź innych substancji psychoaktywnych, bardzo negatywne myślenie o sobie i przyszłości, samookaleczanie oraz autoagresja. Depresję diagnozuje się, kiedy stan ten utrzymuje się przez co najmniej dwa tygodnie i istotnie wpływa na

razu należy szukać rozwiązań problemów, dawać rady. A to często zniechęca, nie pozwala się otworzyć drugiej osobie. Najcenniejsze wsparcie, jakie możemy okazać swojemu dziecku, to obecność, uwaga, akceptacja wszystkich emocji. Czasami wystarczy po prostu wysłuchać, pozwolić,

o przeżywanych emocjach. Uczmy radzenia sobie ze stresem, nie bagatelizujmy problemów młodych ludzi. Pamiętajmy również, że to na dorosłym spoczywa większa odpowiedzialność za to, w jaki sposób buduje się relacje z nastolatkiem – zaznacza Magdalena Oleśniewicz. – Ważne, by rodzic był cierpliwy, bezwarunkowo akceptował, a jednocześnie stawiał granice. Swoją postawą powinien pokazywać nastolatкови, że błędy się zdarzają i mogą być wybaczone, że i my, dorośli, nie jesteśmy nieomylni. Zachęcajmy też do codziennych aktywności, dawajmy wybór, możliwość decyzji. Rodzice często bardzo skupiają się na ocenach w szkole i osiągnięciach – pamiętajmy, że poza tym istnieje wiele innych ważnych sfer życia. I mimo że normą rozwojową jest to, że nastolatki chętniej wybierają grupę znajomych, nadal często chcą robić coś razem z rodzicami. Dobrze jest więc proponować różne formy spędzania czasu, jednocześnie szanując odmowę.

Dominika Tworek

Choć normą jest, że nastolatki chętniej wybierają grupę znajomych, nadal często chcą robić coś razem z rodzicami.

takie obszary życia jak szkoła, relacje czy realizacja dotychczasowych pasji – wyjaśnia Magdalena Oleśniewicz.

Czasami wystarczy wysłuchać

W depresji nastolatka kluczową rolę odgrywa rodzina. Terapeutka podkreśla, że istotne w kontakcie z młodym człowiekiem w depresji jest bycie bezpośrednim: – To w porządku, by wprost pytać o myśli samobójcze. Powinniśmy być cierpliwi, nie zawstydzać, nie osądzać. Jako społeczeństwo jesteśmy nauczeni, że od

by nastolatek opowiedział nam, co przeżywa. Ważne, żeby rodzina pokazywała, że jej zależy i że będzie obecna w życiu nastolatka, nawet w obliczu różnych kryzysów czy trudności. Z jednej strony, należy oddać mu odpowiedzialność i decyzyjność, tam gdzie jest to adekwatne do jego wieku, a z drugiej – uczyć radzenia sobie z kryzysami, pokazywać, że nie zawsze liczy się wynik, że ważniejsze jest podjęcie próby poradzenia sobie.

Jak chronić nasze dzieci przed depresją? – Przede wszystkim zachęcajmy do opowiadania o sobie,



Już ponad 350 protez dla dzieci z Syrii

#MisjaProtezy

 Polska Misja Medyczna

Wspieraj:
pmm.org.pl

HIV przypomniał o sobie

Anna Stachowiak

W Polsce rośnie liczba zakażeń wirusem HIV. Do końca września zanotowano 1678 nowych rozpoznań HIV, co przekroczyło rekordowy dotychczas poziom 1600 zakażeń. To duży wzrost w porównaniu z ubiegłym rokiem i rokiem 2020: według statystyk gromadzonych przez Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego w 2021 r. nowych zakażeń było 1341, a w roku 2020 – 840.

Dane są niepokojące. Interpelację poselską w tej sprawie złożyła posłanka Lewicy Anita Sowińska. W odpowiedzi na nią Ministerstwo Zdrowia przyznaje, że nastąpił „istotny wzrost”. O przyczynach resort wypowiada się enigmatycznie, pisząc, że „prawdopodobne przyczyny są złożone”. Jako jedną z przyczyn ministerstwo podaje pandemię koronawirusa – chodzi głównie o zaniedbania na polu profilaktyki. „Nie jest do końca znany jeszcze wpływ pandemii COVID-19 i działań podejmowanych w celu jej ograniczenia. Działania te jednak pociągnęły za sobą ograniczenie diagnostyki i profilaktyki, zatem mogły skutkować »długiem zdrowotnym« również w zakresie rozwoju epidemii HIV”. Dodatkowo wiceminister Waldemar Kraska, bo to jego nazwisko widnieje pod ministerialną odpowiedzią na interpelację Sowińskiej, wskazuje, że liczba zakażeń może rosnąć, a wpływ na ten trend mają m.in. „zmieniające się zachowania społeczne w sferze seksualnej” oraz fakt, że granicę Polski przekroczyły miliony uchodźców z Ukrainy.

Podobne wnioski mają lekarze. W rozmowie z serwisem Medonet związki między wzrostem liczby zakażeń a napływem do Polski fali uciekinierów z Ukrainy skomentowała dr hab. Monika Bociąga-Jasik, specjalistka chorób zakaźnych. „W ciągu kilku miesięcy od wybuchu wojny w Ukrainie liczba pacjentów w poradniach zajmujących się leczeniem antyretrowirusowym znacznie się zwiększyła. Ludzie uciekający przed wojną szukali

Rekordowe wzrosty zakażeń

miejsz, gdzie mogą kontynuować leczenie antyretrowirusowe”, mówiła. Podkreśliła jednak, że to niejedyna przyczyna, a wzrost zaobserwowano także wśród polskich pacjentów, wynika zaś to właśnie z zaniedbań w profilaktyce. Podobnie jak w wypadku innych chorób pacjenci mieli utrudniony dostęp do lekarzy i testowania, dlatego w czasie pandemii koronawirusa dane były niedoszacowane.

Wzrosty, jak mówiła, dotyczą nie tylko HIV, ale także innych chorób przenoszonych drogą płciową – kiły, rzeżączki czy chłamydiozy. W wypadku tych chorób nie ma jednak dokładnych statystyk, bo nie są one raportowane.

W Polsce, jak wynika z danych Krajowego Centrum ds. AIDS, do końca 2021 r. zanotowano ogółem 26 486 zakażeń HIV (dane od 1985 r.). 3815 osób ma AIDS, 1428 chorych zmarło na tę chorobę. Leczeniu antyretrowirusowemu poddaje się 16 327 osób. Takie leczenie jest prowadzone i finansowane w ramach rządowego programu polityki zdrowotnej „Leczenie antyretrowirusowe osób żyjących z wirusem HIV w Polsce na lata 2022-2026”. Każde nowe zakażenie HIV jest zgłaszane przez lekarza do Państwowej Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej.

W 2016 r. dr Anthony Fauci, wówczas dyrektor Amerykańskiego Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Zakaźnych (National Institute of Allergy and Infectious Diseases – NIAID), stwierdził, że w walce z HIV nie może być „żadnych więcej wymówek”, bo „mamy narzędzia do zakończenia pandemii HIV/AIDS”. Z tymi słowami zgadza się dr n. med. Bartosz Szetela, specjalista w dziedzinie chorób zakaźnych z Wrocławskiego Centrum Zdrowia. „W tej chwili mamy masę leków. Z punktu widzenia pacjenta, który trafia do poradni z rozpoznaniem HIV-em, szczerze mówiąc, jest to pikus

w dzisiejszych czasach – mówił dr Szetela w jednym z wywiadów. – Oczywiście lepiej żyć bez HIV-a niż z HIV-em, bo leki musimy brać całe życie, co kosztuje w Polsce ok. 2 tys. zł miesięcznie, ale to już nie jest taki problem z punktu widzenia zdrowia”. Mówił także o tym, że przyjmowanie leków przez okres przynajmniej sześciu miesięcy blokuje replikację wirusa, więc nosiciele HIV nie zarażają. „I to nie jest ryzyko bliskie zeru, ale ryzyko wynosi zero”. Zaznaczył, że życie osób z HIV nadal nie jest proste, ale to już zupełnie inna bajka niż kiedyś.

Jeśli u pacjenta zostanie potwierdzona obecność wirusa HIV, ma on dostęp do skojarzonej terapii antyretrowirusowej (cART). Istnieje także profilaktyka przedekspozycyjna (Pre-exposure Prophylaxis – PrEP), polegająca na przyjmowaniu leków, które mogą uchronić przed zakażeniem. To bardzo skuteczna metoda profilaktyki, ale w tym wypadku dostęp do terapii jest trudniejszy, ponieważ nie jest ona refundowana. Nie istnieje także żaden program profilaktyczny, zatem wszystkie koszty ponosi pacjent. ■

**W najnowszym numerze tygodnika „NIE”:
Ryszard Czarnecki
zostanie prezydentem.
Prezydentem Burkina Faso.**



Marta Motyl

Lolita z Tahiti

Gauguin nie przeniósł na wyspę europejskiego patriarchatu, ale nader chętnie skorzystał z gościnności tamtejszego

Paul Gauguin opierał się Tahiti i upierał przy Madagaskarze. Przekonywał, że tam odnajdzie więcej typów ludzkich (rzecz nie bez znaczenia dla wielbiciela portretowania), a także więcej mistyki (rzecz nie bez znaczenia dla wielbiciela symbolizowania). A jednak, kierowany ciekawością wzbudzoną przez Emila Bernarda, sięgnął po broszurę rodzimego Ministerstwa Kolonii o osadnictwie w Oceanii. I przepadł. (...) Sprawy potoczyły się migiem. Sprzedał 30 obrazów. Odwiedził żonę w Kopenhadze w celach pożegnalnych i w 1891 r. ruszył w tahitańskie mango-tango. Żeby mieć tańszy bilet w tamtą stronę, utwierdził francuskie władze w przekonaniu, że jest misjonarzem, z tym że artystycznym. Właściwie nie minął się z prawdą.

Determinacja Gauguina, żeby dotrzeć do raju, nie zaskakuje. Bo jak Tahiti ma nie zachwycać, jak zachwyca? (...) Gauguin, przybijając do brzegów wyspy, spodziewał się wyłącznie cudów-wianków. A tu guzik, spotkała go niejedna niemfła niespodzianka. Król Tahiti, Pomare V, umierał.



Paul Gauguin, 1848-1903

Malarz pojął za rodzaj żony 13-letnią dziewczynkę. Jeżeli miał jakiegokolwiek skrupuły wobec nieletniej, prędko się ich pozbył.

Zdaniem artysty jego śmierć oznaczała zamknięcie maoryskiej historii i zanik dawnych tradycji. Początek pobytu jawił mu się więc jako koniec lokalnej kultury. (...) Przebył szmat drogi na darmo?

Tak nie mogło być. Gauguin postanowił udać się 45 km dalej, do Mataïéa. Liczył, że tam zachowały się rdzenne obyczaje. Że stamtąd wreszcie będzie mógł poznać prawdziwe Tahiti, a nie jego marną imitację. Jak zaplanował, tak zrobił. Zamieszkał pośród miejscowych w naturalnej w tamtych rejonach (i w sensie ścisłym) chacie z bambusa. Widział z niej wzniesienie porośnięte mangowcami, hibiskusami, drzewami chlebowymi.

Odzyskał wiarę i nadzieję, że trafił do raju. Przystąpił do nowych eksperymentów artystycznych – żeby

odsączyć krajobrazy z feerii barw i blasku światła, tubylców z ich swobodnych póz i bacznych spojrzeń. Żeby brać to na paletę, na pędzel, przytykać do płótna w rozpulsowaniu życia. Meldował: „Znowu zacząłem pracować, a jedno szczęście zastępuje drugie. Każdego poranka budzi mnie wspaniałe słońce. Kiedy idziemy do pobliskiego strumyka się opłukać, oślepia mnie złota twarz mojej żony. Jest normalnie – jak w raju”.

Hola, hola, a skąd się wzięła żona? Czyżby Mette postanowiła odwiedzić męża na jego misyjnej placówce artystycznej? W żadnym wypadku.

Gauguin pojął za rodzaj żony, zwanej lokalnie *vahine*, 13-letnią dziewczynkę, Teha’amanę (inna forma jej imienia to Tehura). W jego ręce przekazała ją matka. (...) Postępek Gauguina nie stanowił wówczas

aberracji. Na Polinezji życie seksualne rozpoczynano ok. 12. roku życia. Mette Gauguin, prawnuczka malarza i jego zdeklarowana obrończyni, wskazała, że na Tahiti wyjście za mąż było możliwe zaraz po osiągnięciu przez dziewczynkę dojrzałości płciowej. Argumentowała, że Gauguin działał w ramach ówczesnej normy, odmiennej od współczesnej.

Jeżeli malarz miał jakiegokolwiek skrupuły wobec nieletniej, prędko się ich pozbył. Bo jakieś miał. W zapiskach z pierwszego spotkania z Teha’amaną przyznawał: „To dziecko mniej więcej 13-letnie czarowało mnie i onieśmiało, przerażało prawie”. Przerazenie owego dziecka ujął w obrazie „Manao tupapau” (1892).

Zatrzymajmy się przy jego pierwszej *vahine* na dłużej. Teha’amanę można by nazwać tahitańską lolitką, nimfetką. Wrażenia Gauguina bliskie były wrażeniom Humberta, głównego bohatera i narratora „Lolity” Władimira Nabokowa, co do tytułowej

postaci, czyli 12-letniej Dolores Haze. Dla Humberta jego Lolita stanowiła wcielenie nimfетки, którą definiował jako dziewczynkę między 9. a 14. rokiem życia. Teha'amana wpisywała się w ten przedział wiekowy. Od powieściowego oryginału dzieliła ją powierzchowność. Jednak chociaż nie była ani po loliciemu wiotka, ani po loliciemu blada, była po loliciemu bezbronna.

Podobieństwo jeszcze wzmacnia okoliczność, że Gauguin przypisywał swojej *vahine* tę dwulicowość, co Humbert Lolicie, mianowicie balansowanie między rozaniem a rozbewstwieciem. „Tehura była raz bardzo rozważna i kochająca, to znów szalona i płocha. Dwie wręcz odmienne istoty w jednej – nie licząc wielu innych, nieskończenie rozmaitych – które zaprzeczały sobie wzajemnie i następowały jedna po drugiej, niespodzianie, z zawrotną szybkością.

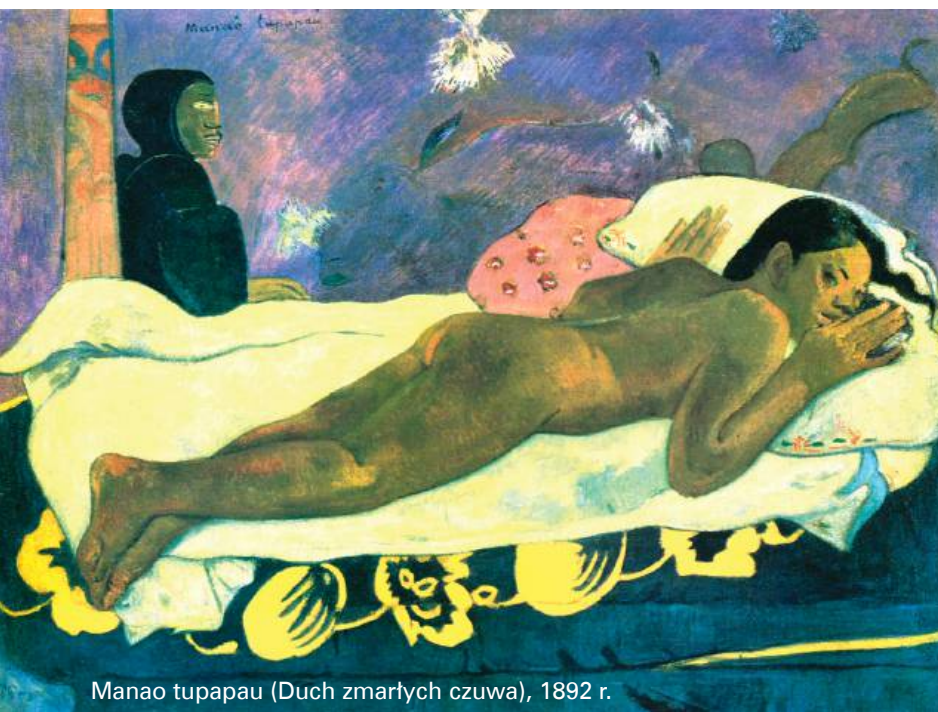
zestawienie stanowi wytwór i wymówkę wyobraźni. Malarz bowiem wziął dziecięcą niewinność i zdeprawował ją własnym sumptem, zesztukował z lubieżnością, co jeszcze uwiódł na „Manao tupapau”. Własne zaś zachowanie odpowiednio zmitologizował, paralelnie do Humberta, który także na swoje wytłumaczenie miał multum argumentów. (...)

Tahiti oznaczała dla Gauguina Arkadę. (...) To, co rozumiał jako prymitywne (i co przyciągnęło go na Tahiti), najwyraźniej odkrywał również w tym, co dziecięce. Wszak i jedno, i drugie kojarzy się z naturalnością, instynktownością, świeżością. Dostrzegał te cechy w tahitańskich dziewczętach. Nie bez znaczenia pozostawał ich brak życiowego doświadczenia,

Artysta mógł być sadystą, któremu podobał się budzony przez niego strach. Na tyle, że postanowił go przedstawić.

Takiego osobliwego mężczyzny jeszcze nie poznaliśmy. Ich rodziny nie sprzeciwiały się „zapoznawaniu” w jego chacie. Gauguin teoretycznie nabierał dystansu do burżujskiego społeczeństwa i wytworów jego kultury, ale praktycznie zajął na wyspie uprzywilejowaną pozycję i wykorzystywał tamtejsze mieszkanki.

Nic dziwnego, że „Manao tupapau” wybrzmiewa dwugłosem piękna i przemocy. Na obrazie Teha'amana przylega przodem do łóżka, jakby chciała w nie wniknąć i tym samym zniknąć. Dziewczęce ciało rozciąga napięcie, unieruchamiając je. Uproszczone masywne kształty, mocno osadzone w sobie i nieproporcjonalne względem siebie, na co wskazują chociażby powiększone dłonie, sprawiają,



Manao tupapau (Duch zmarłych czuwa), 1892 r.

Nie była ona zmienna, była dwojaka, trojaka, wieloraka”, twierdził.

W powieści Nabokova Lolita nader chętnie prezentuje swoje cechy starszemu mężczyźnie, który popada w zauroczenie nimi, a tym samym nią. Uwodzi go połączenie niewinności i zdeprawowania. Lolita Gauguinowska uświadamia, że to

idący w parze z niedoświadczeniem seksualnym. Ich uległość, aż po poddańczość. Gauguin nie przeżył na Tahiti europejskiego patriarchy, ale nader chętnie skorzystał z gościnności tamtejszego.

Dla młodych Tahitanek okazał się egzotyczny i atrakcyjny. Francuz, który potrafił tak pięknie malować

że Teha'amana przypomina ludową rzeźbę. Jej sylwetkę cechuje identyczna oszczędność formy i siła wyrazu jak tego rodzaju statuetkę. (...)

Griselda Pollock, historyczka sztuki, do analizy twórczości Gauguina wprowadziła pojęcie *gambits*. Określiła nim zagrywki artystów awangardowych, polegające na równoczesnym odniesieniu i odróżnieniu, skorelowanym z kreowaniem (czy raczej mistyfikowaniem) wizerunku twórcy. One przekładają się na dodatkową wartość jego pracy. Pollock wywiodła tezę, że przy tworzeniu „Manao tupapau” punktem odniesienia dla Gauguina była „Olimpia” Édouarda Maneta. Zwłaszcza, że na Tahiti zabrał ze sobą kopię tego dzieła. (...) Zdaniem Pollock Gauguin starał się stworzyć „Manao tupapau”, odróżniając ją od „Olimpii”, ukazując naturalną seksualność w kontraście do seksualności skomercjalizowanej. Jednak jego Teha'amanie bliżej niż do żony, za którą się uważał, było do prostytutki. Artysta nie traktował bowiem ich związku zbyt poważnie. Z drugiej strony, skoro Tahitanka służyła mu w pracowni, kuchni i w łóżku, czyż nie odpowiadała modelowi potrzebnemu głównie do spełniania męzkich potrzeb – a więc żono-prostytutki? (...)

► Tomasz Rudomino jest historykiem sztuki i podróżnikiem, który odwiedził m.in. miejsca pobytu Gauguina. Jego zdaniem malarz był mistrzem prostoty i blasku, a postępowanie się przez niego kolorem należy określić jako fenomenalne. Sam malarz porównywał pracę nad obrazem do tworzenia muzyki: „Za pomocą określonego układu linii i kolorów, używając jako pretekstu jakiegoś tematu zaczerpniętego z natury lub z życia, tworzę symfonie, harmonie”. (...)

Tubylcy zapalają nocami maleńką lampkę, która ma odpędzać tupapau. Teha’amana lampki nie zapalała. Malarz relacjonował, że kiedy powrócił z krótkiej podróży, zastał swoją chałtę tonącą w mroku. Nie zdziwił się, ponieważ wyjechał m.in., by uzupełnić zapas świetliwa. Kiedy potarł zapałkę, ujrzał nagą Teha’amana leżącą w łożu, w pozie, którą później uwiecznił. (...)

Prawowitej żonie Mette, z którą utrzymywał kontakt listowny, przedstawił wyłącznie owoc nocnych przeżyć. W liście ominął seksrafi, o które mógłby się rozbić obraz jego pobytu

na Tahiti, skupił się na kwestiach formalnych i uprzedził wszelkie zarzuty obyczajowe. Opis obrazu miał uchronić Mette przed złośliwymi pytaniami krytyków. „Namalowałem nagą młodą dziewczynę. W tej sytuacji wystarczy drobny i stanie się nieprzyzwoity. Jednakże chcę, żeby była taka, jaka jest, interesują mnie linie i ruch. A więc dodaję jej twarzy odrobinę przerażenia. Ten strach musi mieć przynajmniej pretekst, jeśli już nie wyjaśnienie, i to w postaci Maorysi. W tradycjach tego ludu istnieje wielki strach przed duchami zmarłych. U nas młoda dziewczyna bałaby się zaskoczenia w tej pozycji. (Tutejsza kobieta bynajmniej). Muszę oddać jej przerażenie przy użyciu środków jak najmniej literackich, nie tak, jak to robiono dawniej”. (...)

Sugestie Gauguina, że Teha’amana wydawało się, że widzi ducha, zdaniem Pollock miały służyć auto-usprawiedliwieniu. Dzięki nim przeniósł ciężar ze swojego voyeuryzmu na paranoję dziewczyny. (...)

Nancy Mowll Mathews, historyczka sztuki, wskazała na drugą opcję.

W jej interpretacji artysta mógł być sadystą, któremu podobał się budzony przez niego strach. Na tyle, że postanowił go przedstawić. Zatem dziewczyna została upokorzona po wielokroć ze względu na uwiecznienie zdarzenia i zaprezentowanie go innym. (...) Z kolei Philip Kennicott, krytyk sztuki, określił zachowanie Gauguina jako powtarzający się gwałt na dziecku. Jego zdaniem nie daje się inaczej określić seksu z dziewczyną, która ani nie jest wystarczająco dojrzała, żeby udzielić zgody, ani wystarczająco silna pod względem społecznym czy ekonomicznym, żeby zdecydować się na odmowę.

Zachowania artysty coraz mocniej rzutują na ocenę jego twórczości. (...)

Na współczesnej rozprawie dotyczącej artysty brakuje głównego oskarżonego. Nie może się on bronić przed zarzutami. Natomiast z oddaniem broni go wspomniana prawniczka. Jeżeli chodzi o wykorzystywanie seksualne, uznaje zarzut za przesadę – jej zdaniem Gauguin w większości po prostu się chwalił. Daje do zrozumienia, że brakuje

LISTY



Wyrzucie Anię z Zielonego Wzgórza

„Ania z Zielonego Wzgórza” to jedna z wielu lektur, która kształtuje osobowość i uczy, jak żyć, aby nie przegrać. Nauczyła dziewczyny dążenia do samodzielności i obudziła ambicje zdobywania wykształcenia przez kobiety, których miejsce w tamtych czasach było kuchni i przy dzieciach. Pożegnać należy „Krzyżaków” i „W pustyni i w puszczy”, które są tak archaiczne, że trudno je czytać dorosłemu, a co dopiero dziecku.

Barbara Uhl

Na pewno nie powinno tej powieści być w spisie lektur, to bardzo niewychowawcza książka. Bogobojne stare rodzeństwo kupuje sobie w sierocińcu 12-letniego dzieciaka do pracy w polu, w książce są przedstawieni jako wzór uczciwości i wszelkich zalet. Dzieci łykają to bezkrytycznie, bez komentarza. Nie mówiąc już o tym, że jest to grafomania pierwszej wody.

Elżbieta Gołuchowska

Warto omawiać tę powieść w kontekście zachodzących zmian społecznych i pokazywać, że wiele zachowań bohaterów (uprzedzenia itp.) jest nagannych.

Ania, jak na swoje czasy, była postępową: główna bohaterka jest oryginalna, mówi, co myśli, nie boi się być sobą, aktywnie walczy o poprawę swojego losu; Maryla jest starą panną, ale jest przedstawiona pozytywnie, staropanieństwo nie jest dla



niej tematem drażliwym. Stopniowo uczy się, jak wychowywać dziecko, mimo wpojonych staroświeckich zasad; ważną postacią jest panna Stacy, nauczycielka innowatorka; Ania chce się kształcić, zdobyć zawód nauczycielki, jak ukochana panna Stacy. Uda jej się to. Prezentuje nowoczesne, jak na tamte czasy, metody wychowawcze: chwalenie pozytywnych zachowań, rozmowa, pobudzanie samodzielnego myślenia zamiast kar i bicia, co wtedy nie było wcale oczywiste; nie przyjmuje załotów pierwszego mężczyzny, który jej się oświadczył. Czeka na takiego, którego sama wybierze i pokocha; idzie na studia, choć niewiele kobiet wtedy studiowało.

Johanna von Mischke

Promocją życia w ciemnogrodzie jest 99% wytworów kultury. W kształceniu chodzi przecież o uczenie umiejętności kontekstualizacji utworów przy zachowaniu samodzielnego myślenia. Przy takim podejściu nie ma co bać się staroci. Mogą wręcz wydawać się urocze i cenne historycznie.

Natalia Wombatoska

Szczęśliwie dorastałem w czasach, kiedy tę książkę traktowano jedynie jak „Trędowatą” dla młodszych, nadwrażliwych czytelniczek. Nikomu w latach 70. nie przyszło do głowy robić z tego rupiecia lektury obowiązkowej.

Andrzej Kuśpiel

dowodów na uprawianie seksu z nieletnimi, gwałt(y) czy chorobę weneryczną, którą miałby zakażać nieletnie żony. Według niej rany na nogach, na które się skarżył, powszechnie uważane za objaw syfilisu, mogły być sprawką owadów. Prawnuczka dowodzi ponadto, że przecież ani Mette, która musiałaby się od niego zarazić, ani dzieci artysty nie przejawiały żadnych oznak choroby. Neguje także oskarżenie o porzuceniu rodziny na rzecz uprawiania seksturystyki. Podkreśla za to odwagę postępowania Gauguina. (...)

Nie wszyscy jednak badacze interpretują „Manao tupapau” w kontekście wyczynów egoisty, kolonizatora i mizogina do potęgi entej. Zupełnie inaczej postrzega obraz Stephen Eisenman, historyk sztuki. Według niego Gauguin dokonał ataku na europejską tradycję przedstawiania nagości dlatego, że płęć osoby sportretowanej wcale jednoznaczna nie jest. Wskazał na wąskie biodra i duże dłonie postaci, które sugerowałyby płęć męską. Według niego i budowa, i poza Teha'amany podkreśla chłpięcość. Wywodzi się z androgynicznych i hermafrodytycznych wzorców. Z takiej perspektywy obraz przestaje być wyrazem patriarchalnej władzy nad skolonizowanym ciałem, a staje się atakiem na patriarchat z nieodłącznym od niego, wyraźnym podziałem na pierwiastki męskie i kobiece. (...)

Na Tahiti Gauguinowi wiecznie dokuczały problemy finansowe. Niepokoił się, czy przyjdzie do niego przekaz pieniężny, czy nie. Z napięciem czekał wieści od rodziny. (...) Chcąc nie chcąc, musiał w końcu do Paryża powrócić. Wbrew pozorom na Tahiti często doskwierała mu samotność. Z czasem zauważył, że miejscowi: „Pozostawszy sami pięknymi jak arcydzieła sztuki, wyjąłowili moralnie i fizycznie – i to myśmy ich wyjąłowili”. Zdawał sobie sprawę, że Europejczycy przywlekli na Tahiti swoje choroby i alkoholizm. Sam miał zresztą problemy z nadużywaniem trunków.

Pożegnał się również z nadzieją, że założy na wyspie artystyczną kolonię. Ponadto pragnął pochwalić się w Paryżu dokonaniem. Udowodnić sobie i innym, że jego pomysł nie należał

do urojonych, a jego poświęcenie nie poszło na marne. Na zasadzie lubianych przez siebie kontrastów uznał, że chociaż wraca o dwa lata starszy, to o 20 lat młodszy, jednocześnie bardziej barbarzyński i bardziej oświecony.

Nie zawojował jednak Paryża „dzikimi” obrazami. Wystawa, którą otworzył w 1893 r. w galerii Durand-Ruela nie okazała się takim sukcesem, na jaki liczył. Mimo kilku pozytywnych recenzji prasowych publiczność w większości nie rozumiała jego płócien, uznając je za wulgarnie dziwadła. Malarz zdołał

Zdawał sobie sprawę, że Europejczycy przywlekli na Tahiti swoje choroby i alkoholizm.

sprzedać zaledwie jedenaście z nich. Niedługo potem poznał Annah, podobno Jawajkę, a tak naprawdę Hindo-Malajkę. Została jego modelką, przyjaciółką i pokojówką. Stworzyli związek typu królowa życia i król. W ubiorach podbitych ekstrawagancką egzotyką, zamiast przestarzanych soboli, osiedli na tronach pośród paryskiej i bretońskiej cyganerii artystycznej. (...)

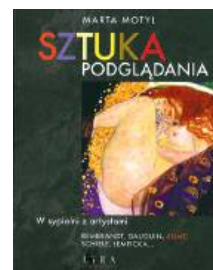
W 1901 r. Gauguin przeniósł się z Tahiti na Hiva Oa, gdzie własnoręcznie wybudował „dom rozkoszy”. Nie uwolnił się zatem od lolicich mrzonek. Bo właściwie co mu pozostało poza nimi? Uważał, że jeżeli los obdarzy go dwoma latami w zdrowiu i mniejszą liczbą problemów finansowych, osiągnie pewną dojrzałość w sztuce. Uff, chociaż tam... (...)

Ze względu na narastające problemy zdrowotne przemyślał nad powrotem do Europy na dobre. George-Daniel de Monfreid, malarz i kolekcjoner, z którym korespondował, odradzał mu takie posunięcie ze względów... wizerunkowych. Perswadował, że przecież Gauguin stał się artystą legendarnym jeszcze za życia. Z Oceanii przysłał do Francji coraz to nowe twórcze niespodzianki. Nawet wrogowie przestali go zwalczać, w tym ze względu na dzielącą ich od malarza odległość. „Korzystasz z nietykalności wielkich zmarłych, przeszedłeś do historii sztuki”, skwitował wywód. (...)

Na portrecie stworzonym ze słów Władysławy Jaworskiej, historyczki sztuki, Gauguin to owszem, awanturnik, wyzyskiwacz, wiarołomny mąż i ojciec, a także egoista. Jednak pod tą maską znajdował się człowiek opętany mirażem, artysta poszukujący w niepokoju i rozgorączkowaniu. Dla niej malarz wybrany i malarz przeklęty. Nazwała go anarchistą, który kierował się wyłącznie prawami tworzonymi przez niego samego, niezdolnym do życia społecznego, zwracającym przeciwko sobie opinię publiczną, a jednocześnie pragnącym przyjaźni i życzliwości. (...)

Według Charlotte Jansen, zajmującej się sztuką i kulturą współczesną, przyczynił się on do ugruntowania sposobu patrzenia w Europie na kobiety spoza Zachodu (czytaj: uprzedmiotawiająco). Ponadto zainspirował innych twórców do podobnego patrzenia na nie i ich przedstawiania.

To częsty zarzut stawiany malarzom. Tylko czy gdyby kobiety również tworzyły akty od zarania dziejów, nie poddawałyby przedstawianych na nich ciał uprzedmiotawiającemu spojrzeniu? Czy współtworząc tradycję sztuki, zachowywałyby się na wskroś wolnościowo, równościowo i siostrzeńsko? Czy, tak jak później Tamara Łempicka, korzystałyby ze swojej przewagi ile wlezie? Czy korzystanie z niej zależy od płci, czy od statusu społecznego, materialnego i osobowości? Jednym słowem: od uprzywilejowania i tego, co się z nim zrobi? Grupy uprzywilejowanych mogą się zmieniać. Jednak uprzywilejowane pozostanie zawsze i wszędzie oko, które podgląda... (...)



Fragmenty książki
Marta Motyl
*Sztuka podglądania.
W sypialni
z artystami,*
Wydawnictwo Lira,
Warszawa 2020

Wielka woda

reż. Jan Holoubek, Bartłomiej Ignaciuk, prod. Polska, Netflix

W lipcu 1997 r. powódź zalała południe Polski. Zginęło 56 osób, a szkody oszacowano na kilka miliardów dolarów. Największym miastem dotkniętym przez żywioł był Wrocław – połowa osiedli przez ponad tydzień stała w wodzie. Netfliksowy serial nie jest zapisem dokumentalnym wydarzeń sprzed 25 lat, lecz doskonale je oddaje z rozmachem inscenizacyjnym kina katastroficznego, jakiego w Polsce nie było. Ma też złożoną, wielopiętrową konstrukcję porównywaną do produkcji po-



roku genialnego „Czarnobyła”. Ale jest w nim coś jeszcze – odwaga, by prowokować niewygodne pytanie o to, kto zawiódł i w jakim stopniu był winien katastrofie. Każdy trop podsycia ciekawość: biurokraci, którzy nie zważyli na ostrzeżenia; mieszkańcy podwrocławskich wsi, którzy oprotowali wysadzenie wałów przeciwpowodziowych, co mogłoby być ratun-

kiem dla miasta; niedziałające, fasadowe służby i tumiwizm rządu. Sieć powiązań i zależności splata się tu z opowieścią o tych, którzy ucierpieli, i o wielkiej społecznej mobilizacji. „Wielką wodę” docenią szczególnie ci, którzy własnymi rękami przed ćwierć wiekiem układali worki z piaskiem.

Mateusz Demski



Wielkie mycie w faweli

Czy można rozjaśnić kolor skóry? Tancerze brazylijscy pokazujący w Teatrze Studio spektakl „Lavagem” potrafili nie tylko wyczarować z wody i mydła gęste piany, którą nawet dzielili się z publicznością, ale także zainscenizować akcję porodową, a potem ukazać radość wyrażaną tańcem do muzyki perkusyjnej. Artyści rekrutowani spośród mieszkańców dzielnic nędzy swoimi ciałami i z użyciem wielkiej, niebieskiej folii budowali też na scenie ruchome skały i morskie potwory, tworząc poetyckie obrazy.

Bronisław Tułłowicz

„Lavagem” (Mycie), choreografia Alice Ripoll, spektakl na 21. Międzynarodowym Festiwalu Sztuki Tańca i Performansu, polska premiera 12 października 2022

MIEDZY OKŁADKAMI

Marcin Wicha
NIC DROBNIEJ NIE BĘDZIE
Wydawnictwo Karakter, Kraków 2022

To, że potrafi opisywać kruchą rzeczywistość, chwycić słowa zagubione, odmalowywać obrazy na pierwszy rzut oka oczywiste, Marcin Wicha udowodnił już nagrodzoną Nike pozycją „Rzeczy, których nie wyrzuciłem”. Później przekonaliśmy się, że felieton, rzecz błaha z natury, to naturalny gatunek Wichy.

Jego najnowszy zbiór „Nic drobniej nie będzie” to – jak pisze wydawca – opowieści „o kubelku na zmieszane, emotikonach, przedwojennej złotówce, strategiach oporu, glinianych gwizdkach. O dorastaniu dzieci. O wspomnieniach. I o tym, jak przetrwać tournée literackie”. Co jest ogromną wartością felietonów Wichy? W czasach taniej publicystyki i ekspertozy, gdy felietoniści stają się cynglami polityków, Wicha, nawet pisząc o sprawach fundamentalnych, zachowuje osobność, dystans, lekkość formy i niezależność myśli. Świeżość, a to właśnie ona w czasach „kopiuj-wklej” i twitterowych kapiszonów jest mocą.

Rafał Piłkuła



Małgorzata Oliwia Sobczak
SZUM
W.A.B., Warszawa 2022

Prokurator Bilski z trylogii „Kolory zła” przemyka też na marginesie akcji „Szumu”, ceniony przez policjanta Kordę. Może wpadłby w oko dziennikarce Grabskiej, ale to z Kordą połączyły ją wydarzenia „Szelestu”, pierwszego tomu nowego cyklu Małgorzaty Oliwii Sobczak. Jego znajomość nie jest jednak niezbędna, by połąpać się w relacjach między postaciami, a obie sprawy są autonomiczne, można więc wejść w serię „Granice ryzyka” teraz, a potem nadrobić zaległości i czekać na kolejne zbrodnie z okolic Trójmiasta. Posezonowy Sopot przewiewany zimnym wiatrem. Znika córka lokalnego ambitnego polityka. Żeby podgrzać atmosferę, naczelny Grabskiej chce odgrzebać stare sprawy zaginięć i uprowadzeń, a jest i morderstwo. Stopniowo wyłania się schemat. Czy ktoś poluje na dziewczyny o figurze klepsydry, z kompleksami na tle swojego ciała? Czy trafił na nie, bo pragnienie akceptacji pchało je do ryzykownych zachowań? Oceniani jesteśmy poprzez fizyczność, podkreśla autorka. Nawet na ofiarę patrzy się w taki odczłowieczający sposób – makabryczna jest scena, gdy policjanci ślinią się na widok zdjęć zaginionej 18-latk.

Aleksandra Pańko



Kolumnę przygotowała
Agata Gogońkiewicz

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY

**Wyprawy
w poszukiwaniu
osobliwości
ginących cywilizacji
i niezwykłych krain
oraz pokonywanie
barier w warunkach
krańcowego
obciążenia**

SOS KOSMONAUTÓW

Kiedy słucha się niemieckiego zdobywcy kosmosu Sig-munda Jähna, cierpieć skóra: „Ze stacji orbitalnej »Mir« Ziemia wydaje się małym, delikatnym klejnotem, ale jeśli przyjrzeć się dokładniej, to widać na każdym kroku ślady jej agonii. Znajdujemy się dzisiaj na pokładzie powoli tonącego statku galaktycznego Ziemia i czasu na załatanie dziury jest niezwykle mało”. W trosce o przyszłość naszej planety latem 1994 r. zorganizowałem ekologiczną wyprawę, w której udział wzięli kosmonauci z pięciu krajów: Ukrainiec Anatolij Arcebarskij, Rosjanin Giennadij Manakow, Austriak Clemens Lothaller, Czech Vladimír Remek i Sigmund Jähn. Patronował jej prezydent Federacji Rosyjskiej Borys Jelcyn.

Chcieliśmy pokazać, że istnieją jeszcze na świecie miejsca, których człowiek nie zdążył zniszczyć, dlatego musimy je chronić. Odbiliśmy niezapomnianą podróż przez pierwotne terytoria Kraju Krasnojarskiego pośród bezkresnej tajgi.

Po zakończeniu misji wystaliśmy przesłanie do rządów, liderów partii politycznych, światowych instytucji, przedstawicieli wielkiego przemysłu i biznesu, głów Kościoła, uczonych i wszystkich mieszkańców kuli ziemskiej z apelem o zaangażowanie się w ratowanie naszej, jeszcze żywej planety. Nakazem chwili jest potrzeba stworzenia nowej świadomości, innowacyjnych postaw ekonomicznych. Tylko wtedy, gdy zdecydowana część populacji zechce spojrzeć prawdzie w oczy, można będzie liczyć na wyjście z impasu i przywrócenie żywotnej więzi człowieka z otoczeniem.



1



2



3

1. Śmierć Jeziora Aralskiego.
2. Przed wyjazdem na Syberię.
3. Autor u steru tratwy.
4. Wodowanie tratwy.
5. Życzenia prezydenta Borysa Jelcyna.
6. Zjawiskowy wodospad.



4

7. Wycinki prasowe.
8. Rzeka Tajmura – raz głęboka, raz płytka.
9. Bogactwo ryb.
10. Oczekując na helikopter.



5



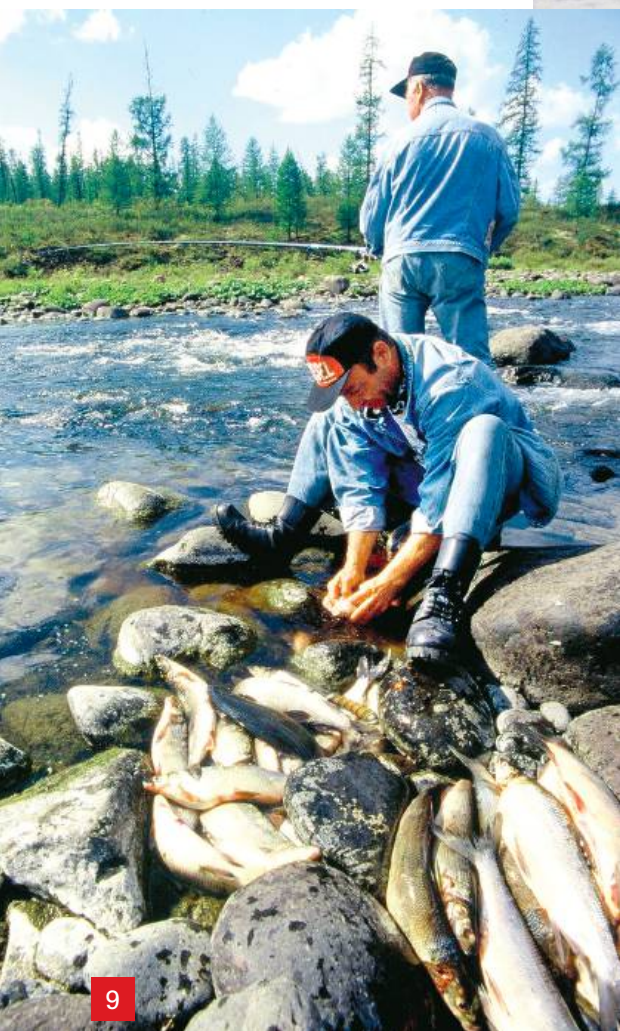
6



7



8



9



10



JACEK PAŁKIEWICZ – reporter,
eksplorator, odkrywca źródeł
Amazonki, twórca survivalu
w Europie; www.palkiewicz.com



USZY DO GÓRY

Zając, choć jest dobrym biegaczem, woli się nie przemęczać i nie uciekać, tylko zmylić potencjalnego wroga

Grzegorz i Tomasz Kłosowscy

Słaby. Tchórzliwy. Bezradny. Takie cechy niemal odruchowo są przypisywane zającowi na podstawie wyglądu. A jak słaby i bezradny, to pewnie i niemądry. W ogóle stanowi on ucieleśnienie ofermowatości i nieszczęścia. Wystarczy przypomnieć sobie niektóre powiedzenia, przysłowia albo cytaty. „Zajęcze serce”. „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły”. „A jak chodzi o zające, radzę zmykać, bo przetrączę”, urąga wilk Barnaba z bajki Jana Brzechwy. Więc „czmychną zając, nie czekając”. Zresztą po co sięgać daleko... Z samouczka do nauki angielskiego dla początkujących, z pomocą którego próbowałem poznać tajniki tego języka, zapamiętałem zdanie: *What is the hare like? It is old and large, it isn't happy* czyli: jak wygląda zając? Jest stary i gruby, nie jest szczęśliwy. Bo czemu zając miałby być młody albo, nie daj Boże, szczęśliwy? To przecież biegające, a częściej kicające nieszczęście.

Z takim obrazem tego zwierzęcia wyruszałem przed laty na swoje przyrodnicze ścieżki. Oto nadrzeczne łąki zalane wiosennymi wodami po horyzont. Od drogi odchodzi łąkowy półwysep, który

uniknął zalewu, a na jego końcu – dwa zające. Wydały mi się jakieś bezradne wobec bezmiaru wód. Jednocześnie odezwał się prastary instynkt łowcy, żeby nie rzec – drapieżnika. „No, mam was, teraz nie uciekniecie przed moim obiektywem!”, wykombinowałem sobie, bo w pamięci kołatało mi się, że w języku myśliwych zając to kot, a koty podobno nie umieją pływać. Rażno ruszyłem więc ku zającom. Najpierw podniosły wysoko uszy, wyprostowały się, jakby zdziwione, że ktoś chce się pchać między te kałuże i mokradła, po czym

jak się wkrótce przekonałem, w pełni prawdziwe.

Z mojej wyobraźni zniknął mit zająca niedołęgi. Zresztą w kulturze bywa on też umieszczany w korzystnym czy pogodnym kontekście. Kojarzy się przecież – obok baranka – także z Wielkanocą. To skojarzenie sięga dawnych wieków i bywa tłumaczone rozmaicie. Najczęściej wskazuje się, że jest związane z dawnym zwyczajem składania danin na ołtarzach, a zając najlepiej nadawał się na taką ofiarę. Albo po prostu – że jest symbolem wiosennego odrodzenia i płodności,

**Zając doskonale pływa, o czym od dawna wiadomo.
Inna rzecz, że nie czyni tego chętnie, od wody raczej stroni.**

– wolno i spokojnie – pokicały ku wodzie i grzecznie popłynęły, rysując na tafli zalewiska dwie elegancie strzałki. I tyle wyszło z mojego polowania.

Tak to jest, gdy zamiast wiedzy człowiek polega na strzępkach bajek i mitów. Zając doskonale pływa, o czym zresztą od dawna wiadomo. Inna rzecz, że nie czyni tego chętnie, od wody raczej stroni, a nawet jej nie pije, bo wystarcza mu ta zawarta w spożywanych roślinach. Choć to ostatnie stwierdzenie też nie jest,

którą ten gatunek rzeczywiście się odznacza. Dziś jednak zając w okresie świąt, niekoniecznie tylko wielkanocnych, kojarzy się głównie z... pasztetem. Wiele lat temu, gdy razem z bratem pracowaliśmy w ekipie filmowca Jana Walencika, woził nas kierowca, który lubił zjeść, a i wypić. Nazywał się – nomen omen – Kieliszek. Ilekroć mijaliśmy na trasie jakiegoś szaraka, wspominał, że robi znakomity pasztet. Jechaliśmy wtedy nyską – bo takimi pojazdami poruszały się ówczesne

ekipy filmowe – prowadzoną przez naszego kierowcę na tokowisko cietrzewi.

Podskakiwaliśmy na brukowanej drodze, ciemno było, choć oko wykol. Na cietrzewie jeździ się wszak nocą, bo tokujące koguty zjawiają się z pierwszym brzaskiem i trzeba zawczasu ukryć się przed ich wzrokiem. Nagle ostre hamowanie, kierowca zapala światło w naszym wehikule i wyskakuje w mrok. Nie zapomnę widoku, który wówczas ujrzałem: Kieliszek stał w blasku bijącym z okien z miną zwycięzcy, trzymając za uszy dużego zająca. Jeszcze żywego, gdyż dopiero po chwili wyzionął ducha. Oczywiście nasz kierowca nie najechał na zwierzę umyślnie, lecz mimo to dostał od szefa reprimendę za nieostrożną jazdę. Kiedy jednak po przerwie w zdjęciach wrócił na plan z naprawdę smaczkowym pasztetem, wszyscy zapomnieli o żalach i pretensjach, a i kieliszek – tym razem przez małe k – też się znalazł.

Najgroźniejszymi drapieżnikami czyhającymi na życie zające są samochody i myśliwi. Ci ostatni, widząc spadek liczby swych ulubionych zdobyczy, myśleli nawet o moratorium na odstrzał tych zwierząt. Bo ich liczba od dawna spadała i spada. W 1970 r. naliczono ich u nas ponad 3 mln, w 2000 r. już tylko 98 tys., a gęstość dróg i liczba samochodów rosną lawinowo. Wracając wieczorami gruntową drogą do naszego wiejskiego domu, regularnie spotykam na niej zające. Uciekają jak przed drapieżnikiem – biegną przed samochodem zakosami, bo tak ucieka zając przed psem czy lisem, starając się go zdezorientować i zmylić. W końcu taki goniony przeze mnie nieumyślnie zając uskakuje w bok, ale nigdy nie mam pewności, czy w gorączce swej rejterady nie wyskoczy znów – wprost pod koła. Przejechane szaraki spotyka się niestety nagminnie, a my z bratem zabieramy niektóre lepiej zachowane tusze na przynętę dla ptaków drapieżnych.

Zając, choć jest dobrym biegaczem, woli się jednak nie przemęczyć i nie uciekać, tylko zmylić potencjalnego wroga. Kiedyś na

przedwiośniu wczesnym rankiem jechałem z wolną drogą przez łąki, gdy nagle tuż przed moim pojazdem drogę przebiegł zając. Gdy tylko jego tylne skoczne kończyny dotknęły kusej trawy po drugiej stronie jezdni, zwierzę zniknęło. Miejsce było płaskie, trawa wystrzyżona niemal przy samej ziemi. Gdzie się więc podział? Zacząłem wolniutko podjeżdżać, by wreszcie przystanąć w miejscu, gdzie widziałem czworonożnego przechodnia. Nic nie było widać. Dopiero gdy przez uchylone okienko spojrzałem prosto w dół, na poboczu dojrzałem jakąś niktą, wypukłą plamę, nieco bardziej szarą niż wystrzyżona trawa wokół. To mój zając udawał, że go nie ma, wykorzystując swe ochronne ubarwienie.

To zwierzę osiadłe i terytorialne, zajmujące ten sam rewir przez wiele sezonów.

Choć zając jest – jak większość żyjących u nas ssaków – zwierzęciem o zdecydowanie nocnym trybie życia, czego ilustracją są opisane wyżej slalomy w sнопie światła reflektorów, to aktywny bywa też w dzień. Zauważyłem, że uchodząc przede mną, zając często biegnie w cień drzewa, by tam przycupnąć. Przeglądając nasze zdjęcia szaraków, których nazbierało nam się sporo przez lata spotkań, zauważyłem, że wiele z nich przedstawia zająca siedzącego w cieniu. To fotograficzny model, który potrafi oddać na zdjęciu nastrój upalnego dnia. Myślę jednak, że przede wszystkim w cieniu czuje się bezpieczniej.

Na ogół spotykaliśmy szaraki w tych samych miejscach, często rok po roku, co, jak pokazały przeprowadzone w naszym kraju badania, nie jest przypadkiem. Zając to zwierzę osiadłe i terytorialne, zajmujące ten sam rewir przez wiele sezonów. Jego włości, a może raczej mieszkanie czy podwórko, to kilkuhektarowy obszar. Znajduje na nim żer i schronienie. Zające nie kopią nor – to domena królików – natomiast znajdują sobie na terytorium zaciszne kolebki, czyli

suche obniżenia terenu ostonięte roślinnością. Mają ich kilka, można więc rzec, że to rodzaj komnat w ich mieszkaniach. Gdy zbliża się intruz lub wróg, lokator takiej kolebki stara się przeczekać moment zagrożenia w bezruchu. Gdy ów natręt czy drapieżca przekroczy jednak pewien krytyczny dystans, zając długim skokiem wyrwa się ze swego zacisza i umyka, przeważnie zakosami. Jeżeli jednak zauważy, że ów nieproszony gość nie jest groźny – bo to np. krowa czy niezamierzający wszczynać pogoni spacerowicz – szybko przysiąda gdzieś i czeka na dalszy rozwój wypadków. Jeżeli wróg naciera, zając stara się go zgubić (co w zetknięciu z różnymi dybiącymi nań drapieżnikami przeważnie nieźle mu się udaje),

ale nie ucieka daleko, tylko okrężną drogą stara się wrócić do ulubionego legowiska albo zając któreś z sąsiednich.

Ten szybki i zwinny ssak stanowi znakomity przykład, że chcąc zdobyć zdjęcie dzikiego zwierzęcia z bliska lub choćby tylko je poobserwować, nie ma sensu go ścigać – nawet wzrokiem. Nie warto zatem natrętnie się nań gapić, lepiej cierpliwie poczekać. Jeżeli znamy miejsce, które często odwiedzają zające, istnieje duża szansa, że pewnego razu jeden z nich pojawi się tam i sam podejdzie na pożądaną odległość, o ile zachowamy spokój. Ponieważ ten mieszkaniak łąk i pól ma wielu potencjalnych wrogów, potrafi prędko rozpoznać, kto jest kim i czego się po nim spodziewać. Lisy, wilki, a zwłaszcza zdziczałe psy stanowią dlań poważne zagrożenie i choć zając potrafi uciec każdemu z tych prześladowców, to ich ofiarą padają młode zajączki. W łowach sekundować tym drapieżnikom będą też koty domowe i ptaki drapieżne, jak jastrząb czy nawet myszołów. Nic dziwnego, że zając jest zwierzęciem płodnym: zajączycy ma kilka miotów w roku, a liczba ▶

▶ młodych w jednym może sięgnąć dziewięciu potomków, choć na ogół jest ich znacznie mniej.

Pewnego majowego dnia, gdy z moją ówczesną partnerką, też fotografującą przyrodę, wracaliśmy z wyprawy, zaproponowałem, byśmy przejechali przez niewielki, otoczony polami kompleks leśny. W takich enklawach prawie zawsze napotyka się coś ciekawego. Tym razem na pełnej kałuż drodze spotkaliśmy niespodziewanych w takim miejscu lokatorów: zające.

Ten ssak z rzędu zajączków ma pochodzenie stepowe i nie jest gatunkiem leśnym, choć, jak większość dzikich zwierząt, bywa umieszczany w lesie mocą naszej wyobraźni, nieraz kształtowanej przez bajki. Poza tym jest samotnikiem. Zgrupowanie kilku osobników zwiastowało coś szczególnego, a że obecność kobiety zawsze nieco erotyzuje atmosferę, pomyślałem o godach. Co prawda zające go-
dy, czyli parkoty, zaczynają się już w lutym i są kojarzone z początkami wiosny, to zdarzają się i później, nawet wczesnym latem. Zwierzaki, nie reagując na nasz samochód, krążyły wokół siebie, ale aktów miłosnych jakoś nie było widać. Wytknąłem teleobiektyw przez szczelinę w uchylonych drzwiach pojazdu,

parę. Nic z tego. Gdy przybyliśmy tam następnego dnia, zające nadal harcowały w najlepsze pod okapem wysokich sosen, brzoź i dębów. Już nie mieliśmy wątpliwości, że widzimy późnowiosenne gody. Ponieważ większość zdjęć z poprzedniego dnia była nieostra lub zamazana na skutek ruchu aparatu, tym razem postanowiłem rozłożyć statyw. Zwłaszcza że zwierzaki były tak zajęte sobą, że całkowicie nas ignorowały.

Jeżeli wróg naciera, zając próbuje go zgubić, ale nie ucieka daleko, tylko okrężną drogą stara się wrócić do ulubionego legowiska.

Wtedy jeden zając błyskawicznie wskoczył na grzbiet drugiego – zapewne samicy. Moja towarzyszka uwieczniła to, ale ja już nie zdążyłem, bo kochankowie jak szybko się połączyli, tak szybko rozstali. I już więcej się to nie powtórzyło, choć uczestnicy godowego obrzędu kręcili się pod drzewami przez następne godziny.

Nie wiem, czy ich gody zawsze są tak przewlekłe i niemrawe, ale rezultaty bywają imponujące. Zajączycza może urodzić pierwsze młode już na przełomie lutego i marca, po czym jest pod względem rozrodczym

chce zjadać coraz więcej. Rozwój wielkoobszarowego, zmechanizowanego rolnictwa odbiera zajęcom ich naturalne siedliska. Dawne pasiaki ubogich zagonów obfitowały w pasma maskujących krzewów i trawiaste miedze pełne kolebek jakby stworzonych dla tych polnych biegaczy. Na łąkach rosły smakowitsze trawy. Dziś na wielkich jednorodnych łanach obsianych zbożem, a zwłaszcza kukurydzą na ogół brakuje zajęczych przysmaków,

a szybko rosnące i wybujałe trawy na uprawnych łąkach są zwykle sztywne i twarde. Przede wszystkim zaś szybciej osiągają dojrzałość i przyspieszają mechaniczne sianokosy, których ofiarami zostają zające, zwłaszcza młode, a także nie odstępujące ich na krok matki. Zwierzęta giną lub zostają kalekami.

W pewnym zachodnim magazynie zobaczyłem kiedyś zdjęcie wymowne, ale tragiczne. Oto na beli skoszonej trawy widniał obrazek, który okazywał się nie malunkiem, ale zajęcem wprasowanym w zbitą ścianę łodyg. Niech ten obrazek wystarczy tu za przykład.

Ile zatem prawdy o zającu jest w przytoczonym na początku niezgrabnym zdaniu z angielskiego samouczka? Niewiele. Zając, choć może przeżyć pod ludzką opieką kilkanaście lat, w naturze przeżywa zwykle tylko kilka, więc nie może być stary. Nie może też być gruby, bo życiowa aktywność nie pozwala mu utyć. I choć cała zająca populacja ma się raczej gorzej niż kiedyś, to każdy zając z osobna dzięki sprawności i taktyce pozwalającej wywodzić w pole przesładowców nie ma powodu, by czuć się nieszczęśliwy.

Najgroźniejszymi drapieżnikami czyhającymi na życie zające są samochody i myśliwi.

by nie rozkładać statywu i nie płoszyć naszych ewentualnych modeli. Moja towarzyszka celowała lżejszym teleobiektywem z drugiego okienka, trzymając optyczną broń przy oku bez podpory. I tyle. Zające to doskakiwały do siebie, to odskakiwały, jakby bały się siebie nawzajem. Nie ułatwiał to ich uwieczniania.

Przysłowie mówi, że jak będziesz gonił dwa zające, nie złapiesz żadnego, i to się po trosze sprawdziło. Ilekroć wycelowałem w jednego, kątem oka zauważałem, że ciekawszą pozę przyjął inny – i tak w kółko. Oboje chcieliśmy złapać dwa zające jako erotycznie aktywną

aktywna przez całe lato i jeszcze kilka razy zostaje zającą matką – tro- skliwą i oddaną, choć nie opiekuje się dziećmi zbyt długo. Samotnicza natura tych zwierząt szybko bierze górę i matka przestaje się interesować nadal małymi potomkami. Póki jednak jest przy nich, potrafi dzielnie bronić młodych. (...)

Dziś zające ubywa. Nie dlatego, że grożą im błotniaki czy inne drapieżne istoty, ani nawet nie dlatego, że człowiek czasem chciałby zjeść szaraka z buraczkami – a raczej dlatego, że coraz więcej ludzi



Fragmenty książki Grzegorza i Tomasza Kłosowskich *Bracia mniejsi i więksi. Opowieści o mieszkańcach z krainy Biebrzy i nie tylko*, Wydawnictwo Państwowy Buriat, Kielce 2022

Werbownik

Dyktanci szkodzą. Niby to banal, ale jeśli chodzi o MSZ, o ten banal Polska potyka się regularnie. Przykładów jest wiele, może więc przypomnijmy jeden z ostatnich, bardzo żywo komentowany przy Szucha.

Oto nie tak dawno Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ (MID), używała sobie na Polsce. „Bezczelna prowokacja Warszawy wobec ambasadora Rosji w Polsce Siergieja Andriejewa jest rażącym naruszeniem ogólnych zasad komunikacji dyplomatycznej”, grzmiła.

O co chodziło? Otóż 3 października, po decyzji prezydenta Putina o zaanektowaniu ukraińskich obwodów donieckiego, ługańskiego, zaporoskiego i chersońskiego, do naszego MSZ wezwany został ambasador Federacji Rosyjskiej Siergiej Andriejew. Po to, żeby przekazać mu polskie stanowisko w tej sprawie.

Z punktu widzenia dyplomacji to rutynowe działanie. Wzywa się ambasadora i wręcza dokument. Na zimno. Wszystko trwa krótko. Słów dużo nie trzeba. Jest to jakiś rodzaj teatru, w którym każdy gra swoją rolę.

Ale tym razem wiceminister Marcin Przydacz wyłamał się z przypisanej mu roli. I zaczął ambasadora zagadywać, podpowiadać mu, co mógłby powiedzieć czekającym na niego przed gmachem MSZ dziennikarzom. Żeby potępił wojnę itd.

Opowieści o tym, jak Przydacz rozmawiał z Andriejewem, krążą po MSZ jak najlepsza anegdota. Bo mieliśmy zderzenie outsidera (Przydacz ma zerowe pojęcie o dyplomacji) z absolutnym wyjadaczem, który w dyplomacji pracuje ponad 40 lat, był członkiem kolegium MSZ Rosji, a przed objęciem placówki w Warszawie dwukrotnym ambasadorem.

Dysproporcję wiedzy i doświadczenia już zarysowaliśmy, a teraz warto, byśmy sobie uświadomili, co Przydacz za-

proponował. Ano by Andriejew powiedział takie rzeczy, po których już by nie mógł wrócić do swojej ambasady. Bo w jakim znalazłby się położeniu, gdyby u bram polskiego MSZ zaczął krytykować działania swojego państwa?

Żeby była jasność – nie jest grzechem próba urabiania dyplomatów obcych państw czy też przeciągania ich na naszą stronę, ale trzeba wiedzieć, w jakich okolicznościach takie rzeczy można robić i z kim.

Przydacza najwyraźniej poniosła fantazja werbownika. A Andriejew, wychodząc z MSZ, powiedział to, co musiał, a potem, już w swojej ambasadzie, napisał depezę do centrali, wszystko dokładnie przedstawiając. Musiał tak zrobić, wyjścia nie miał.

W ten sposób Maria Zacharowa mogła używać sobie na Polsce do woli. Cytować Andriejewa, że zaproponowano mu, w zamian za „wsparcie” ze strony polskich władz, aby publicznie wypowiedział się przeciwko „operacji specjalnej”. Na co ambasador miał odpowiedzieć Przydaczowi, by „nie marnował czasu” i „wyraził swoje stanowisko”.

Zwróćmy uwagę, strona polska nie miała przekonującej odpowiedzi na te słowa. Tylko jakieś piski.

Sprawa miała zresztą ciąg dalszy – bo do MID zaproszono polskiego ambasadora w Moskwie. I poinformowano go, że kolejne propozycje kierowane do rosyjskich dyplomatów będą miały taki skutek, że będzie musiał wrócić do Warszawy.

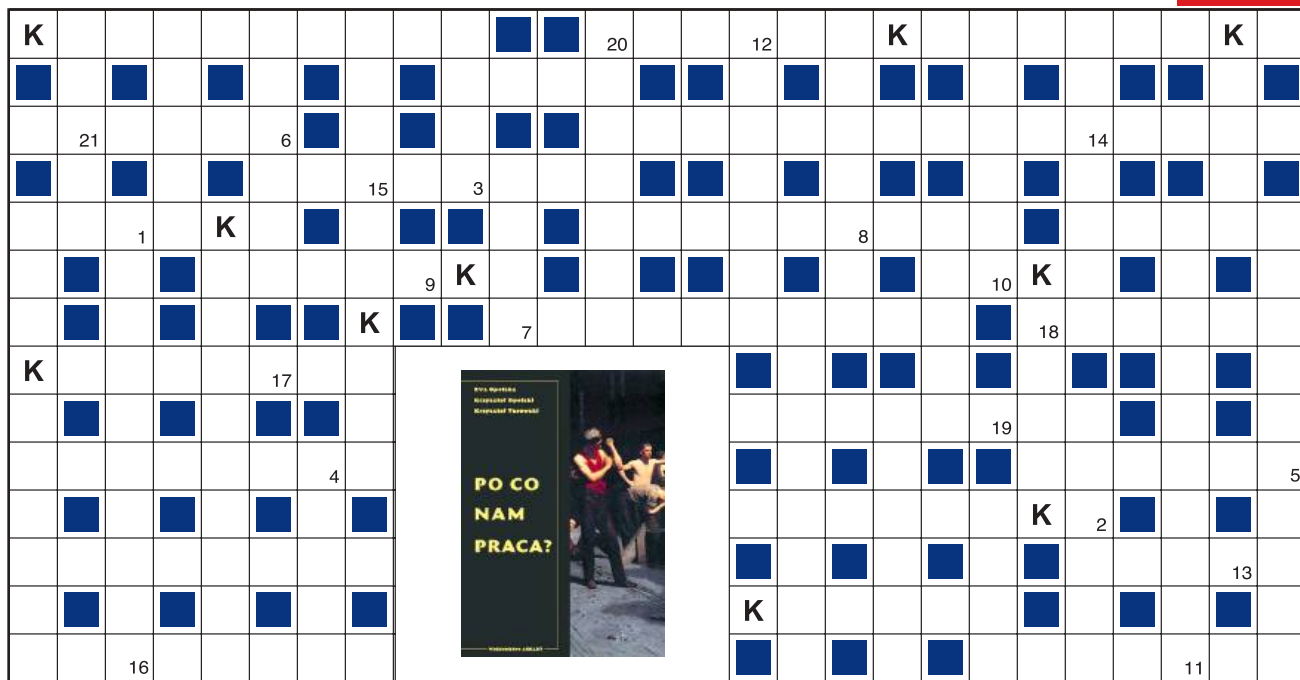
A to by była polska strata, bo nasz ambasador jest jak pracowita mrówka – więcej daje Warszawie niż ambasada Rosji Moskwie.

Jedyna pociecha w tej kompromitującej Przydacza i nasze MSZ sytuacji jest taka, że to nasze MSZ rozdaje w tej wojnie karty. I że w zasadzie jest bez znaczenia.

Attaché

Mieszkańcy Huaibei w prowincji Anhui oglądają sesję otwierającą XX Zjazd Komunistycznej Partii Chin, 16 października 2022 r.





1 2 3 4 5 6 7 8

9 10 11 12 13 14 15 16

17 18 19 20 21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- ...de Hojeda, konkwistador
- sztuka i film o zawiści Salieriego
- państwo w Pirenejach
- zagłada, koniec świata
- Katarczyk, Algierczyk lub Syryjczyk
- ujęcie, punkt widzenia

- szkoda czasu i jego
- zabezpieczenie schodów, balkonu
- stan spokojnego zadowolenia
- na nim błyszczy kwiecie, stoi ułan na widocie
- matka Perseusza

- odrażający z Kabaretu Starszych Panów
- prorok na wozie ognistym
- elektrostatyczny Van de Graaffa lub Kelvina
- i elektryczne, i mieszkanko
- z uczuciami, ze śmiercią, z ogniem
- wykrzes skurczów serca
- ziarenka do kiszzonej kapusty
- za krótka... – często o budzecie
- Cezar: ...zostały rzucone
- któż nikczemny lub protegowany, zausznik

- ...wiśni przyciąga Japończyków
- szybkuje ze skrzydłem w kształcie delty
- z prawego ślubny potomek
- nazywany spadającą gwiazdą
- rzuca nim Wojciech Nowicki
- Baltazar ujrzał go na ścianie
- placa... – po potrąceniach
- rozzutność, nieekonomiczne zarządzanie
- bakłażan z francuska
- ochrona VIP-a
- proponowane towary i usługi
- kolor pomarańczowy
- zamiłowanie do procesowania się

- pogody lub ekonomiczna
- ostrzegająca, pouczająca uwaga
- pokazuje się, gdzie one zimują
- od tej mały czynnik Rh
- imię słynnego rozbitek
- na ...dróg czarty czyhały
- wyrabia ręczną broń palną
- Kigali jej stolicą
- element, dom szeregowy lub mebel
- ze stolicą w Dakarze
- koszmarności, groza
- jeszcze dwa lata podstawówki przed nią
- pakowana przed wyjazdem

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązywania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1088”. Do rozlosowania książki „Po co nam praca?” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 30 października 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1085” z nr. 41: Dla kłamcy nie ma żadnej prawdy. Nagrody otrzymują: Katarzyna Bochenek z Zabrze, Wojciech Kłosowski z Warszawy, Waldemar Wardencki z Gdańska.

PENETRACJE

ZDANIE

JERZY URBAN

Zawsze patrzyłem na wady polityki Jaruzelskiego i zawsze mu je przedstawiałem. Co zresztą nie było niebezpieczne. Bo on z wielką uwagą przyjmował oceny krytyczne. Miał wielkie poczucie humoru. Lubił dowcipy, plotki. Za to nie lubił alkoholu, to była jego wada ogromna. Bardzo serio traktował siebie, politykę i losy kraju. Jednocześnie będąc łasym plotek, będąc żartownisiem. On nawet odgrywał w skromnym zakresie jakieś scenki kabaretowe mierzone w osoby, których nie lubił, albo lubił, ale podpatrywał różne słabości. Był to bardzo ciekawy człowiek. Bardzo niejednoznaczny w swojej konstrukcji politycznej i społecznej. Poza tym to on mi dawał posadę rządową, co było dla mnie niewypowiedzianą rozkoszą, bo ja jestem maniakiem polityki, a nagle znalazłem się wewnątrz, a nie jako obserwator.

Press

MATEUSZ LACHOWSKI,
REPORTER WOJENNY
POLSAT NEWS

Często wytykam Ukraińcom, że podają zaniżone straty – nie chodzi o zaniżone o 100 czy 200 osób. Straty Ukrainy są zaniżane niemal dwukrotnie. Czasami wypowiadam się też krytycznie o jakichś działaniach władz lub ujawniam, że jest wielu prorosyjskich cywilów, zwłaszcza w Donbasie. Wprost mówiłem, że o ile wcześniej nie spotkałem w Kijowie i okolicach pijanego ukraińskiego żołnierza, to w Donbasie już mi się zdarzyło. W zaprzyjaźnionym batalionie w Charkowie byłem świadkiem, jak żołnierz został za picie brutalnie pobity przez dowódcę. Robi wrażenie, gdy facet opłata sobie

pasek wokół ręki i przy tobie bije żołnierza, łamie mu nos, zrywa z niego ubranie i wyrzuca z oddziału.

ANGORA

ZUZA GÓRECKA,
SIATKARKA
REPREZENTACJI

Jak współpracuje się z trenerem Larinim?

– Dla mnie jest on oazą spokoju w kluczowych momentach meczów. Gdy pojawiają się błędy, stres, trener nie doprowadza do żadnych dodatkowych nerwowych sytuacji. Bierze czas, uspokaja nas. Mówi, co możemy zrobić w danym momencie, jak zachowują się przeciwniczki. Współpraca jest świetna i wiele się od niego nauczyłam. Jest bardzo wymagający, nie ma mowy o głaskaniu nas po głowach. Nawet najprostsze elementy podczas treningów muszą być wykonane perfekcyjnie. Komunikujemy się głównie po angielsku. Oczywiście dziewczyny, które mówią po włosku, robią to w jego języku.

PANI

MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ,
AKTOR

My się cofamy, robimy polityczną wolnę w stronę lat 60. Kompletnie oderwanie się od rzeczywistości klasy politycznej nasila polaryzację, ale nie taką, jak się zazwyczaj przyjmuje, czyli lewica kontra prawica, tylko politycy kontra reszta społeczeństwa. Bo politycy, zarówno z lewa, jak też z prawa, żyją w swojej bańce. Poznałem ich wielu, oni mają swoje środowisko, swoje szkoły, osobny system, w którym nie ma dla nas miejsca. Wielkie rewolucje pokazały, czym to się może dla nich skończyć.



Czarny kot, biały kot. Kot Ashfur choruje na bielactwo. Jego właścicielka twierdzi, że urodził się jako zupełnie czarny.

Aby język giętki...

OLGIERD ŁUKASZEWICZ
O ZAKŁAMYWANIU HISTORII PRL

Moja mama uczyła góralki, żeby umiały się podpisać, bo szkoły przed wojną nie nauczyły ludzi pisać.

ADAM MICHNIK
O KSIĄŻCE JAROSŁAWA KURSKIEGO

Ma rację, kiedy mówi, że to sprawa godności, bo jest rzeczą niegodną, być zmuszonym do ukrywania swoich korzeni.

RAFAŁ KALUKIN O JACKU KURSKIM

Wyśrubował wszelkie rekordy podłości, kłamstwa i pogardy.

ILONA ŁEPKOWSKA
O ROBERCIE MAZURKU

Nigdy więcej nie będę z nim rozmawiała, bo nie mam do niego zaufania. Nie lubię takich metod i nie szanuję dziennikarzy, którzy tak robią.

AGATA PASSENT O PODSTAWÓWCE

Węgier i górniczy w szkołach tysiąclatkach byli fetowani jak dziś żołnierze wyklęci czy dziewice konsekwowane.

HENRYK MARTENKA
O MARCINIE WARCHOLE

Jak każdy wierzący ziobrysta wierzy głęboko, że od demokracji skuteczniejszy jest loch i knut.

EWA FARNA O ZAOLZIU

Na Zaolziu wszystkich coś łączy. Kiedy wychowujesz się wśród mniejszości narodowej, masz specyficzny rodzaj podejścia do społeczności.

JOANNA KULIG O WSPÓŁPRACY Z PAWŁEM PAWLIKOWSKIM

Ostatnio żartował, że już wyssał ze mnie całą krew. Ale może kiedyś...

ANDRZEJ BARGIEL O SZERPACH

Wiele wejść komercyjnych opiera się na tym, że Szerpowie wnoszą na plecach ludzi z Europy czy USA.

BARBARA ROMANOWICZ-TORZEWSKA
O PREZENCIE

Mąż Marek powiedział, że da mi prezent na imieniny, ale ponieważ nie miał czasu go kupić, to zrobi dla mnie sto pompek.



Dama z łasiczką
po repolonizacji.

Nakręcony kandydat

Niejaki Mike Itkis, startujący do Kongresu z Nowego Jorku, opublikował sekstaśmę, na której występuje z aktorką porno Nicole Sage. Bezpartyjny 53-latek, który jest specjalistą w zakresie cyberbezpieczeństwa i majorem rezerwy armii USA, w swojej kampanii skupił się na promowaniu „pozytywnego podejścia do seksu”, obejmującego m.in. dekryminalizację prostytucji. – Gdybym tylko o tym mówił, nie pokazałoby to mojego zaangażowania w sprawę. A fakt, że to zrobiłem, był ogromnym doświadczeniem, które wpłynęło na mój program – powiedział polityk. Z rzezonym programem można się zapoznać pod nagraniem, które zostało zamieszczone w serwisie Pornhub. Sami przyznacie, że to dość oryginalny sposób na zostanie, za przeproszeniem, członkiem parlamentu.

Mrowiskowy Spis Powszechny

Naukowcy znaleźli wreszcie odpowiedź na nurtujące ludzkość pytanie o łączną liczbę mrówek. W prestiżowym tygodniku amerykańskiej Narodowej Akademii Nauk ukazała się właśnie analiza 489 badań nad tymi owadami, na podstawie której ostrożnie oszacowano ich całkowitą liczebność na 20 miliardów osobników, co odpowiada ok. 12 mln ton suchego węgla. Żeby dokonać takich obliczeń, trzeba być pracowitym jak pszczoła!



- SZKOŁY, KTÓRYCH NIE BĘDZIE STAĆ NA OGRZEWANIE,
ZOSTANĄ PRZEMIANOWANE NA SEMINARIA...

Łasy na majtasy

W Byczynie na Opolszczyźnie policja zatrzymała 53-latkę, który przez kilka miesięcy ukradł z tamtejszych ogródków i balkonów w sumie 1630 szt. różnych elementów suszącej się damskiej bielizny. Kryminalni wytypowali podejrzanego i zarządzili przeszukanie jego lokum, w którym znaleźli kilkanaście worków po brzegi wypełnionych konfekcją o łącznej wartości ponad 30 tys. zł. Co więcej, mężczyzna okazał się posiadaczem ponad 80 g narkotyków. Myślał, że to wszystko ujdzie mu na sucho? A figa!

Prosto w okienko (kasowe)

Oferta sportopodobna wzbogaci się o piłkarski show inspirowany niezwykle popularnymi walkami celebrytów. Nowo powstała instytucja Move Federation będzie organizować mecze z udziałem youtuberów, uczestników widowisk telewizyjnych itd. Spełnienie obietnicy, którą jest „przedefiniowanie piłki nożnej, jaką znacie”, ma zapewnić nie tylko udział „znanych z tego, że są znani”, ale także owalny kształt boiska czy to, że jeden raz podczas spotkania każda drużyna będzie mogła skorzystać z pomocy półzawodowego futbolisty. Oceniając całe przedsięwzięcie wyłącznie z biznesowego punktu widzenia: ktoś tam nieźle główkuje!



- WĘGIEL, KTÓRY SIĘ NIE
PALI, STARCZA NA DŁUŻEJ...

Maluje, choć nie czuje

W Izbie Lordów odbyła się przemowa humanoidalnej robotki, a jednocześnie malarki, która stanęła przed prawodawcami w czarnej peruce i ogrodniczkach. Wraz ze swoim stwórcą, dyrektorem galerii sztuki Aidanem Mellerem, Ai-Da mówiła o wpływie nowych technologii na branżę kreatywną. Odpowiadała ponadto na pytania, m.in. o to, jak powstawanie jej obrazów różni się od sposobu ich tworzenia przez człowieka. Artystka podkreśliła, że nie ma subiektywnych doświadczeń, mimo że umie o nich mówić. Meller tłumaczy, że jego podopieczna jest „projektem sztuki współczesnej”, mającym za zadanie sprawdzić, czy „jest możliwe krytykowanie świata technologii za pośrednictwem technologii mówiącej za siebie”. Pigmalionie, czy można trochę jaśniej?



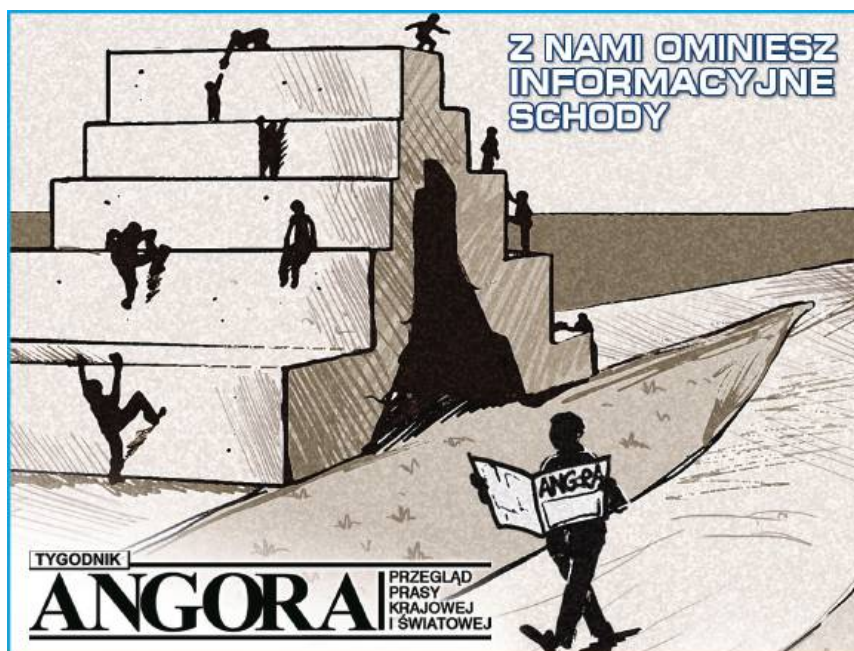
Zjazd ginekologów po repolonizacji.



Irańska wspinaczka Elnaz Rekabi w boulderowych mistrzostwach Azji zajęła czwarte miejsce. Jej występ bez hidżabu spowodował falę spekulacji, czy jest to gest solidarności z protestującymi rodaczkami. Seul, 16 października 2022 r.

Inwestorze, czytasz i nie grzmisz?

Decentraland, platforma rzeczywistości wirtualnej nowej generacji (metaverse) o rynkowej wycenie 1,2 mld dol., ma – jak się okazało – mniej niż 1000 aktywnych użytkowników dziennie. Gorzej, zdarzyła się doba, kiedy było ich w sumie... 38. Szefostwo projektu przekonuje, że powyższe statystyki, których źródłem jest agregator danych DappRadar, są oparte na błędnych założeniach i że należy je pomnożyć przez osiem. Szkopuł w tym, że nadal oznacza to, że wyraźnie bardziej popularna jest choćby „Left 4 Dead 2”, czyli gra o zombie z 2009 r. Ponieważ mowa o miejscu w sieci, w którym cyfrowe nieruchomości posiadają m.in. Samsung i Adidas, trudno całą sytuację określić inaczej niż zderzenie z rzeczywistością. Tą niewirtualną.



FOT. SARKA FARKA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), AFP/EAST NEWS



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,
Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogódowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnaacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyktory: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruk po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtusa 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

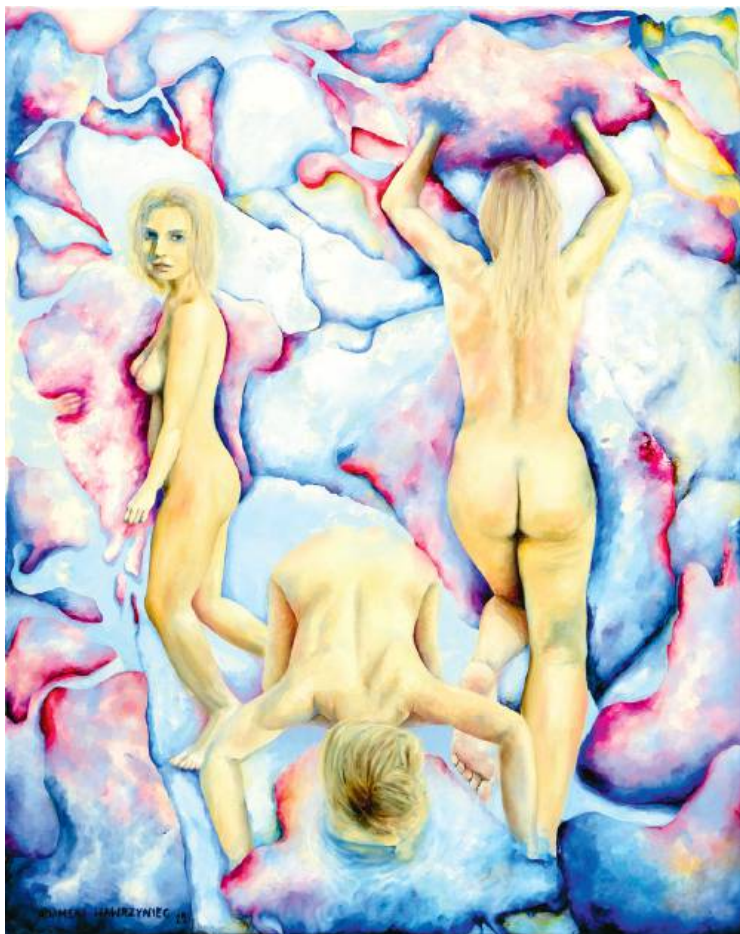
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





DANAIDY



LS2



LS3

LUDZKIE SZCZENIE

Galeria Elektra
Warszawa, ul. Dobra 31
do 17 listopada

Tytuł wystawy nawiązuje do obrazu, który jest próbą ukazania złożonej natury ludzkiej. Rozum, nauka i kultura rzekomo wywyższają człowieka ponad naturę, ale wyrzekając się pierwiastka zwierzęcego i stawiając się na piedestale, wpadliśmy w pułapkę egocentrycznego myślenia. Pojmowanie natury jako zasobu do opanowania popchnęło nas do zawłaszczania i agresywnej eksploracji przyrody i kapitałów ludów tubylczych. Malarstwo Piotra Adamskiego, występującego pod pseudonimem Adamski Wawrzyniec, daje nam mimo wszystko nadzieję, że jako ludzkie szczenie jesteśmy na początku drogi do dojrzałości i pełnej świadomości.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



LUDZKIE SZCZENIE



Pomagamy osobom cierpiącym
z powodu wojny w Ukrainie.

Wspieraj: pah.org.pl/wplac

3^{LAT}

 pah

Polska Akcja Humanitarna

• TEATR CAPITOL •

PRZEBOJOWE KOMEDIE ♦ GWIAZDORSKIE OBSADY ♦ PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

PRZEKŁAD
Elżbieta WOŹNIAK
AUTOR Robin HAWDON

REŻYSERIA Jerzy BONCZAK

**Prezent
urodzinowy**

SCENOGRAFIA
Klaudia SOLARZ
KOSTYUMY
Sylwester KRUPINSKI
OPRACOWANIE MUZYCZNE
Marion SZKADZINSKI

PREMIERA PAŹDZIERNIK 2022

♦ KUP

BILET
TEATR CAPITOL

♦ www.teatrcapitol.pl

TEATR W TRASIE

CAPITALNE SPOTKANIA ZE SZTUKĄ



Odnośnik do projektu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach projektu Narodowego Centrum Kultury Główna - Innowacje: Edycja 2022

Dwie **PARY do PARY**



PIOTRKÓW TRYBUNALSKI

MIEJSKI OŚRODEK KULTURY

NIEDZIELA 18 WRZEŚNIA GODZ. 15:00

A K T
RÓWNOLEGŁY



OPOCZNO

MIEJSKI DOM KULTURY

PIĄTEK 23 WRZEŚNIA GODZ. 15:00

**M AŁŻEŃSTWO
TO M ORDERSTWO**



ŻYRARDÓW

CENTRUM KULTURY

SOBOTA 15 PAŹDZIERNIKA GODZ. 18:00

**M AŁŻEŃSTWO
TO M ORDERSTWO**



WARSZAWA

TEATR CAPITOL

SOBOTA 22 PAŹDZIERNIKA GODZ. 15:30

SZCZEGÓŁY: WWW.TEATRCAPITOL.PL/CAPITALNE-SPOTKANIA-ZE-SZTUKA



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Opieka nad kulturą i dziedzictwem
ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Patroni Medialni



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl b31f7964ad